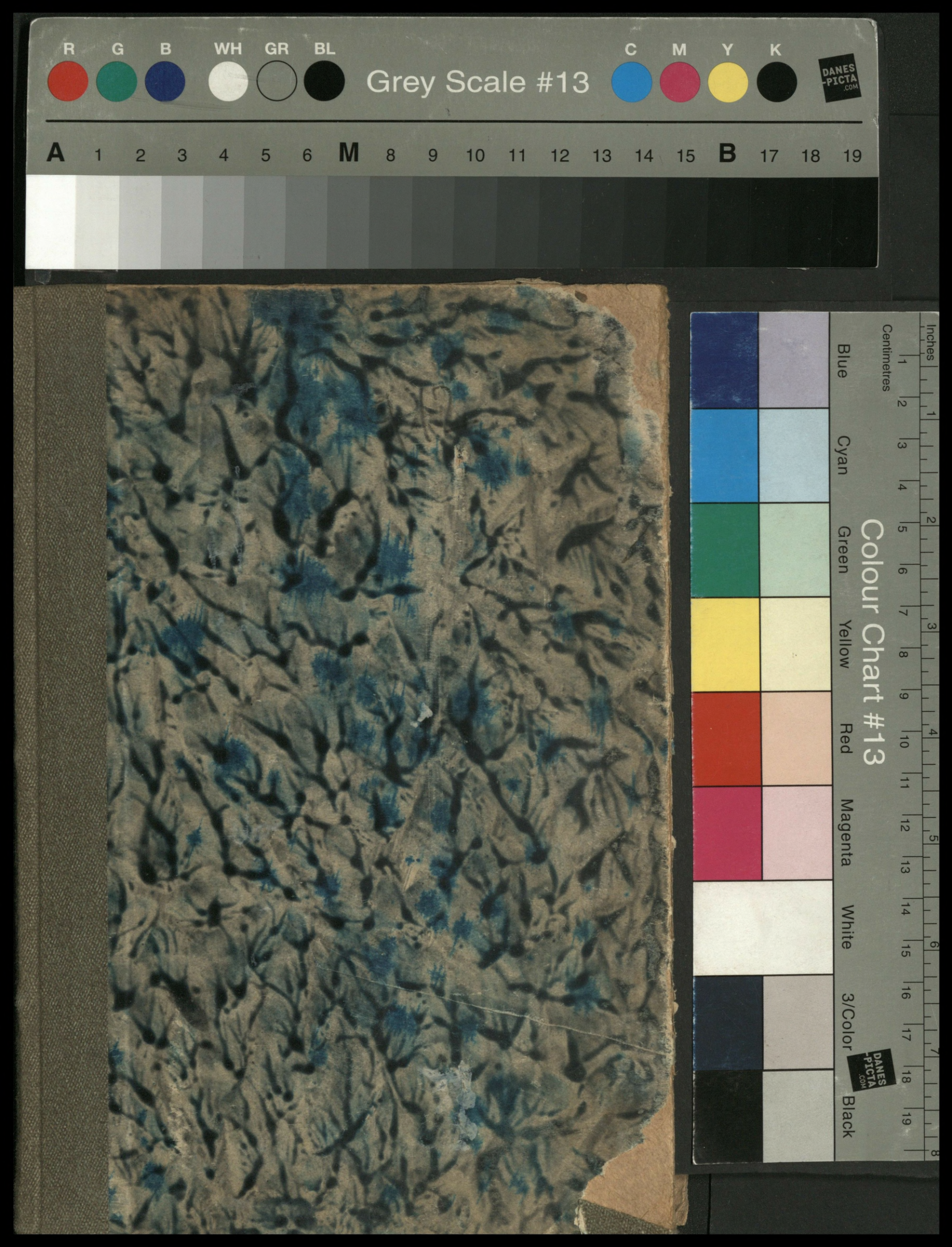

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM



MOJE PIERWSZE BOJE

JÓZEF PIŁSUDSKI

MOJE PIERWSZE BOJE

WSPOMNIENIA SPISANE W TWIERDZY MAGDEBURSKIEJ

Z MAPKAMI

Dop/2

WSTĘP I PRZYPISY OPRACOWAŁ

WACŁAW LIPIŃSKI

1099.

WYDANIE CZWARTE

BIBLIOTEKA PODRĘCZNIKÓW SZKOLNYCH
KORPUSU KADETÓW Nr 2.
w RAWICZU
Nr 386/5.

WARSZAWA 1938
INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

SKŁAD GŁÓWNY: INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLIOTEKA POLSKA" S. A. WARSZAWA

355.01(438)"1" (02)

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY INSTYTUT JÓZEFA
PIŁSUDSKIEGO. WARSAW 1938



338478/2

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

WSTĘP

Wspomnienia Józefa Piłsudskiego, zatytułowane «Moje pierwsze boje» zawierają opis przeżyć wojennych z roku 1914 i składają się z trzech poszczególnych rozdziałów. Rozdział pierwszy p. t. «Nowy Korczyn—Opatowiec» odnosi się do końca września 1914 r., kiedy sześciobatalionowy oddział Piłsudskiego po opuszczeniu Kielc, rozpoczął działania nad Wisłą. Tu, na linii Nowy Korczyn—Opatowiec, w trójkącie, jaki wytwarza Wisła z Nidą i Dunajcem, rozwijają się uporczywe walki, jakie prowadzą oddziały Piłsudskiego przeciwko Rosjanom na lewym brzegu Wisły. Piłsudski, pragnąc prowadzić jak najdłużej walki na obszarze dawnego zaboru rosyjskiego, przerzuca tutaj przez Wisłę swoje bataliony, jakkolwiek braki wyposażenia technicznego, braki najpospolitszych środków łączności czyniły ten krok nader ryzykownym. Młody jednak żołnierz legionowy, jakkolwiek za plecami swoimi ma wzbierającą z godziny na godzinę Wisłę, wykazuje w działaniach pod Nowym Korczynem i Opatowcem doskonałe zalety bojowe, stwierdzone zwłaszcza bohaterskim bojem plutonu Młota-Fijałkowskiego pod Czarkowami w dniu 24 września.

Rozdział drugi wspomnień Piłsudskiego zawiera opis słynnego przemarszu spod Wolbromia do Krakowa przez Ulinę Małą. Piłsudski, cofając się spod Dęblina w związku z ogólnym odwrotem I armii austriackiej gen. Dankla, dotarł w pierwszych dniach listopada pod Wolbrom, gdzie otrzymuje zadanie przeprowadzenia wzmocnionego wywiadu w kierunku nieprzyjaciela. Wykorzystawszy oderwanie się od związku z wojskami austriackimi, nie chcąc dalej dzielić odwrotu tych wojsk na nieznaną, obcą ziemię, postanawia Piłsudski rzucić

się przez Ulinę Małą do Krakowa, a stamtąd na Podhale, gdzie wśród górskich przełęczy, szczytów i dolin, wśród wiernych serc góralskich znalazłby oparcie i możliwość walki na własnej polskiej ziemi.

Rozdział trzeci zawiera opis walk, jakie oddziały Piłsudskiego prowadziły w pierwszej połowie grudnia na obszarze Podhala, pod Limanową i Marcinkowicami, zakończonych wkroczeniem batalionów Piłsudskiego do oswobodzonego od Rosjan Nowego Sącza.

Wszystkie te trzy wspomnienia napisał Józef Piłsudski w czasie więziennego pobytu w twierdzy magdeburskiej w roku 1918. Pozostawione w rękopisie przy zwolnieniu Piłsudskiego z Magdeburga zostały dopiero w kilka lat później odesłane przez władze niemieckie na ręce generała Kazimierza Sosnkowskiego, który przekazał je autorowi. Drukiem zostały ogłoszone po raz pierwszy w roku 1925, otrzymując tytuł «Moje pierwsze boje».

Wacław Lipiński

PRZEDMOWA

Latem 1917 r. zostałem aresztowany w Warszawie przez władze okupacyjne niemieckie [1]) i wywieziony w głąb Niemiec. Przez pewien czas przewożono mnie z więzienia do więzienia, nieraz trzymając w najgorszych warunkach, by wreszcie po kilku tygodniach osadzić w twierdzy magdeburskiej [2]), gdzie po roku i kilku miesiącach doczekałem się powstania państwa polskiego. W Magdeburgu, ku wielkiemu memu zdziwieniu, wywyższono mnie nagle do wysokiej rangi generała i trzymano, że tak powiem, z odpowiednim dla takiej szarży szacunkiem. Miejscem mego pobytu była cytadela dawnej, starej fortecy magdeburskiej, a właściwie jeden z jej zakątków — zabudowanie, które, jak się o tym mogłem przekonać z tablic, zawierających przepisy zachowania się w celach, nosiło zabawną nazwę: «Sommeroffiziersarreststube» [3]). Miało to najoczywiściej oznaczać, że w tym zabudowaniu odsiadywali swoją karę aresztu za te czy inne przewinienia oficerowie garnizonu magdeburskiego, lecz zarazem nazwa ta wskazywała, że zabudowanie to nie jest przeznaczone dla takiego użytku w zimie. Przetrzymano mnie tam wprawdzie przez cały czas zimy z 1917 na 1918, lecz nie mam zresztą z tego powodu do Niemców specjalnych pretensyj. Bywało i zimno, lecz nie mogę powiedzieć, aby się nie starano, nieraz i bardzo gorliwie, o usunięcie tych braków. Przypuszczam, że wybrano dla mnie to miejsce dlatego, że w nim najłatwiej można było wykonać surowe nakazy

---

[1]) Józef Piłsudski został zaaresztowany przez Niemców w Warszawie jednocześnie z pułkownikiem Sosnkowskim, wczesnym rankiem dnia 22 lipca 1917 r.

[2]) Piłsudski został przewieziony z Warszawy do Gdańska, skąd po kilku dniach do Szpandawy (Spandau), gdzie przebył około tygodnia. Stąd przewieziono go do Wesel, gdzie był więziony przez przeszło miesiąc, do początku września 1917. Stamtąd odesłano go do Magdeburga, gdzie przebywał do czasu uwolnienia.

[3]) Dosłownie: letnia izba aresztu oficerskiego.

z góry — zupełnego izolowania mnie od całego świata. Mieszkałem zresztą wcale wygodnie. Do rozporządzenia miałem na pierwszym piętrze trzy cele: pokój sypialny, coś w rodzaju pokoju, w którym mogłem kogoś przyjąć, a co w mojej sytuacji mogło mnie tylko do śmiechu pobudzać, i trzeci — pokój jadalny. Wszystkie trzy cele, dzień cały otwarte, wychodziły na ogródek, w którym było kilka drzew owocowych i trochę niewielkich krzewów czy roślin. Za ogródkiem był wielki wał ziemny dawnej fortecy, porosły murawą, wyższy znacznie od domu. Na dole, w parterowych celach, mieszkali podoficerowie, przeznaczeni do pilnowania mnie, i ordynansi, których systematycznie co powien czas mi zmieniano. W ogrodzie stał żołnierz uzbrojony, jako stała warta. Cały ogród był oddzielony od reszty świata, czyli od ogromnego podwórza cytadeli, wysokim szczelnym parkanem, zbitym z desek. Do świata zewnętrznego prowadziła furtka, za którą stał inny posterunek, wydzielony z fortecznego odwachu.

Jakby dla pocieszenia mnie i uhonorowania, powiedziano mi od razu, że w tym właśnie gmachu przeleżał i przesiedział przez dłuższy czas generał belgijski, dowódca twierdzy Liège, ranny przy jej obronie [1]).

Na razie wolno mi było spacerować w ogrodzie przez trzy godziny dziennie, potem przestano mnie w tym krępować i miałem prawie cały dzień do zmierzchu otwarte drzwi z górnego piętra do ogrodu. W tych warunkach przesiedziałem rok cały zupełnie samotnie i dopiero w połowie sierpnia 1918 r. przybył, jako towarzysz niedoli więziennej, gen. Sosnkowski, z którym pozostałem aż do zwolnienia mnie w listopadzie 1918 r.

Do życia więziennego, jak mi się zdaje, byłem urodzony. Bardzo łatwo znoszę samotność, nie odczuwając, jak inni, całego jej ciężaru i umiejąc łagodzić pracą myślową najcięższą stronę życia więziennego — tęsknotę. Nie ma bowiem wątpliwości, że każdego więźnia przytłaczać musi tęsknota do wolności, do swobody ruchów, do takiego stanu, gdzie nie ma tylu zakazów, ograniczeń, skazujących człowieka na monotonność

[1]) Dowódcą twierdzy Liège był belgijski gen. hr. Jerzy Leman, który został wzięty do niewoli w forcie Loncin, wysadzonym w sierpniu 1914 r. w powietrze, wskutek wybuchu spowodowanego przez ogień artylerii niemieckiej.

długiego szeregu dni, spędzanych zawsze jednakowo, zawsze w tych samych warunkach. Dla ludzi tak skrupulatnie izolowanych, jak ja byłem odcięty od świata w Magdeburgu, życie staje się ciężarem prawie nie do zniesienia. Dla mnie musiało to być tym cięższym, że wyrwany zostałem z życia, tak pełnego zmian i tak bogatego codzień w inne wrażenia. Żyłem życiem wojennym, w którym nerwy ludzkie przyzwyczajają się do wiecznego ruchu, do codziennej a koniecznej zmiany zajęcia, do koniecznej a codziennej przemiany samego siebie w coraz to nowy instrument walki, który pracuje coraz to innym wysiłkiem woli, nerwów, umysłu czy serca. Cisza więc więzienna i niezwykła, bo niemiecka, monotonia dni była doskonałym gruntem dla żrącej nieraz tęsknoty do barwnej i pełnej ruchu wstęgi życia wojennego. Zupełna izolacja przy tym nie dozwoliła mi nawet wiedzieć, co się stało lub co się dzieje z kolegami i przyjaciółmi, z którymi się zbratało w ciężkiej i twardej, lecz tak niezwykle uroczej i tak bratersko przeżytej pracy wojennej, odbytej w mojej I Brygadzie legionowej. Nieraz też w długich, samotnych przechadzkach po ogródku wyrastały mi, jak żywe, kwiaty wspomnienia o niedawnych przeżyciach. Cisnęły i łudziły one, jak fantomy oaz na pustyni, gdy podsuwały mi pod oczy miłe twarze przyjaciół, gdym w uszach słyszał nieledwie ich śmiechy obok huku armat i grzechotu karabinów, grających swą muzykę wojenną.

Dla zżarcia trawiącej mnie tęsknoty zmuszałem siebie do analizy swego postępowania, jako dowódcy. Bawiłem się w krytykę czy to siebie, czy to swych podwładnych, by oczy przestały widzieć, uszy słyszeć, serce bić mocniej, by móc te prawie zmysłowe wrażenia zamknąć w rozmyślania analityczne. Długo, długo pracowałem myślą jedynie. Wtedy zacząłem odczuwać, jak nieraz w poprzednich już moich więziennych przeżyciach, że zaczynam żyć jakimś nierealnym życiem, jakąś pracą głowy jedynie, tak, że zamierać zaczyna normalna praca organizmu. Zdecydowałem się zerwać z tym i, zrobiwszy dla próby gimnastykę woli przez zaniechanie na dwa tygodnie palenia, przyszedłem do przekonania, że najprostszym sposobem pozbycia się ciężaru tęsknoty jest próba rzucenia wspomnień na papier. Mieć pióro w ręku i jego mechaniczną pracą związać siebie ściślej z życiem, chociaż tak ubogim we wrażenia, lecz jednakże realnym!

I wtedy przyszły mi na myśl moje niegdyś, z czasów przedwojennych, dziesięcioletnie studia nad zjawiskiem wojny w świecie. Dziesięć lat wżerałem się w istotę pracy dowodzenia, w żywiole — jak mówi Clausewitz [1]) — niebezpieczeństwa, w żywiole niepewności, w żywiole wreszcie — jak ja określam — wiecznych sprzeczności nie do rozwikłania, rozcinanych, jak gordyjski węzeł, mieczem decyzji, mieczem rozkazu. Pamiętam, gdym szedł na wojnę w sierpniu 1914 r., postanowiłem sobie bacznie obserwować zjawiska wojny, bacznie analizować samego siebie, by sobie samemu rozwiązać mnóstwo wątpliwości, odpowiedzieć na mnóstwo pytań, pozostałych w duszy i w głowie z okresu studiów nad książkami. Teraz w Magdeburgu zdecydowałem się spróbować, czy pójdzie mi łatwo ziszczenie dawnych marzeń, bym mógł szczerze i spokojnie zilustrować sobą samym prawdę o istocie dowodzenia, prawdę o duszy dowódcy, uginającej się pod ciężarem niebezpieczeństw, niepewności i sprzeczności. Walczy z nimi, bo są one żywiołem wojny, każdy żołnierz. Dowódca niesie prócz tego ciężar odpowiedzialności za swych podwładnych, a na policzku swoim czuć musi piekący wstyd upokorzenia, gdy mu praca dowodzenia się nie uda, a za niepowodzenie krwią płacą inni. «Śmieszne ongiś marzenia — mówiłem sobie — możesz teraz w więzieniu urzeczywistnić, gdy przezwyciężysz lenistwo do pióra».

Taką była geneza leżących przed czytelnikiem wspomnień moich z pracy dowodzenia w r. 1914. Zdecydowałem wtedy od razu, że wybiorę dla opisu trzy najcięższej przeze mnie przeżyte prace w I Brygadzie. Momenty, w których ja, szafujący niezwykle ostrożnie krwią podwładnych, unikający nieraz rozmyślnie pracy dla sławy, by nie płacić za nią za drogo, umiałem czy musiałem zaryzykować całym nieledwie przeze mnie dowodzonym oddziałem, stawiając na kartę i siebie, jako dowódcę. Najcięższe moje prace dowodzenia: Ulina Mała, Marcinkowice i Kostiuchnówka [2]). Zdołałem skończyć tylko Ulinę Małą i Marcinkowice. Byłem tak zmęczony i przeżyciem, i pracą, w której bezwiednie obok prostego opisu oddawałem

[1]) Clausewitz Karol, generał pruski i pisarz wojskowy w epoce napoleońskiej.

[2]) Bój pod Kostiuchnówką stoczony został przez Legiony Polskie nad Styrem w dniach 4—6 lipca 1916 r.

tęsknotę do wszystkiego, co jest Polską, — do drogi błotnistej, do wsi zapadłej, do ludzi, krajobrazu i drogich mi kolegów, że zdecydowałem nie próbować na razie najcięższych wspomnień o najcięższej bitwie, o bitwie wśród borów i błot Polesia wołyńskiego. Lecz pióro się rozpędziło. Wspomnienia swawolne pobiegły w inną, milszą nieco stronę, w stronę przeżyć pierwszych prawie wrażeń wojny, pierwszych, jeszcze nieśmiałych wobec siebie samego prób dowodzenia, gdy rozmach szeroki myśli zwalczany był usilnie przez nieśmiałość i niepewność siebie. Tam bitwy niekrwawe z kawalerią rosyjską dawały pierwsze wrażenia muzyki bojowej, pierwsze wrażenia wczucia się w żywy teren obok pierwszych prób śmiałego manewru z grą trzema rodzimymi rzekami: Wisłą, Nidą i Dunajcem. Wobec tego zacząłem opisywać swoje tańce obok tych rzek we wrześniu 1914 r. pod tytułem «Nowy Korczyn—Opatowiec».

Pracę, prawie do końca już doprowadzoną, przerwało przybycie do magdeburskiej twierdzy gen. Sosnkowskiego. Odtąd tęsknota stała się lżejszą, a pióro zostało w kąt rzucone dla nieskończonych rozmów i wiecznych szachów. Ustępy o Nowym Korczynie i Opatowcu nie zostały zakończone.

W ten sposób moje zamiary uprzednie nie urzeczywistniły się. I dlatego musiałem włożyć trochę pracy, aby teraz do druku oddać rzeczy bardziej skończone. Zmiany, które wprowadziłem, są bardzo niewielkie. Konieczność ich wynikała stąd, że musiałem pracować w Magdeburgu w specjalnych warunkach, narzuconych mi przez więzienie. Po pierwsze więc nigdy nie mogłem być pewny, czy wszystko, co spod pióra mego wyjdzie, nie będzie mi w jakiejś chwili odebrane, może na zawsze. Z tego powodu, przyzwyczajony za młodu do przemyślności więźnia, postanowiłem oszukać swych aniołów stróżów. Zapowiedziałem więc, że chcę wnieść skargę zarówno na moje aresztowanie, jak i na trzymanie mnie, wbrew prawu pruskiemu, w zupełnej izolacji. O tych przepisach prawnych dowiedziałem się zupełnie wypadkowo od starego generała niemieckiego, dowódcy w Weslu, gdzie przewieziono mnie ze Spandau pod Berlinem. Oświadczył mi on z całą otwartością, że zaprotestował stanowczo przeciwko temu, aby w twierdzy, którą on dowodzi, postępowano z którymkolwiek z więźniów wbrew prawu pruskiemu, zabraniającemu, według niego, trzy-

mać kogokolwiek w odosobnieniu i samotności, prócz tych, którzy albo znajdują się pod śledztwem, albo sądownie na karę odosobnienia zostali skazani. Przypomniawszy sobie więc w Magdeburgu oburzenie generała z Wesla, zażądałem dla napisania swojej skargi większej ilości papieru, gdyż, nie znając dobrze niemieckiego języka, zniszczę z pewnością co najmniej kilkanaście konceptów polskich, nim je przystosuję do obcej, nieznanej mi dokładnie mowy. W ten sposób zdobyłem sobie wszystkie przybory do pisania oraz stworzyłem pozór, dlaczego przesiaduję przy stole z piórem w ręku. Cały ten przemyślny wybieg odbił się jednak bardzo wyraźnie na sposobie mego ówczesnego pisania. Nad całą moją pracą literacką w Magdeburgu ciąży, jako mus, oszczędność papieru. Nie tylko wszystkie kartki są zapisane niezwykle drobnym, trudno czytelnym pismem, lecz i sam styl ma na sobie piętno owej oszczędności. Dlatego też przy oddawaniu do druku musiałem wprowadzić drobne zresztą poprawki, obawiając się, że skróty mego myślenia nie będą dostatecznie zrozumiane przez czytelników. Wreszcie musiałem dokończyć opisu przeżyć moich z okresu pierwszych bojów pod Nowym Korczynem i Opatowcem.

Dla uzupełnienia historii rękopisu dodam, że pisałem go bez żadnej myśli o wydaniu kiedykolwiek. Wydawało mi się bowiem rzeczą nieprawdopodobną, aby uniknął on zwykłego losu wszystkich notatek więźniów, losu, mówiącego, że bardziej należą one do tych, co więźnia więżą, niż do niego samego. Istotnie, przez dłuższy czas nie znajdowały się one w moich rękach i zawdzięczam zwrot rękopisu, jak i wielu rzeczy moich, pozostałych w Magdeburgu, skrupulatności rządu niemieckiego, który zwrócił mi je wtedy, gdy już byłem w Belwederze. Wywieziono bowiem mnie i gen. Sosnkowskiego z Magdeburga w tak nagły i niezwykły sposób, że o zebraniu wszystkich rzeczy mowy nawet nie było.

Pewnego dnia w początkach listopada 1918 r.[1]) zjawili się dwaj oficerowie niemieccy[2]), ubrani już po cywilnemu. Oświadczyli nam, że jesteśmy wolni i że mamy natychmiast wyjechać do Berlina, skąd o szóstej wieczorem tegoż dnia odjeżdżamy pociągiem, odchodzącym do Warszawy. Gdy, zdzi-

[1]) Dnia 8 listopada 1918 r.
[2]) Płk. Harry hr. Kessler i rtm. Paweł Gülpen.

wieni, oglądaliśmy cywilny ubiór oficerów, powiedzieli nam oni z zażenowaniem, że rewolucja wybuchła w Magdeburgu i że wyjedziemy autami, nie jako wojskowi, ale jako zwykli śmiertelnicy. Przepraszając, prosili nas bardzo, byśmy nie zabierali żadnych swoich rzeczy z sobą, gdyż obawiają się, że może to zwrócić uwagę manifestantów, chodzących po ulicach. Nie wiem, cobym był wówczas postanowił, gdyby w tym oświadczeniu oficerów nie było obietnicy, że już o szóstej wieczorem będę siedział w pociągu, wiozącym mnie do Warszawy. Pod wpływem tej nadziei, zdecydowaliśmy się z Sosnkowskim szybko. On wziął mały neseserek, ja wyszedłem z twierdzy magdeburskiej, zawinąwszy w papier najkonieczniejsze tylko przybory toaletowe. Wyznam, że wtedy nie myślałem wcale ani o rękopisie, ani o jakichkolwiek rzeczach, które pozostawiałem w «Sommeroffiziersarreststube».

Gdyśmy po przejściu, niby spacerkiem, niedalekiego mostu na Elbie przystanęli, zajechały dwa auta, które za chwilkę w szybkim pędzie unosiły nas ze zrewoltowanego miasta.

Rękopis otrzymałem względnie bardzo niedawno do swoich rąk, gdyż przy zwrocie rzeczy magdeburskich został on, widocznie przez omyłkę, odesłany gen. Sosnkowskiemu wraz z jego papierami i rzeczami. I teraz dopiero odnowiłem swoje wspomnienia magdeburskie, przeglądając swoją więzienną próbę zilustrowania samym sobą pracy dowodzenia na wojnie.

Sulejówek, dnia 7 lutego 1925 r.

NOWY KORCZYN — OPATOWIEC

Pierwsze boje, pierwsze zetknięcia z wojną! Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie było w tym tak dużo rozrzewniającej poezji, jak w młodzieńczej pierwszej miłości, w pierwszych pocałunkach. Lecz tych najwcześniejszych moich zetknięć się z wojną nie poruszę. Na razie to zanadto mnie boli. Było tam zbyt dużo momentów niewojennych, a zarazem zbyt dużo zetknięć z brutalną prawdą niemocy i jakiejś niewolniczości własnego społeczeństwa, które uparcie wolało odepchnąć od siebie wszelką myśl o samodzielnej, sobie tylko podwładnej pracy, i szukało zawsze starannie uległości i posłuszeństwa obcym.

Pewnych jednak polityczno-wojskowych momentów dotknąć muszę, bo bez nich niezrozumiałymi byłyby moje decyzje.

Brałem w nich pod uwagę specjalne położenie strzelca wśród innych wojsk, położenie jego jako żołnierza, bez względu na jakiekolwiek polityczne motywy. Z góry przypuścić należało, że stosunek do nas, jako do formacji ochotniczej o charakterze milicyjnym, będzie polegał ze strony wojsk austriackich i niemieckich, armij stałych o wiekowych tradycjach, na głębokim niezaufaniu do naszej wartości żołnierskiej. Do tego byłem przygotowany i, znając dobrze wygórowaną ambicję strzelców, bałem się ogromnie, bym pierwszymi niepowodzeniami tę ich ambicję nie tylko nie uraził ale gorzej jeszcze — nie zabił w nich wiary w siebie, jako żołnierzy. A niepowodzenia można mieć było łatwo przy ogromnie niskim stanie naszego technicznego uzbrojenia i wyekwipowania. Przecie byliśmy zrazu uzbrojeni w przestarzałe, nierepetierowe karabiny Werndla, poza tym nie mieliśmy karabinów maszynowych i artylerii, nie posiadaliśmy prawie telefonów, kuchen polowych. Brakowało ładownic i większość żołnierzy w kieszeniach nosiła ładunki, które łatwo można było zgubić. Ten brak nabojów mógł w każdej krytycznej chwili zmieniać karabin w jakąś grubą i niezręczną maczugę. Wreszcie wewnętrznie, nieu-

łożone stosunki, tak, jak w każdej nowej formacji, sprawiały, że każdy z poszczególnych dowódców zużywać musiał mnóstwo czasu na uporządkowanie drobiazgów życiowych, na ułożenie jakiegoś wewnętrznego «modus vivendi» pomiędzy ludźmi. Sam musiałem ciągle załatwiać mnóstwo codziennych spraw, wynikających z tarcia całej maszyny wojskowej, spraw o charakterze osobistym. Kwestie starszeństwa pomiędzy oficerami, kwestie rozgraniczeń kompetencyj były tym piekłem po prostu, w którym żyłem na początku wojny. Musiałem bronić wojska nie tylko od zewnętrznych upokorzeń, ale i od wewnętrznego upokorzenia, które musiałoby się zrodzić z poczucia swej niższości w stosunku do otoczenia, z niezdolności wykonania wziętych na siebie zadań.

Odczuwałem dokładnie, że u wszystkich żołnierzy w głębi duszy jest bojaźń przed szalonym przedsięwzięciem, przed egzaminem, który jako żołnierze złożyć będziemy musieli, zarówno przed otoczeniem, jak i przed samym sobą.

Na szczęście w początkach nie mieliśmy jeszcze tej choroby, która w Legionach rozwielmożniła się dopiero później: protekcjonizmu dla «dekowników» wszelkiego rodzaju. Ten pasożyt przyszedł potem, gdy sztucznie skonstruowana polityczna Komenda Legionów poczęła szukać oparcia w wojsku, płodząc oficerów i rozdawając awanse swoim stronnikom bez żadnego względu na ich wartość żołnierską. Nie mówiąc już o całej «politycznej» (czytaj policyjnej) służbie tyłowej p. Sikorskiego. Trzeba przyznać, że za łaskawym przyzwoleniem szanownej Komendy Legionów rozmaici dziennikarze, malarze, różnego rodzaju politycy, znajdowali w wojsku ciepły kącik, no i oficerskie gwiazdki. Przecie jest publiczną tajemnicą, że gdy Legiony stały się modnymi, były one zarazem sposobem «dekowania się» od służby w wojsku austriackim, a gdy się służyło politycznie Komendzie Legionów, to za jej protekcją można się było ochronić i od służby wojskowej w ogóle. Zjawisko to nazywam brutalnie «zawszeniem» wojska. Każdy żołnierz wszędzie jest narażony na to, że do jego sławy, a kosztem jego niedoli przyczepia się pasożyt «tyłowy». Powiedziałbym, że miarą «moralności» danego narodu i jego wojska jest ilość i jakość służby tyłów. Im mniej tych tyłowców i im mniej wiodą życie pasożytów, tym naród i wojsko jest zdrowsze, tym «morale» jest wyższa. Otóż trzeba przyznać, że Komenda Legionów wraz z N. K. N-em zawszyła wojsko polskie nadzwyczaj skutecznie. Przez pewien czas obawiałem się, że ilość oficerów «tyłowych» i politycznych obrońców Komendy Legionów przewyższy liczbę żołnierzy frontowych. Jest

to chyba ideał pasożytniczy. Z tym zjawiskiem jednak, powtarzam, mieliśmy do czynienia dopiero później.

Gdym rozważał nasz stan uzbrojenia, gdym rozmyślał o egzaminie, który mieliśmy złożyć — a egzaminem dla żołnierzy zawsze jest bój — mówiłem sobie stale: — Ostrożnie, ostrożnie, jeszcze raz ostrożnie z ogniem. Nie bądź dzieckiem i nie puszczaj cugli swojej fantazji! — Lecz wszystko, co było we mnie charakterem, wolą, dumą i ambicją, burzyło się zawsze przeciwko takim kunktatorskim, «rozsądnym» myślom. Zresztą, zdaniem moim, nie było wyjścia. Iść na egzamin bojowy było, nie przeczę, przedsięwzięciem nadzwyczaj niebezpiecznym, ale tylko ryzykując to, ryzykując dużo, można było wygrać to, co przede wszystkim wygrać należało: zaufanie do siebie i szacunek żołnierski u otoczenia. Tak też i z początku postępowałem: stawiałem zawsze bardzo dużo na kartę. Marsz na Kielce, zdaniem moim, należał do najśmielszych akcyj wojennych. Do takich śmiałych prób zdania egzaminu należą również kilkudniowe boje pod Nowym Korczynem i Opatowcem, boje, pamiętne pewno dla wszystkich żołnierzy, którzy byli pod moją komendą. Po innych, ciężkich bitwach, któreśmy w ciągu wojny przebyli, już jako starzy, zcynicznieli żołnierze, wydają się boje nasze nad Wisłą fraszką i zabawką dziecinną. Śmiem jednak twierdzić, że wydają mi się one, gdy o nich wspominam, śmielszymi, niż inne, bo były pierwszymi, toczonymi w warunkach technicznie ciężkich, a moralnie trudnych, zwłaszcza wobec ówczesnej przegranej wojsk austriackich.

W Kielcach odbywała się ciężka, trudna praca organizacyjna. Strzelec ze Związków i Drużyn Strzeleckich, zatem na trzy czwarte cywil, przerabiał się na żołnierza. Obok tego szła praca zagospodarowania oddziału. Więc zakładaliśmy warsztaty wszelkiego rodzaju, formowaliśmy tabory i. t. d. Poza tym dokonywałem w Kielcach, jako pierwszym większym mieście Królestwa, próby politycznego związania ludności z nami. Kielce, jednym słowem, były bazą strzelecką, skoro Kraków, niestety, nią w owe czasy prawie nie był. Stamtąd przyszli ludzie, no i pierwsza licha broń, reszta musiała być stworzona własnymi siłami.

Wobec tego nic dziwnego, że Kielce miały dla mnie pierwszorzędne znaczenie wojenne, tak, jak każda podstawa wojny dla wojska. A tym czasem już po tygodniu spokojnego naszego pobytu w Kielcach miasto stało się pełnym dziwnych pogłosek, alarmujących wszystko, co żyło. Opowiadano więc o dziesiątkach tysięcy jazdy rosyjskiej, która idzie z Warszawy na Kielce i Kraków. Wymieniano nawet gen. Miszczenkę, jako

wodza masy kawalerii, wyrzuconej przez Rosjan na lewy brzeg Wisły, z kierunkiem marszu na Kraków, no i, naturalnie, z rozkazem zniszczenia przede wszystkim Kielc, a w Kielcach specjalnie mnie i moich strzelców. Te alarmujące pogłoski niepokoiły nie tylko nas, lecz i niewielką załogę austriacką i niemiecką, która stała w Kielcach. Wieści te dochodziły do Krakowa, skąd zarówno władze wojskowe, jak i politycy od opieki nad Legionami, raz po raz zapytywali Kielce, czy aby te alarmy nie są prawdziwe. Do mnie wpadał ciągle z tymi niepokojącymi wiadomościami podpułkownik pruski, dowodzący załogą niemiecką. Był to skądinąd bardzo porządny człowiek i żołnierz — nazwisko jego wyszło mi z pamięci, słyszałem, że jakoby poległ potem pod Warszawą. Powiedziałem mu, że biorę na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo kieleckiego garnizonu i ręczę, że niespodzianie napadnięci nie będziemy.

Wielką jest zaiste zasługą Beliny i mego biura wywiadowczego, złożonego prawie wyłącznie z kobiet, że mogłem wówczas posiadać dane o nieprzyjacielu. Opasałem wywiadami szerokie półkole dokoła Kielc tak, że istotnie byłem spokojny. Belina dokazywał po prostu cudów. Biedni ułani! Na siodłach, zdatnych do spacerów, niewtrenowani do dłuższych marszów, zajeżdżali konie, siedzenia zbijali na kotlety; uzbrojeni w długie, niezdatne do konnej służby karabiny, do krwi rozdzierali sobie plecy, a jednak wytrwale odbywali patrolowanie, robiąc niekiedy po 60—80 km dziennie w różnych kierunkach. Jeszcze bardziej ofiarnie pełniły służbę kobiety. Na furmankach tłukły się one samotnie po wszystkich drogach, zataczając kręgi znacznie obszerniejsze, niż jazda, bo sięgające do Warszawy, Piotrkowa i Dęblina. Na podstawie moich danych uspakajałem mego Niemca. Narazie nie było się czego obawiać. Nad Pilicą, na północy, jeden pułk dragonów starał się dowieść, że jest nie pułkiem, a co najmniej korpusem jazdy. Kawaleria rosyjska była wprawdzie szeroko rozrzuconą nad Pilicą, robiła wywiady na południe i wschód, ale wywiad mój napotykał ciągle na jeden tylko i ten sam pułk.

Sam więc byłem spokojny, ale uspokoić swego otoczenia nie mogłem. Te głupie pogłoski o masach kawalerii robiły swoje. Przypuszczam, że były rozmyślnie puszczane, a że ludność składała się z Żydów i Polaków — nacyj, wypędzających bardzo starannie z głowy wszystko, co pachnie wojną, a zatem ludzi, niezwykle łatwowiernych i poddających się strachowi — więc nerwowy stan otoczenia udzielał się niewielkiej załodze Kielc, ba, sięgał dalej, aż do bram Krakowa. Lecz wkrótce sytuacja zaczęła się pogarszać. Austriacy przegrali

walne bitwy pod Lwowem. Armia Dankla i grupa Kummera zostały w części rozbite, w części zmuszone do szybkiego odwrotu z Lubelszczyzny. Teraz zaczynało być istotnie ciepło. Na naszym lewym brzegu Wisły pierwsze dane o pogorszeniu sytuacji otrzymałem od swych wywiadowczyń aż spod Radomia, gdzie operował gen. Nowikow. Było to jeszcze daleko od nas, ale jednak zaczynało wzbudzać istotny niepokój.

Miałem wówczas zamiar przyjąć pierwszą bitwę pod Kielcami. Liczyłem, że będę miał przed sobą kawalerię rosyjską, a ta, po moich doświadczeniach z pochodu na Kielce, nie wzbudzała we mnie szacunku. Szło mi zaś o to, aby nawet w wypadku, gdybym miał opuścić Kielce, nie pozostawić po sobie wrażenia, że jesteśmy jakby dalszym ciągiem «uciekinierów» z 1863 r. Cofnąć się możemy, lecz wtedy, gdy pierwszą obroną wykażemy, że bić się potrafimy, a przy cofaniu się umiemy należycie zęby pokazać. Tam więc koło Kielc wybierałem sobie plac pierwszej większej bitwy. Nie sądzonym jednak mi było mieć bój pod tym miastem. Może być, że się stało i dobrze, gdyż Kielce same uniknęły ciężkiej kary i zemsty. Dotąd jednak żal mi, żem nie zatrzymał się przy swojej pierwszej decyzji i uległ okolicznościom. Okoliczności zaś były następujące.

Pewnego dnia przyszedł do mnie podpułkownik pruski z depeszą, że wojsko niemieckie nazajutrz wychodzi z Kielc, my zaś będziemy odwiezieni koleją do Krakowa, czy pod Kraków, prosi więc, abym się do tego wyjazdu przygotował. Oświadczyłem mu, że może on wychodzić z Kielc, dokąd mu się podoba, ja zaś zostanę w mieście, dopóki nieprzyjaciel nie zmusi mnie do cofnięcia się z niego. Nazajutrz rano zawiadomił mnie, że rozkaz wymarszu cofnięto i że zostaje narazie i on, prosi jednak, abym wzmocnił swoje wywiady, bo on ze swymi landszturmami, złożonymi z ludzi o dosyć podżyłym wieku, nie jest w stanie prowadzić na szeroką skalę wywiadów dokoła miasta.

Przez dwa dni był spokój, lecz wieczorem dosyć późnym, dnia drugiego, przyszedł do mnie znowu komendant pruski ze swym adiutantem, przynosząc mi tym razem i depeszę do mnie z Krakowa od Komendy Legionów. Telegram brzmiał, że mam razem z Prusakami i Austriakami wymaszerować nazajutrz rano z Kielc w kierunku Staszowa, rekrutów zaś mam odesłać nazajutrz, rannym pociągiem do Krakowa. Podpułkownik pruski dodał, że to nie jest cofanie się, lecz — odwrotnie — idziemy w kierunku nieprzyjaciela, który się ukazał koło Staszowa, liczy więc, że nie zechcę odmówić mu pomocy.

Ciężko mi było istotnie odmawiać w tym wypadku. Przed dwoma dniami mowa była jedynie o cofaniu się do Krakowa, teraz o marszu w kierunku nieprzyjaciela. Odpowiedziałem, że się namyślę, i umówiłem się, że jeżeli pójdę razem, to wymarsz nastąpi raniutko, o świcie, ze zbiórką u rozdwojenia szos: krakowskiej i chmielnickiej. Po jego odejściu spędziłem bardzo przykrą godzinę, namyślając się, co mam uczynić.

Dobrze było mówić każdemu Austriakowi czy Prusakowi, że wychodzi z Kielc za kilka godzin. Żaden z nich niczym nie był z miastem związany, każdy otrzymywał wszystko, co mu potrzeba czy z Berlina, czy z Wiednia. Było im zupełnie obojętnym, czy to, co wyciskają z miejscowej ludności, biorą z Kielc, czy z innego miejsca. Żaden z nich również uczuciowo nie miał nic wspólnego z miastem. Dla mnie była to operacja i trudna i bolesna. Trudna dlatego, że w Kielcach założone zostały wszelkie warsztaty: krawieckie, szewskie, rymarskie, tu pod względem wyekwipowania była moja baza, już do pewnego stopnia zorganizowana, i rozstać się z nią było niełatwo bez zmarnowania włożonej pracy i materiału. Tu też rozpoczęła się wcale nieźle praca organizowania nowych formacji wojskowych. Wreszcie względnie wielka ilość osób w Kielcach zaangażowała się w stosunki z nami. Opuścić ich bez pomocy — znaczyło wydać ich na zemstę nieprzyjaciela. Nie mogłem przecie mieć takiego stosunku do pracy, jak komendant Legionów, który, dowiedziawszy się od stojącego na warcie żołnierza, że jest moim rekrutem z Jędrzejowa, pogroził mu palcem, dodając: «Poczekaj, poczekaj! Przyjdą Moskale, to cię powieszą!»

Zostać jednak w Kielcach było bardzo trudno, powiedziałbym więcej — było niemożliwe. Pod względem technicznym byliśmy bardzo śmieszną organizacją, jak na r. 1914. Jeżeli w pierwszej chwili zgodziłem się na próbę wymarszu z werndlami, to teraz odczuwałem wyraźnie, że jestem w celach bardzo dziwacznych jak gdyby szantażowany przezbrojeniem nas w normalną broń repetierową. Szło o poddanie się komuś bez zastrzeżeń. Lecz gdy rozważałem pytanie, komu właściwie mam być poddany, nie mogłem znaleźć odpowiedzi dla samego siebie. Nie mogłem zdać sobie z tego sprawy, gdyż szantaż prowadzony był z dwóch, że tak powiem, stron: ze strony N. K. N., czyli organizacji polskiej, i ze strony austriackich oficerów sztabu, spomiędzy których każdy mówił co innego. Jeden udawał patriotę polskiego, chcącego razem ze mną konspirować przeciw Austriakom, tak, że wydawał mi się ajentem prowokatorem, drugi ze wzruszeniem ramion mówił o wszelkich pró-

bach N. K. N-u, trzeci żądał po prostu poddania się N. K. N-owi, grożąc rozbrojeniem nawet z werndlów i. t. d. Wyglądało mi to tak, że z jednej strony lekceważono nas zupełnie — na co byłem w pierwszych chwilach wojny przygotowany — z drugiej zaś strony szukano zrobienia jakiegoś niezrozumiałego dla mnie geszeftu czy kariery, kosztem naszym i naszej skóry. Nieraz zastanawiałem się, czy różni panowie z N. K. N-u i oficerowie sztabu, z którymi miałem do czynienia, odpowiadali przed jakąś władzą przełożoną za swoje postępowanie w stosunku do nas. W każdym razie pewnikiem dla mnie było, że jeśli ich obietnice i szantaże są czynione dla jednego i tego samego celu, to niedostatecznie się umówiono przedtem, nim rozpoczęto rozmowę ze mną. Przez cały ów czas miałem wrażenie, że mam do czynienia raczej z jakimś osobistym interesem tych wszystkich panów, którzy nie czuli się zobowiązani do mówienia prawdy swojej władzy. Jakimś niewyraźnym na razie celem, o ile zrozumieć mogłem wtedy, była chęć odebrania mnie i moim strzelcom możliwie dużo z tej samodzielności, którą dawała mi pierwsza umowa z Austrią. Chciano narzucić nam zewnętrzne cechy austriackie, poddać nas rozkazom nieledwie pierwszego lepszego drobnego oficera czy nawet agenta szpiegowskiego. Głównym momentem szantażu było uzbrojenie, tym próbowano stale wydobyć ze mnie zgodę na coraz nowe, coraz inaczej brzmiące propozycje, idące jednak zawsze w kierunku zmniejszenia naszej samodzielności. Ta widocznie była głównym wrogiem, główną naszą zbrodnią i wobec rozumujących Polaków z N. K. N-u, i — co już było bardziej naturalnym — wobec różnych przedstawicieli władzy wojskowej austriackiej.

Wahałem się, czy mogę pozostać w Kielcach. Byłem niedostatecznie uzbrojony, wyekwipowany licho wie jak, bez ładownic, bez płaszczów, bez butów, wytrzymujących dłuższe marsze, bez środków, pozwalających żołnierzowi wieść w polu swoje skromne życie, wreszcie bez kuchen polowych, tego dobrodziejstwa żołnierza na wojnie. Byliśmy umundurowani licho, po strzelecku, za własne pieniądze, nie stanowiliśmy oddziału zdatnego — według powszechnego sądu t. zw. fachowców — ani do boju, ani do jakiejkolwiek operacji wojennej, wymagającej wysiłku pracy żołnierskiej przez kilka dni, bez żadnej przerwy.

Tym bardziej, tym silniej wzrastała we mnie wtedy chęć do ulegania temu sądowi, tym chętniej poszedłbym wbrew rozkazom, opartym na tym lekceważącym nas mniemaniu. Nie chciałem ustąpić przed głupotą sądów fachowych, przed

sądami tchórzliwych mądrali polskich, powtarzających te fachowe dogmaty z głupotą w drugiej czy nawet dwudziestej potędze. Wahałem się. Przerzucałem raz po raz mapy, szukając wyjścia. Upierałem się przy zasadniczej myśli, której się trzymałem przy decyzji wymarszu z werndlami, dającymi od pierwszej chwili spotkania z nieprzyjacielem przewagę broni w jego ręce. Tą zasadniczą myślą były lasy. Te usuwają przewagę dalekonośności i szybkostrzelności, dają możność walki z równymi szansami. Błyskała mi myśl wyjścia naprzód i zajęcia gdzieś pozycji dalej od Kielc w lasach samsonowskich, tak, by mieć zapewnioną drogę odwrotu leśnymi drogami; to znów plan pójścia ku Miechowowi, trzymając się lasów na północ od kolei i szosy Miechów—Kielce, albo, co byłoby już trudniejszym, posunięcia się ku Pińczowowi i oparcia się na Nidzie. Powtórzyć chciałem w lepszy sposób niefortunny kontredans Langiewicza koło Nidy, zakończony upadkiem operetkowej jego dyktatury. Odrzuciłem wreszcie te myśli i odłożyłem próbę zdania egzaminu bojowego, próbę zdobycia pracą i bojem szacunku dla siebie i strzelców.

Po pewnym wahaniu się powziąłem decyzję. Część oddziału pod dowództwem Sosnkowskiego pójdzie rano z Prusakami. Ja z częścią jazdy i dwoma batalionami piechoty zostanę jeszcze pół dnia w Kielcach. Przez ten czas ewakuuję Kielce z wszystkiego, co zostać tam nie może, i z tego, co mogłoby paść ofiarą zemsty nieprzyjaciela. Potem pomaszeruję również ku Wiśle, stanowiąc, że tak powiem, straż tylną. Ta straż tylna, wbrew wszelkim zasadom, miała być przeciążona do niemożliwości mnóstwem taborów wszelkiego rodzaju.

Decyzja ta dużo mnie kosztowała. Tak było ciężko rozstawać się z pracą, która i ładnie już tu się rozpoczynała, i była jedyną nadzieją na samodzielną przyszłość wojskową. Galicja była jedynie odskocznią, egzamin trzeba było złożyć nie gdzieindziej, jak w Królestwie. Ale trudno — decyzja została powzięta i tejże nocy zostały wydane odpowiednie rozkazy. Niektóre oddziały, rozesłane na wywiady i ochronę, trzeba było ściągać aż spod Końskich.

O świcie większość mego oddziału z Sosnkowskim odmaszerowała w stronę Chmielnika. Całe przedpołudnie byłem zajęty bolesną operacją ewakuacji Kielc. Na szczęście, pociąg ewakuacyjny istotnie przyszedł, można więc było dużą część wyprawić koleją, inaczej moja ariergarda wyglądałaby raczej na jakąś część wędrówki narodów, niż na wojsko. Dowódca pociągu prosił, bym nie wymaszerowywał z miasta dopóki pociąg nie odjedzie. Prośba była zupełnie naturalna. W Kielcach

prócz moich dwóch batalionów i garstki beliniaków nie było już wojska, a pogłoski, coraz bardziej alarmujące, przychodziły raz po raz. Sam otrzymałem pewną wiadomość, że kawaleria rosyjska zbliża się od strony Radomia i Końskich. Jeszcze chwilę walczyłem z sobą, czy nie doczekać chociażby pierwszych patroli i ostrzelać plac pod Kielcami. Nie! Odrzuciłem raz jeszcze tę najprzyjemniejszą dla mnie decyzję. A tymczasem żegnałem się z Kielcami, z pałacem byłym biskupim, ogrodem, powiem wprost, z najpiękniejszą i najserdeczniej kochaną pracą i... — czego jeszcze nie wiedziałem — z najmilszym, bo najsamodzielniejszym okresem wojny. Pociąg nie odchodził o zamierzonym czasie, chwile pożegnania przeciągały się. Dopiero pod wieczór tabor i oddział ściągnął się na drogę do Chmielnika. Zdecydowałem zanocować w Morawicy. Nieprzyjaciela pod Kielcami jeszcze nie było.

Marsz nasz był łatwy, krótki i przy wieczornym chłodzie nie nużący. Dokuczał trochę kurz. Gdym jechał konno gdzieś na końcu kolumny, zastanawiałem się, jak to na wojnie inaczej się marsze odbywają, niż na szkolnych ćwiczeniach. Szliśmy marszem niby ubezpieczonym. Strzec musiałem specjalnie swej lewej flanki, skąd oczekiwałem nieprzyjaciela. Szczególnie zabawnie wyglądało to ubezpieczenie, gdyśmy weszli w korytarz, mający po obu stronach duże parcele leśne, oddalone od drogi o jakieś pięćset—osiemset kroków. Wobec dużego taboru kolumna nasza marszowa była niezmiernie długą, ciągnęła się co najmniej półtora, jeśli nie całych dwa km. Gdybym chciał być tak ostrożnym, jak to nakazują szkolne regulaminy, nie doszedłbym po prostu dnia tego do Morawicy i zamęczyłbym wojsko patrolowaniem tak trudnego do przejrzenia terenu. Ograniczyłem się zaś do wysłania na lewo, poza las, paru konnych patroli, reszta maszerowała spokojnie kolumną po drodze. Próbowałem ustanowić jakiś związek pomiędzy kolumną a boczną osłoną, ale ani razu nie udało mi się tego zrobić. Przestrzeń wobec lasów była bardzo duża, a ludzi, użytych do osłony, bardzo mało. Maszerowało się zatem raczej pod osłoną boską, niż przy istotnym ubezpieczeniu wojskowym.

W Morawicy miałem bardzo miły nocleg we dworze. Niespodziewanie spotkałem tam panią M. z dziećmi, żonę jednego z moich przyjaciół, u którego dziesiątki razy nocowałem w Kijowie podczas swoich nielegalnych wędrówek po państwie cara. Dzieci, że tak powiem, rosły w moich oczach. Miałem bardzo przyjemną chwilę. Tamże w nocy otrzymałem raport od Sosnkowskiego, który mi donosił o nadzwyczajnie uciążliwym marszu do Lisowa, gdzie stanęli na noc. Wyznaczono im,

naturalnie, biwak w polu, gdzie uprzywilejowani, t. zn. Austriacy i Niemcy, zajęli kwatery we wsi. Nazajutrz równie gwałtownym marszem miano podsunąć się pod Staszów. Pożałowałem, żem nie zostawił przy sobie jeszcze jednego batalionu — mieliby chłopcy daleko lepszy wypoczynek. Niestety, musiałem wyznaczyć na następny dzień marsz równie gwałtowny, ażeby zbliżyć się do maszerującego przede mną oddziału, który mógł już zgodnie z tym, co mi mówił pruski podpułkownik, wejść pod Staszowem w prawdopodobny kontakt z nieprzyjacielem. Nakazałem więc wymarsz bardzo wczesny. Wiedziałem, że nie będzie on łatwy. Nie mieliśmy kuchen polowych, które zawczasu przygotowałyby śniadanie dla ludzi, a w drodze podczas marszu na to, by zjeść obiad, musieliśmy znowu sobie radzić, gotując po chatach, co zabierało i dużo czasu, i wymagało pracy wielu ludzi. Nie było jednak rady, więc rozkazy wydałem ostre, nakazując absolutną punktualność.

Marsz istotnie był bardzo ciężki. Jeszcze na razie o porannym chłodzie szło się bardzo raźnie. W Lisowie zastałem większą część taboru Sosnkowskiego, która jeszcze nie odmaszerowała. Była to garść chorych i słabych, dla których doktor szukał furmanek. Tu opowiedziano mi zabawną scenę podczas nocy na biwaku pod Lisowem. Strzelcy rozpalili ognie i, zebrawszy się koło ognisk, rozpoczęli chóralny śpiew. Wywołało to niepokój u nocujących w chatach Austriaków i Niemców. Przybiegł jakiś oficer z poleceniem, by zgaszono ognie i zaprzestano śpiewu; lasy są jakoby pełne kozaków i ten hałas gotów ich ściągnąć do Lisowa. Sosnkowski, oburzony, odpowiedział, że noc jest chłodna, jemu nie wyznaczono ani jednej chaty, więc musi pozwolić palić ognie, a co do tego, że «die Stschelzen singen», co ma sprowadzić kozaków, to i on, i strzelcy bardzoby się ucieszyli, gdyby istotnie przyszli kozacy, mieliby przyzwoity bój, a nie spędzanie bezsennej nocy pod gołym niebem i zazdroszczenie kolegom ich noclegu w ciepłych chatach. Pozostawiono biednym strzelcom wobec tego swobodę palenia ognisk i śpiewania. Odtąd przez dłuższy czas przysłowiowym było w całym moim oddziale określenie «die Stschelzen singen».

Z tego opowiadania wywnioskowałem, że jednak ciągłe gawędy o niezliczonym mrowiu kozaków, ukrytych po lasach, robią swoje: czynią ludzi nerwowymi. W tym samym Lisowie i mnie opowiadano przy szklance herbaty, którą tam zdążyłem przełknąć, o tych kozakach, kręcących się w lasach okolicznych. Nie zwróciłem na to uwagi i nie zwiększyłem

osłony swego marszu. Coś niecoś w tych opowiadaniach było jednak prawdy, bo gdym wyszedł z lasów lisowskich na otwarte pola pod Chmielnikiem, to na prawo na wzgórzach ukazywali się konni, jadący w kierunku już od Chmielnika. Ale byli to poszczególni jeźdźcy, którzy, rzecz prosta, nie odważyliby się zaczepić kolumny. Nie spostrzegłem nawet jakiegoś zdenerwowania u chłopców, sam zaś spokojnie zatrzymałem cały oddział w Chmielniku na dłuższy odpoczynek obiadowy. Nie mogę jednak nie przyznać, że sam byłem trochę niespokojny. Gdym przeszedł przez rynek, zawalony po prostu wozami tak, iż przecisnąć się było trudno, gdym zobaczył swoich chłopców, łażących po miasteczku w poszukiwaniu prowiantów, papierosów itp. rzeczy, pomyślałem, że jeden szwadron, mający odwagę rzucenia się w ciasne uliczki miasteczka, narobiłby tu szalonego bigosu. Placówki dookoła były wystawione, ale chłopcy, uzbrojeni w werndle, z trudnością zatrzymaliby śmiało idącą naprzód jazdę.

Nieraz podczas wojny miałem do czynienia z podobnymi przypuszczeniami co do działań nieprzyjaciela. Nigdy właściwie człowiek na wojnie nie jest zupełnie pewny, zawsze są możliwości dla nieprzyjaciela szkodzenia i zrobienia jakiejś mniejszej lub większej przykrości. Zawsze w takich wypadkach przychodzą do głowy różne środki zapobiegawcze i zawsze odbywałem z sobą krótką walkę z powodu myśli o tym zapobieganiu. Każdy taki środek opłacić trzeba przecież mniejszą czy większą pracą i wydatkiem nerwowym żołnierza. Widziałem podczas wojny tak często brak oszczędności pod tym względem i lekkomyślne marnowanie pracy i nerwów żołnierskich dla spokoju pana dowódcy. Dlatego doprawdy rad jestem, żem od początku wojny zawsze wychodził zwycięsko z walk z tą pokusą zapobiegania wszystkim możliwym niespodziankom. Rozstrzygałem prawie zawsze na korzyść nerwów żołnierza, na niekorzyść swoich własnych. Brałem niepokój na siebie i wolałem przeżyć kilka chwil przykrych i denerwujących, niż zrzucić z siebie brzemię tego niepokoju kosztem odpoczynku i spokoju moich żołnierzy. Później, gdy byłem już pewien i siebie, i swoich oficerów, i żołnierzy, że damy sobie radę, byłem w takich chwilach o wiele spokojniejszy i nie kosztowały one mnie tak dużo, ale na początku wojny, gdy tej pewności nie miałem jeszcze, nieraz odbywałem z sobą ciężką i przykrą walkę. Zewnętrznie wyrażało się to zawsze w zwiększonej ilości wypalonych papierosów i zaciętym milczeniu.

W Lisowie postąpiłem zgodnie z moją metodą. Upewniłem się tylko, czy placówki istotnie rozstawione, kazałem

zmniejszyć, o ile możności, ilość żołnierzy, włóczących się za zakupami w miasteczku, i poszedłem na herbatę.

Z Chmielnika ruszyliśmy w kierunku Staszowa. Droga zrobiła się znacznie cięższa. Przedtem maszerowaliśmy szosą, teraz wpadliśmy na drogę, która może niegdyś była szosą, ale dziś była pełną piaszczystych wybojów. Upał nie ustawał. Kolumna i wozy szły w obłokach kurzu, kurzu tak gęstego, że ludzie nikli po prostu w tych tumanach, stając się coraz bardziej podobnymi do jakichś murzynów. Paliło szalone pragnienie, język przysychał do podniebienia, a suchość czuło się gdzieś w okolicy żołądka. Musiałem coraz częściej przystawać, a przy przemarszu przez wsie pozwalać na dłuższe odpoczynki dla nabrania wody. Kolumna się rozciągała i pełzła w tumanach kurzu leniwie i ospale. Zamilkły śpiewy, coraz więcej chłopców siadało przy drodze dla chwilowego odpoczynku. Z każdego batalionu kilku oficerów i lekarz zbierali tych biednych osłabłych chłopaków, zachęcając ich do nabrania siły i pocieszając, że ot tam, za tą górką lub laskiem już koniec marszu i odpoczynek.

Wyjechałem naprzód przed kolumnę. Zbliżał się wieczór; odczuwałem, że niepodobna będzie kontynuować marszu dalej. Trzeba było zatrzymać się na odpoczynek. Na pagórku stał dwór Grabie Wielkie wraz ze wsią tej samej nazwy. Zdecydowałem, by dać tu ludziom dłuższy odpoczynek. Wysłałem naprzód kwatermistrzów i stanąłem pod pagórkiem, na który droga stromo prowadziła po piasku. Mój ty Boże! żal mi było patrzeć! Z przechodzącej kolumny raz wraz osuwał się do rowu przydrożnego żołnierz i padał bezsilnie na trawę. Na ten ostatni pagórek nie starczyło mu już sił!

Pojechałem do dworu i wysłałem stamtąd lekarzy z wozami, aby ściągnąć osłabłych na nocleg. Zapadał duszny, nie przynoszący ulgi swą ochłodą, wieczór. W Grabiach ku wielkiemu swemu zdumieniu ujrzałem tabor pruski, idący na powrót w stronę Chmielnika. Ciężkie, przeładowane wozy zarzynały się w piach nieledwie po osie: konie, równie ciężkie i ogromne, pokryte potem i pianą, z trudnością wyciągały wozy z jam i dziur na drodze. Obok szli flegmatycznie opaśli landszturmiści, pykając fajki. Dziwnie niedostosowany do naszych dróg był ten ciężki, ładowny tabor niemiecki. Nie mogłem zrozumieć tego powrotnego ruchu taborów. Wysłałem oficera sprawdzić, co to znaczy? Okazało się, że wozy po tej drodze dalej iść nie mogą, wracają na szosę do Chmielnika, skąd pójdą szosą na Busk do Nowego Korczyna. Gdzież więc ten marsz ku nieprzyjacielowi? Wkrótce otrzymałem wyjaśnienie.

Od Sosnkowskiego przyszedł raport. Marsz mieli równie ciężki, jak my. Nasi kawalerzyści poszli aż do Staszowa. Mieli niewielką potyczkę z patrolami rosyjskimi, które szły od wschodu. Cały oddział jutro rano ma iść na południe na Wisłę, by pod Szczucinem przejść Wisłę i pójść do Galicji. Marsz jutrzejszy wyznaczony jest do Pacanowa.

Byłem wściekły! Więc do Galicji! Gdzieś się kilku kozaków ukazało i my wszyscy pospiesznie mamy zmykać od nich? Po co w takim razie wychodziłem tak pospiesznie z Kielc? Stamtąd tak samo wygodnie, a raczej jeszcze wygodniej mogłem zdążyć do Galicji, ale odchodziłbym pod istotnym naciskiem nieprzyjaciela, cofając się krok za krokiem, zmuszając go do rozwinięcia swych sił. Nie zostawiłbym ani wrogom, ani swoim podwładnym cienia wątpliwości, że się cofamy, jak żołnierze, a nie umykamy, jak zające, z powodu lada pogłoski głupiej o tysiącach kozaków, reprezentowanych realnie przez kilkunastu jeźdźców z patrolów. Dusiła mnie pasja! Bo teraz co? Grabie Wielkie niechybnie są bardzo ładnym miejscem na świecie, mam dla nich duży szacunek, ale co tu właściwie robić, gdy w Kielcach i okolicy każda godzina była wartościową? Zostawać w Grabiach, tak, jak chciałem to zrobić w Kielcach, nie ma najmniejszego sensu i celu. Jestem po prostu zmuszony do dalszego marszu do Galicji.

Jednak w głębi duszy istniała taka głęboka niechęć do opuszczenia Królestwa bez jasnego nacisku ze strony nieprzyjaciela, że i rozkazy, które w sprawie marszu wydałem, miały charakter ociągania się. Wyruszyć mieliśmy późno, jako cel marszu wyznaczyłem Stopnicę — ostatnie powiatowe miasto w Królestwie. Gdzieś jeszcze żyła nadzieja, że może się coś odmieni, a może łaskawe nieba zeszlą mi wreszcie kozaków, abym mógł z Królestwa wychodzić, jako walczący żołnierz, a nie jako uciekający przed paru kozakami demonstrant.

Nie mogłem się pozbyć uporczywej chęci zwalczenia tradycji myślowej naszego polskiego społeczeństwa w stosunku do 1863 r. Znałem doskonale tę tradycję! Pobłażliwa pogarda bardzo a bardzo rozumnych i praktycznych ludzi wobec śmiesznie głupiutkich stworzeń rozmazanych marzeniem o samodzielnej pracy polskiej, — to najwzględniejszy sąd, który spotkać mogliśmy dla siebie w tej tradycji. Obok zaś taki rozumny, taki praktyczny geszefcik, taki, co niecałe trzy grosze dziennie zarabia, a osłonięty ogromnym, olbrzymim hasłem patriotycznej pracy organicznej, której przeszkadzają takie właśnie wariaty! Piękna polska tradycja po klęsce 1863 r.! Znałem to dobrze i wiedziałem z góry, do czego ta tradycja prowadzi — do

najczarniejszych, do najsmrodliwszych sprzedaży i siebie, i polskich interesów, i polskiej samodzielności — każdemu, kto płaci. Znowu więc, dla pociechy tych tradycyjnych Polaków, mam być «uciekinierem» z czasów 1863 r.! Po to mnie może uzbrojono licho, po to zrobiono wszystko, bym nie mógł dobrze i przyzwoicie walczyć. Po to, by tym pewniejszy był tryumf «praktycznej, geszefciarskiej» myśli nad upartą głupotą «romantyków» o «samodzielnych» głowach!

Nieba nie były łaskawe! Noc minęła zupełnie spokojnie, równie spokojnie i pierwsze ranne godziny. O nieprzyjacielu ani słuchu, ani duchu. Nie, przepraszam, otrzymałem niezwykle zabawny meldunek o zbliżającej się «czarnej sotni». Tak! «czarnej sotni»! Rzecz się tak miała. Jeden z chłopców z V batalionu — jednego więc z tych, które maszerowały ze mną, a zatem ostatnie wyszły z Kielc — robotnik z Podgórza pod Krakowem, zawieruszył się jakoś przy odchodzeniu forpoczt z przed Kielc i pozostał sam, jako jedyna wojskowa osłona miasta od nieprzyjaciela. Jeden z tych wielu filozofów-dłubinosków, jak ich nazywałem, którzy w początku wojny lubili się gapić, rozkoszując się filozoficznie swobodnym życiem żołnierskim, którego dotąd nie znali. Otóż ten żołnierz doczekał pod Kielcami przyjścia Moskali, widział ich, oglądał, potem udał się do okolicznych mieszkańców, którzy go nakarmili i przebrali za wiejskiego chłopaka. W tym przebraniu powędrował za nami. Gdy przeszedł pod Morawicą forpoczty rosyjskie, dobrodusznie pożegnały go one uderzeniem nahajki po plecach. Dotarł wreszcie do Grabki, do oddziału, i teraz właśnie meldował mi swoje spostrzeżenia. Twierdził, że do Kielc przyszła «czarna sotnia».

— Jaka czarna secina? — pytam — czy to byli ludzie cywilni?

— Nie, Obywatelu Komendancie! Nie cywilni, wojsko!

— Więc jakaż to czarna sotnia? Dlaczego tak to wojsko nazywacie?

— Jakże, Obywatelu Komendancie! Czarna sotnia, na pewno. I konie były czarne, i mundury, i spodnie też czarne! Widziałem na własne oczy. Tylko srebrne galoniki mieli na spodniach, reszta wszystko czarne, nawet konie!

Uśmiałem się serdecznie. Jeden z pułków rosyjskich, zdaje się, huzarskich, tak właśnie jest umundurowany, a mój podgórzanin, który tyle czytał o okrucieństwach «czarnej sotni» w Rosji, uznał natychmiast tych huzarów za okrutną awangardę rosyjską, idącą wywierać w Kielcach zemstę na strzelcach.

Powtarzam, nieba nie były łaskawe: ani od Staszowa kozacy, ani od Kielc i Morawicy «czarna sotnia» nie ukazała się wcale, aby dać mi satysfakcję boju w Królestwie, a wyznaczony czas wymarszu zbliżył się. Jeszcze chwilka oczekiwania i opuściliśmy Grabie, maszerując ociężałym marszem ku Wiśle. Marsz i tym razem był ciężki, powietrze duszne, parne, przeddeszczowe. Jakoż, gdyśmy pod wieczór zbliżali się do Stopnicy, lunął deszcz, zmieniając drogę w brudne lepkie błoto. Do miasta wchodziliśmy, gdy już ściemniało zupełnie.

Po wysłuchaniu raportu o rozkwaterowaniu wojska wyszedłem na rynek. Plac, jak w Chmielniku, był zapchany taborami; konie wyprzężone chrupały owies i siano, na wozach, nakryci derami, leżeli woźnice, w ogromnej części miejscowi włościanie. I tak samo, jak w Chmielniku, myślałem:

— Jak tu łatwo o popłoch, jak łatwo uczynić mnóstwo szkody! Śmiały napad nocny mógłby rozbić wszystkie moje szacowne zbiory kieleckie!

Trochę niepokoju wkradło mi się w duszę i poszedłem sprawdzić osłonę najniebezpieczniejszego kierunku — wschodniego. Tu było spokojniej — byłem wśród wojska, nie wśród taborów. Placówka stała przyzwoicie, wysyłała przed siebie patrole, a jednak i tu ile sposobności dla przedsiębiorczego i odważnego przeciwnika!

Pomimo tych niepokojów zasnąłem smacznie, marząc wciąż o tym, że nieba będą mi łaskawsze w Stopnicy, niż w Grabiach, i ześlą mi jutro jaką «czarną» czy innego, mniej żałobnego koloru «sotnię» na pożegnanie z Królestwem. Od Sosnkowskiego przyszedł raport, że nazajutrz rano wyznaczono odmarsz do Szczucina. Posłałem mu rozkaz, by z całym oddziałem został w Pacanowie i czekał tam na mnie. Jeszcze nie opuszczała mnie nadzieja, którą pieściłem w duszy.

Belinie kazałem ze świtem rozesłać patrole w różne strony i postanowiłem czekać. Zwiedziłem nazajutrz rano klasztor, jeden z nielicznych, jaki pozostał w Królestwie. Tam kwaterą stał Belina. Klasztor miał tęgie mury, stał dosyć odosobniony od miasta i, zwiedzając go, przychodziła mi myśl, by tam właśnie zatrzymać się dłużej. Lecz co ja zrobię z tymi przeklętymi taborami? Cały skarb, zebrany w naszej bazie kieleckiej, był tam na wozach, a wychodząc z Kielc, dałem rozkaz niepozostawienia tam żadnego rzemyczka. Twierdziłem, że jeżeli już mamy się wycofać z Kielc, to tak, aby nie było najmniejszego śladu popłochu czy przerażenia. Byłoby więc teraz niekonsekwencją rzucać te wszystkie zapasy na łaskę i niełaskę losów. Tabor trzeba odprowadzić w bezpieczne miejsce,

kto wie, czy prędko będę mógł się znowu zdobyć na organizacyjno-taborowo-warsztatową pracę, a w łaskawą opiekę z góry niebardzo mi się chciało wierzyć. Ociągałem się z rozkazem wymarszu, namyślałem się wciąż, co robić, licząc ciągle, że «czarna sotnia» ukaże się na horyzoncie. Tak czas zszedł do obiadu.

W południe zjawił się u mnie podoficer legionowy, przybyły ze Szczucina, meldując mi, że przyszło tam z kompanią saperską trochę uzupełnień dla piechoty i — co głównie — transport karabinów Manlichera na zmianę naszych ciężkich, niezgrabnych i przestarzałych werndli. To było już coś. Po to warto było chodzić do Galicji. Sosnkowski zaś przysłał raport z Pacanowa, że otrzymał rozkaz, przynaglający do wymarszu, z ostrzeżeniem, że most w Szczucinie czeka tylko na nasz przemarsz, aby być zerwanym i spalonym. Sosnkowski prosił więc o rozkazy, donosząc mi zarazem, że na wschód od Pacanowa ukazały się patrole nieprzyjacielskie.

Nareszcie kończył się szantaż karabinami! Teraz zacznie się szantaż mundurami, butami i kuchniami! Przypomniałem sobie te same manewry z karabinami przy ćwiczeniach strzeleckich. Jeden pozwalał, drugi za nic w świecie. Jeden ustępował, jak w żydowskim sklepie, mówiąc: «Niech będzie, to tylko dla pana!» — drugi akurat odwrotnie twierdził: «Dla pana? Niepodobieństwo, ten a ten urząd czy oficer nie pozwala!» I pamiętam, gdym ten system podziwiał, jeden z rozumnych oficerów sentymentalnie i sentencjonalnie tłumaczył mi, że «u nas inaczej niczego nie można zrobić!» Nie sądziłem, aby przy wybuchu wojny, gdy państwo trzeszczało od nadmiernego wysiłku i gdy tyle władzy spoczęło nagle w ręku oficera, mogło pozostać to samo. A jednak! Wydawało mi się, że widzę ten sam szykano-personalny system, który teraz jest stosowany do mnie.

Niezrozumiałym dla mnie było i to straszenie mnie paleniem mostu w Szczucinie. Przed czym czy przed kim drżą tam ci, którzy przy moście stoją? Przed kozakami, którzy się w okolicy Pacanowa ukazali? Nie chciałem ustąpić przed głupią trwogą i kazałem wydawać żołnierzom obiad. Czyż nie mają oni jeść tylko dlatego, że kogoś tchórz oblatuje?! Wreszcie z ciągłym ociąganiem się dałem rozkaz wymarszu do Pacanowa. Nieba nie były łaskawe na nas i w Stopnicy. Odmaszerowaliśmy po obiedzie zupełnie spokojnie. W Pacanowie zastałem Sosnkowskiego z całym oddziałem. Otrzymywał on ciągle ze Szczucina gwałtujące nakazy maszerowania do Galicji z ustawicznymi groźbami spalenia mostu. Oddział, do którego należał, był w ciągu ostatniego dnia i podczas noclegu w Pa-

canowie w stanie wielkiego podenerwowania. Spodziewano się tam co chwila napadu ze strony Rosjan, kozaków widziano nieledwie za każdym krzakiem.

Dziwna rzecz, jak zaraźliwym jest stan nerwowy na wojnie, jak łatwo poddać się sugestii niepokoju wobec ciągłego braku istotnie pewnych, że tak powiem, oczywistych danych o nieprzyjacielu. Do Szczucina trafiłem w 30 i parę godzin po przejściu przez Wisłę Austriaków i Niemców i poza drobną zupełnie utarczką z patrolem kozackim na wschód od Pacanowa nie miałem do czynienia z nieprzyjacielem. Tym czasem Austriacy i Niemcy już się widzieli prawie osaczonymi przez mrowie kozackie. Czyż nie jest to sugestia, wynikła z ustawicznych plotek i gawęd o tym mrowiu?

Objawów takiej sugestii można obserwować na wojnie mnóstwo. Do nich należała ta po prostu mania prześladowcza, która opanowywała ludzi na tle szpiegostwa, posługującego się rzekomo sygnalizowaniem różnego rodzaju znakami. Ile wiatraków padło ofiarą tej choroby, ile niewinnych ofiar złożyła biedna ludność polska! Ilekroć razy spotykałem się z objawami tej wojennej psychozy, tylekroć razy przypominałem sobie wypadek gen. Trasowa w czasie bitwy nad rzeką Jalu, opisany przez kpt. Swieczyna w jego wspomnieniach z wojny japońskiej. Ten trochę chory nerwowo generał upstrzył sobie, że widzi na górach przed frontem ogniki czerwone i zielone i na tej jedynie podstawie doszedł do przekonania, że jest zaatakowany przez Japończyków. Nazajutrz biednego Trasowa pozbawiono komendy.

Te ogniki i światełka to też była choroba, którą spotykałem często. Muszę przyznać, że są one istotnie denerwujące. Przypominam sobie wypadki, gdy sam siebie albo swych oficerów łapałem na przesadnej na tym tle podejrzliwości. Wśród ciemnej nocy błyska takie światełko i niknie, by zamigotać na nowo. «Po co, na co? Przecież — myślę sobie — dla zwykłej codziennej potrzeby nikt tak światłem nie manewruje». Parę razy starałem się zbadać przyczyny tych zjawisk, za każdym razem przekonywałem się, że źródłem ich są właśnie zwykłe codzienne prace, najczęściej własnego wojska. Gdym o tych rzeczach rozmawiał z wyższymi oficerami, zawsze dowodziłem, że nasz chłop, tak często analfabeta, nigdy nie da sobie rady ze skomplikowanym aparatem sygnałów świetlnych, tym bardziej z depeszowaniem systemem Morsego. Przyznać jednak muszę, że te błędne ogniki działają na nerwy i mogą wywoływać sugestie.

Przypominam sobie jeden wypadek z początków wojny,

bardzo charakterystyczny pod tym względem. Po pierwszym cofnięciu się z Kielc, cały nasz oddział zebrał się pod Chęcinami. Góra z ruinami zamku była obsadzona przez Wyrwę, który miał przeczekać odejścia całego oddziału w stronę mostu na Nidzie i potem zejść na szosę i stanowić ariergardę. Gdy oddział minął górę, zatrzymałem się, by dopilnować sprawnego funkcjonowania ariergardy. Batalion Wyrwy grupkami schodził z góry na szosę i formował się w kolumnę. Było już ciemno, gdy Wyrwa mi zameldował, że są już wszyscy i że możemy odchodzić. I w tej właśnie chwili zaczęły błyskać światełka na górze, którą przed chwilą opuścili żołnierze.

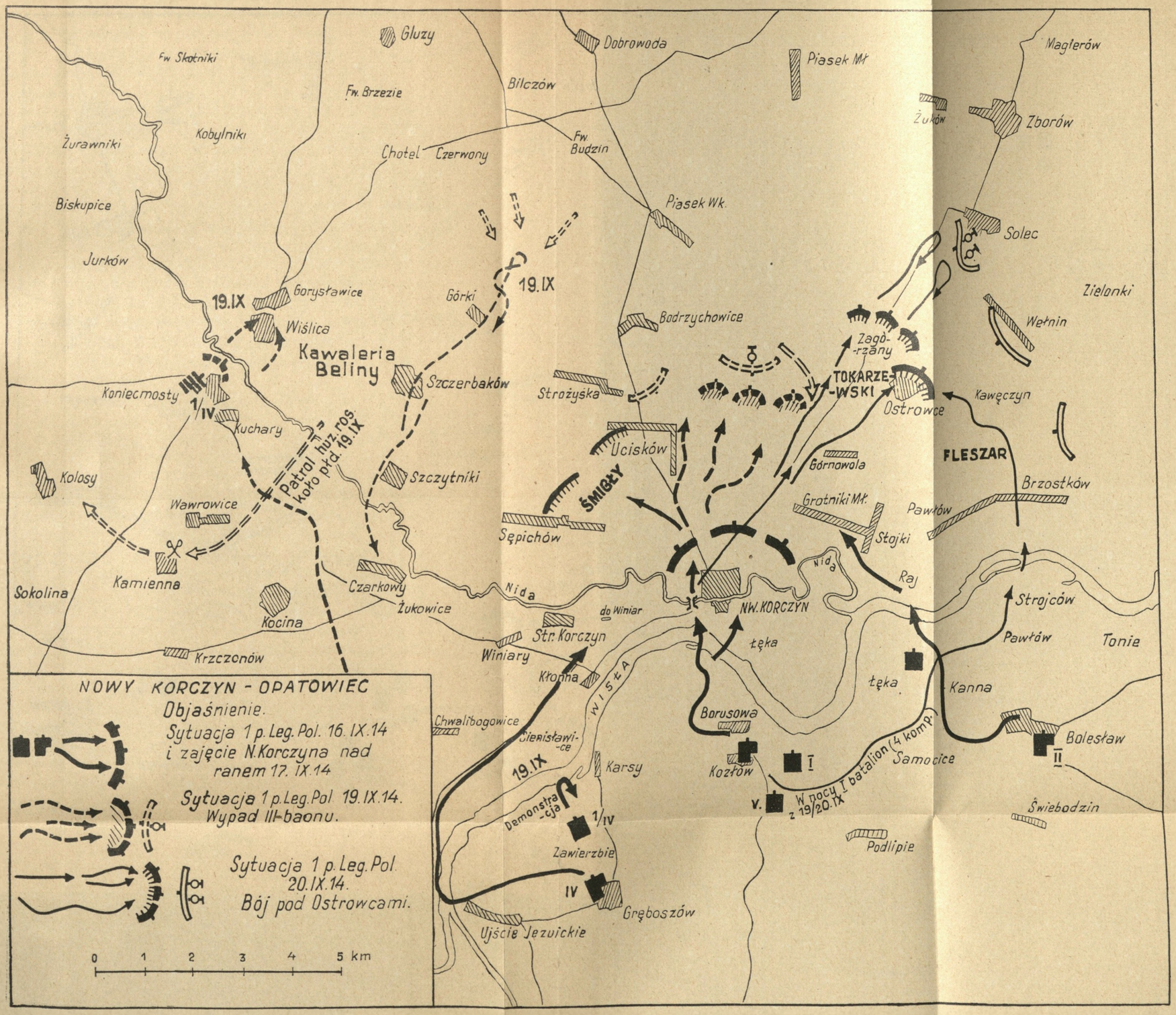
— Rzecz prosta — słyszałem w szeregach — sygnalizują, że góra opuszczona!

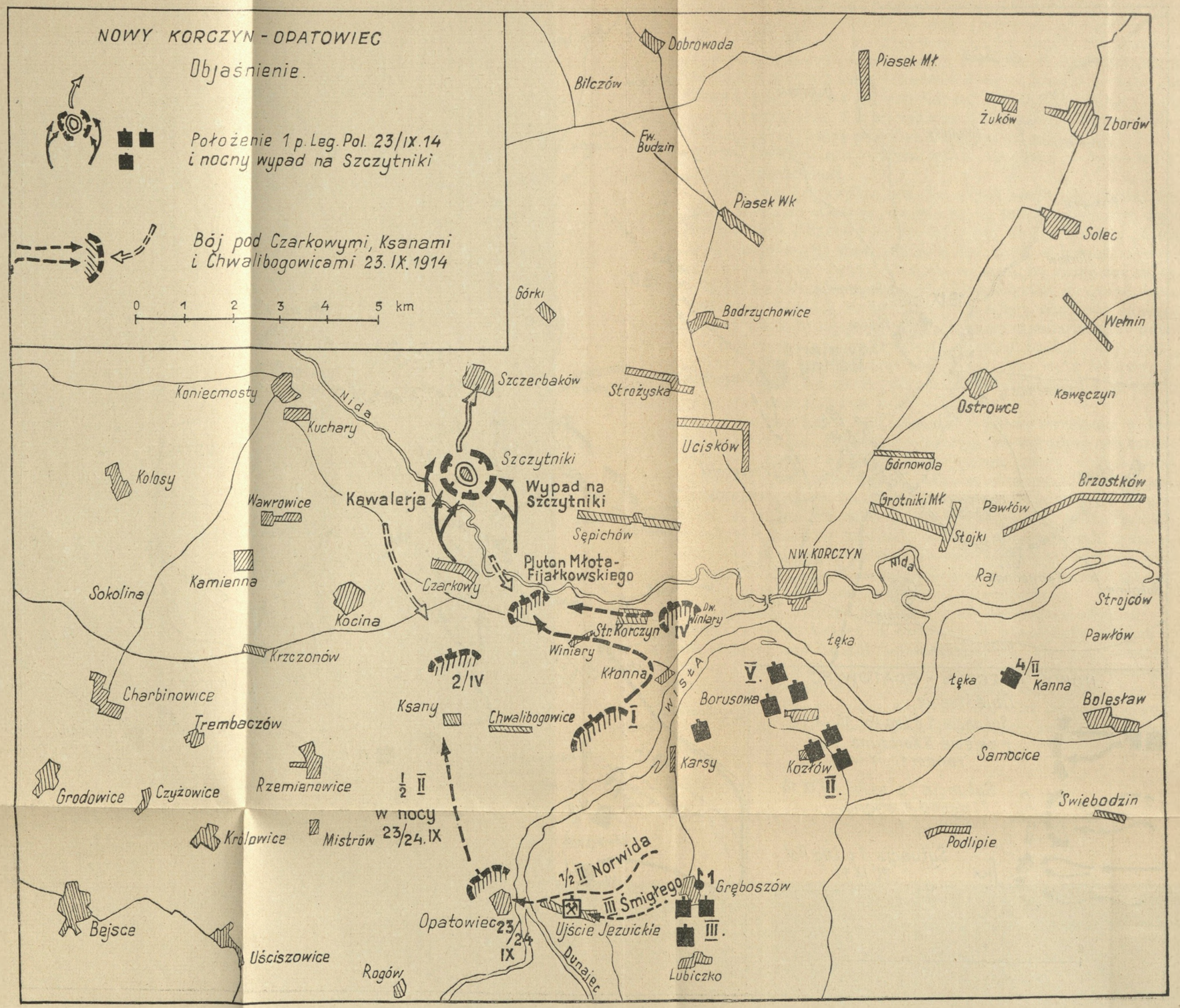
Wyrwa, jak zwykle, wesoły, zaczął nawet odczytywać sygnały. Wyznam otwarcie, zrobiło mi się jakoś niezręcznie. Jakgdybym czuł jakąś wrogą nieuchwytną dłoń, czyniącą gdzieś blisko mnie jakieś niezrozumiałe dla mnie, a jednak niechybnie mi szkodzące ruchy. Błysnęła mi myśl, by kazać dać salwę w kierunku światełka, nieprzestającego błyskać na górze. Lecz wkrótce rozległ się stamtąd głos, wołający nie kogo innego, jak nas. Okazało się, że jeden z żołnierzy zapomniał przy odejściu papierośnicy i wrócił po nią na górę. Szukał swej zguby, świecąc sobie latarką elektryczną. Śmiałem się z Wyrwy, że ten już starał się odczytywać sygnały. Wyrwa był wściekły i klął żołnierza na czym świat stoi.

Powstrzymałem się od dania rozkazu strzelania w kierunku światełka. Jestem przekonany, że ogromna większość ludzi taki rozkaz by dała. To uspokaja nerwy — jest jakaś czynność, przeciwdziałająca niebezpieczeństwu. Na wojnie zaś mnóstwo rzeczy dzieje się dla uspokojenia nerwów mniejszych i większych dowódców. Przeciąża się pracą podkomendnych, pali się wiatraki, wiesza się niewinnych ludzi — wszystko pod pozorem zapobieżenia niebezpieczeństwu, właściwie zaś dla uspokojenia rozdrażnionych nerwów tego czy innego pana. «À la guerre comme à la guerre!» [1]).

Podczas naszego marszu z Kielc nie poddawałem się sugestii o mrowiu kozackim, otaczającym nas dokoła. Miałem tę satysfakcję, żem ostatni schodził z pola, chociaż, zdaniem moim, i moje zejście z pola było przedwczesne i śmiało mogło być jeszcze o całą dobę, jeśli nie o dwie, odciągnięte bez żadnej szkody dla oddziału. Gdybym nie miał taboru, prawdopodobnie na złość tym strachom i sugestiom, zostałbym jeszcze

[1]) Na wojnie jak na wojnie!


Fw Skotniki
Gluzy
Dobrowoda
Piasek Mł
Magierów
Fw. Brzezie
Bilczów
Żukow
Zborów
Żurawniki
Kobylniki
Chotel Czerwony
Fw. Budzin
Biskupice
Piasek Wk.
Solec
Jurków
19.IX
Gorysławice
Górki
19.IX
Zielonki
Wiślica
Bodrzychowice
Wełnin
Kawaleria Beliny
Zagó-rzany
Szczerbaków
Strożyska
TOKARZE-WSKI
Ostrowce
Kawęczyn
Koniecmosty
1/IV
Kuchary
Patrol huz. ros. koło płd. 19.IX
Ucisków
Górnowola
FLESZAR
Kolosy
Szczytniki
ŚMIGŁY
Brzostków
Wawrowice
Grotniki Mł.
Pawłów
Sępichów
Stojki
Nida
Raj
Kamienna
Sokolina
Czarkowy
Żukowice
Nida
NW. KORCZYN
Strojców
Kocina
do Winiar
Str. Korczyn
Pawłów
Tonie
Krzczonów
Winiary
łęka
Kłonna
WISŁA
łęka
Kanna
Chwalibogowice
Borusowa
Bolesław
II
Bieniszawi-ce
19.IX
Karsy
Kozłów
I
Samocice
V.
W nocy z 19/20.IX I batalion (4 komp.)
Demonstra-cja
1/IV
Świebodzin
Zawierzbie
Podlipie
IV
Gręboszów
Ujście Jezuickie
NOWY KORCZYN - OPATOWIEC
Objaśnienie.
Sytuacja 1 p. Leg. Pol. 16. IX. 14 i zajęcie N. Korczyna nad ranem 17. IX. 14
Sytuacja 1 p. Leg. Pol. 19. IX. 14. Wypad III-baonu.
Sytuacja 1 p. Leg. Pol. 20. IX. 14. Bój pod Ostrowcami.
0 1 2 3 4 5 km


NOWY KORCZYN - OPATOWIEC
Objaśnienie.
Położenie 1 p. Leg. Pol. 23/IX.14 i nocny wypad na Szczytniki
Bój pod Czarkowymi, Ksanami i Chwalibogowicami 23. IX. 1914
0 1 2 3 4 5 km
Dobrowoda
Bilczów
Fw. Budzin
Piasek Mł.
Żuków
Zborów
Piasek Wk
Solec
Górki
Bodrzychowice
Wełnin
Szczerbaków
Strożyska
Koniecmosty
Nida
Kuchary
Ostrowce
Kawęczyn
Ucisków
Szczytniki
Wypad na Szczytniki
Kawalerja
Kolasy
Wawrowice
Górnowola
Brzostków
Grotniki Mł.
Pawłów
Stojki
Sępichów
Pluton Młota-Fijałkowskiego
NW. KORCZYN
Raj
Sokolina
Kamienna
Czarkowy
Kocina
Str. Korczyn
Dw. Winiary
Strojców
Winiary
Krzczonów
Łęka
Pawłów
Kłonna
Charbinowice
2/IV
Ksany
Chwalibogowice
WISŁA
Borusowa
4/II Kanna
Bolesław
Trembaczów
Karsy
Kozłów
Samocice
Grodowice
Czyżowice
Rzemieniowice
½ II w nocy 23/24. IX
Królowice
Mistrów
Świebodzin
Podlipie
½ II Norwida
III Śmigłego
Gręboszów
Opatowiec
23/24 IX
Ujście Jezuickie
Bejsce
Uściszowice
Rogów
Dunajec
Lubiczko

w Królestwie. Tak przykro, tak ciężko było z nim się rozstawać i wracać do Galicji, skąd się na wojnę wyszło. Zdawało się — a i istotnie tak było — przekroczenie powrotne granicy zamyka na wieki część tego, czym się żyło w początku wojny. Odsuwa bezpowrotnie w przeszłość coś bardzo drogiego. Drogiego, bo jakąś prawie urzeczywistnioną prawdę o samodzielnej pracy polskiej i widocznym, jasnym jej rozwoju.

Ze smutnym i ciężkim sercem wkraczałem na most pod Szczucinem. Most istotnie był przygotowany do spalenia. Na tamtym brzegu udałem się od razu do miejscowego komendanta, jakiegoś grubego, poczciwego podpułkownika, by go uspokoić i nie dać mu spalić mostu zaraz po przejściu pierwszej grupy mego oddziału. Wiedziałem bowiem, że po nocy kolumna znacznie się rozciągnęła. Droga nad Wisłą była błotnista i wozy raz po raz grzęzły, rozbijając kolumnę na części.

Po rozmowie oficjalnej z owym podpułkownikiem zwróciłem się do niego, jako do komendanta nieszczęśliwego mostu, przeznaczonego na zagładę, z prośbą, aby niewielką część furmanek, wziętych z najbliższej okolicy, puścił wolno z powrotem po przewiezieniu bagażu na tę stronę. Poczciwy podpułkownik nie miał w zasadzie nic przeciw temu, wyrażał tylko obawę, czy chłopi, jako Rusini *(Ruthenen)*, nie będą nam szkodzili po powrocie.

— Ależ oni nie są Rusinami! — mówię mu zdumiony.

— Czy pan z pewnością ręczy, że wśród nich nie ma Rusinów? — pytał mnie tryumfująco. — Przy tak mieszanej ludności nigdy takich rzeczy twierdzić nie można.

Byłem zupełnie zabity tym nadzwyczajnym odkryciem mieszanej ludności rusińsko-polskiej w powiecie stopnickim. Najzagorzalsi polakożercy z pomiędzy Rusinów czy Rosjan tak daleko nie sięgali w swych apetytach, jak ten dobroduszny rusinofob. Taką właśnie niebotyczną ignorancję stosunków polskich spotykałem bardzo często zarówno u austriackich, jak niemieckich oficerów. Trzeba przyznać, żeśmy o sobie kazali zapomnieć światu. Ignorancja ta jednak była zawsze dla mnie świadectwem, jak właściwie Niemcy i Austriacy nie na serio przygotowali się do wojny z Rosją, jak mało wchodziła ona w ich rachuby, a zatem jak mało również rachowali się ze wszystkim, co jest związane z Polską. Moja rozmowa z podpułkownikiem austriackim to jeden z przykładów tej ignorancji, która nieraz mnie podczas wojny śmieszyła, choć częściej drażniła i gniewała.

Pod Szczucinem staliśmy cały dzień następny. Tu czekało na nas całe moje uzupełnienie i saperzy. Jedni i drudzy przy-

szli z Krakowa z opaskami czarno-żółtymi. Upiększono nam mundur taką opaską na znak, że jesteśmy w austriackim landszturmie. Pierwszy komendant Legionów, gen. Baczyński, przedtem, nim przysłał nam naboje i amunicję do Kielc, nadesłał cały transport takich opasek. Rzecz prosta, że nie próbowałem nawet rozdawać tego żołnierzom. Miałbym obawę, aby kolory państwa, opiekującego się nami, nie uległy profanacji. Trzeba było słyszeć dowcipy moich chłopców, trzeba było widzieć zawstydzone miny żołnierzy uzupełnienia, pospiesznie zrzucających z mundurów ten państwowy dodatek, aby zrozumieć, jaką sprzeczność z duchem, panującym wśród żołnierzy, stanowiła cała umowa, zawarta przez N. K. N. z Austrią. Dodam, że od żadnego landszturmu w Austrii tego dodatku do umundurowania nie wymagano. Była to niechybnie mądra inwencja jakiegoś zaczadzonego sztablera, przeświadczonego o istnieniu mieszanej rusko-polskiej ludności pod Kielcami i pod Warszawą. Obawiał się on zapewne, byśmy nie włożyli nagle opasek czerwono-białych i tym nie obrazili najświętszych uczuć drugiej połowy mieszanej ludności, rozkochanej prawdopodobnie w innych kolorach.

Tutaj też, w Szczucinie, zrzuciliśmy z siebie nasze werndle. Mieliśmy nareszcie repetierowe karabiny Manlichera. Lżej odetchnąłem, gdym zobaczył moje bataliony, przechodzące koło mnie z nowoczesną bronią. Nie tak jednak patrzyli na to niektórzy z moich żołnierzy. Już się zdążyli oni przywiązać do swoich karabinów. Szczególnie górale z II batalionu wyrzekali na nową broń. Werndle były ciężkie, duże, czuło się, że się ma coś w garści. Miały one bagnety ledwie na dłoń szerokie, kule wyglądały, jak średniej wielkości ziemniaki — to ci była broń! A to zabawki jakieś. «Czy tym aby można zabić nieprzyjaciela?» — martwili się górale. Otrzymałem karabiny, ale nabojów do nich przysłano tak mało i w tak nieporządnym stanie, bo zmieszanych z ładownicami i innymi częściami wyekwipowania, że doprawdy uważałem to za jakąś rozmyślną szykanę. I kto wie, czy jej nie było. Musiałem natychmiast starać się o amunicję i porozsyłać po nią furmanki.

Tu zaszedł też komiczny incydent, charakteryzujący ówczesny stan wewnętrzny naszej organizacji wojskowej i dający zarazem pojęcie, jak na razie było trudno zrobić ze wszystkiego maszynę, funkcjonująca bez nadmiernego tarcia. Miałem dwóch nadzwyczajnie skądinąd miłych oficerów, którzy odznaczali się niezwykłą czupurnością i skłonnością obrażania innych i łatwością obrażania się samym. Lubiłem ich, tak zresztą, jak lubiłem całe nasze wojsko, — znani w pierwszej Brygadzie Be-

lina i Wyrwa. Poszło pomiędzy nimi w Szczucinie o konia czy o siodło. Kawaleria, muszę wyznać otwarcie, nie odznaczała się poszanowaniem czyjejkolwiek własności, o ile chodziło o konia czy o siodło. Formowana przez Belinę w okresie kieleckim, że tak powiem, z niczego, szukała ona stale albo konia, albo siodła, albo najczęściej i jednego, i drugiego razem, gdyż zawsze brakowało ułanom wszystkiego.

W batalionie Wyrwy właśnie zginął koń czy siodło i Wyrwa popędził od razu na poszukiwanie zguby nie gdzieindziej, jak do ułanów. Tam spotkał młodego oficera ułanów, który nie dopuścił go do oglądania koni i siodeł. Wyrwa — gorączka, jak zwykle — naklął, co się zmieści, i groził sprowadzeniem kompanii ze swego batalionu dla zrewidowania ułańskich ruchomości. Belina stanął w obronie ułanów, a że również, jak Wyrwa, nie należy do ludzi, mało impulsywnych i mających silne hamulce psychiczne, rozmowa przybrała pomiędzy przyjaciółmi — bo byli takimi — charakter drażliwy i ostry. Obaj stanęli do raportu do mnie ze skargą. Jak dzisiaj, widzę ich obu rozgorączkowanych sporem, gdy weszli do mnie, jak dwa rozsierdzone koguty, gotowe w każdej chwili rzucić się na siebie. Obu lubiłem bardzo i jako swoich uczniów, i jako zdolnych oficerów. Śmiech mnie brał pusty, patrząc na ich rozindyczone miny, lecz, gdy w obecności mojej dalej spór chcieli prowadzić, rozkrzyczałem się na dobre. Byłem zniecierpliwiony, gdyż takich właśnie sporów o drobnostki, o słowa nieraz, miałem w początku wojny całe mnóstwo. Zabierały one mi dużo czasu i świadczyły ciągle o niedostatecznie jeszcze utartych wzajemnych stosunkach pomiędzy ludźmi, którzy wczoraj jeszcze byli równymi sobie kolegami, a teraz od razu mieli być wojskiem z ustaloną hierarchią i ustalonymi stosunkami służbowymi. Sąd wydałem zupełnie Salomonowy. Kazałem, mianowicie, owego młodego oficera ułanów oddać pod rozkazy Wyrwy do komendy batalionu na tyle czasu, aż Wyrwa zda mi raport, że jest z oficera zadowolony. Wiedziałem, że złote serce łatwo wzruszającego się Wyrwy jednego dnia nie wytrzyma w gniewie. Tegoż wieczora też i Wyrwa meldował mi prośbę, aby ukaranego oficera odesłać z powrotem do ułanów.

Ten śmieszny obrazek staje mi zawsze w pamięci, gdy myślę o trudnościach, jakie miałem do zwalczenia przy organizacji próby wojska w 1914 r. Musiałem bronić się od ciągłych szykan i szantażów ze strony otoczenia, a równocześnie swoim jedynie autorytetem moralnym zmniejszać tarcia wewnętrzne, wynikające z szybkiej formacji ochotniczego materiału ludzkiego. Wyczuwałem, że mi praca idzie, że się udaje, lecz, wy-

znaję, była ona ciężką; tym cięższą, że wszystko od początku odbywało się w polu, podczas zetknięć z nieprzyjacielem, niekiedy w boju lub w jego oczekiwaniu. Nieraz przed wojną marzyłem o pracy podobnej, jako eksperymencie, przeczącym rutynie myślowej w wojsku, eksperymencie, nie dającym się pogodzić z żadną doktryną oficjalną i nieoficjalną. Wydawało mi się, że Polska jest skazaną na szybką improwizację siły zbrojnej, jeśli ją w ogóle chce mieć. Wszystko zaś, co było teorią, wszystko, co było uznaną doktryną, wszystko, co było stale i powszechnie powtarzanym przez wszystkie papugi, twierdziło: «Lasciate ogni speranza! [1]) — to głupie, to niemożliwe!» Miałem teraz w ręku możliwość improwizowania siły zbrojnej — i tyle od razu szykan, i tyle przeszkód, i tyle... niebotycznej, tchórzliwej głupoty!

Otrzymałem tegoż dnia rozkaz, tyczący się dalszej pracy. Ze zdziwieniem oglądałem ten papier. Oddawano mojej pieczy odcinek Wisły od Bolesławia w górę rzeki do ujścia Dunajca. Szło o przykrycie cofającej się armii 1-ej gen. Dankla, która była aż pod Lublinem, a teraz cofała się poza naszymi plecami gdzieś pod Tarnów.

Niewesoła perspektywa. Rozkaz podpisany był przez dowódcę etapów 1-ej armii, co mnie niezmiernie zdziwiło, wyglądało bowiem tak, jak gdyby dowództwo armii przestało istnieć, a my, należąc do etapów armii, mimo to mamy zadanie bojowe. O sytuacji całej nie było ani słowa, o nieprzyjacielu i jego działaniach nie umiano czy nie chciano czegokolwiek napisać. Pozostawiono to zupełnie domysłom wykonawców rozkazu lub plotkom, które krążyły już o klęskach pod Lublinem i pod Lwowem. Przeczytałem kilka razy rozkaz, tak sprzeczny z moimi pojęciami o rozkazie, wzruszałem ramionami i, nie znając jeszcze austriackiego systemu rozkazodawstwa, przypuszczać zacząłem, że armia właściwa jest jeszcze znacznie ku wschodowi — co było zresztą słuszne — a nieścisłość i nieumiejętność pisania rozkazu jest związana z etapowymi pojęciami o rozkazie i wojnie. Rozkaz był za to tyleż pompatyczny, co niejasny. Nakazywał on wszystkim odcinkom, a więc i naszemu, nie ograniczać się jedynie do pasywnej defenzywy, lecz wskazywał na konieczność ofensywnego w razie możności działania. Miała to być taka «ofensywna defensywa» czy «defensywna ofensywa», przy czym rozkaz ani słowem jednym nie zaznaczał, o co właściwie idzie więcej: czy o ofensywę,

[1]) Napis nad piekłem w utworze Dantego «Boska komedia». Lasciate ogni speranza voi ch'entrate — porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie.

czy — odwrotnie — o defensywę. Każdy więc z dowódców odcinków, a było ich kilku, mógł sobie dowolnie kłaść nacisk na obronę lub na wymagający więcej śmiałości atak. Co prawda, trochę śmiesznym wydał mi się ten atak etapów, jako awangardy, lecz myślałem, że może mieliśmy być zastąpieni potem przez armię 1-ą czy inną i że być może idzie o uzyskanie łatwiejszej możliwości przejścia Wisły, która płynęła przed nosem, oddzielając Galicję czyli państwo austriackie od rosyjskiego.

Był to pierwszy rozkaz pisemny operacyjny, który od Austriaków otrzymałem, dlatego analizowałem go dokładnie, chcąc znaleźć w nim wytyczne punkty dla moich rozkazów. Nie chciałem bowiem pozwolić ani sobie, ani mym podwładnym na obniżenie naszej wartości, jako żołnierzy, gdy znaleźliśmy się w otoczeniu tzw. regularnego wojska, które, jak było mi wiadomo, patrzało na nas ze wzruszeniem ramion. Rozkaz był pisany po niemiecku, odbity na hektografie, ale zawierał ustęp, dopisany, jak widać, specjalnie na maszynie, niepodpisany przez nikogo, a zredagowany w języku polskim. Dopisek wskazywał na konieczność napięcia wszystkich sił, gdyż idzie o obronę «zagrożonej ojczyzny». Ten dopisek był wspaniały! Uśmiechałem się gorzko! Bardzo niedawno dowiedziałem się od ppłk. Breitschneidra, dowódcy odcinka w Szczucinie, że w Kielecczyźnie jest obawa jakichś knowań Rusinów, teraz inny komendant austriacki pisze wyraźnie dla mnie zachętę, bym bronił «ojczyzny». Więc Bolesław, Gręboszów, więc Kozłów i Ujście Jezuickie to ojczyzna, a Nowy Korczyn za Wisłą, a Opatowiec, Szczytniki i Winiary, Chmielnik i Kielce, gdzie nam tak dobrze było, to było wszystko «Feindesland», było krajem wrogim. Dlatego, gdy chodziło o obronę Gręboszowa czy Kozłowa, dawano ostrogę mej pracy wojennej. Dziwny rozkaz, dziwny dopisek. Kręciłem papier w ręku długo, nim go nie rzuciłem na bok z niechęcią.

Miałem więc wybierać zarówno pomiędzy ofensywą i defensywą, jak i pomiędzy ojczyzną galicyjską a «Feindeslandem mit Ruthenen» [1]), leżącym za Wisłą, krajem, z którego mi się nie chciało tak wychodzić, żem ociągał się z tym dnie całe. W tych warunkach zdecydowałem się łatwo na atak i na «Feindesland mit Ruthenen».

Nazajutrz rano byłem już w marszu do Kozłowa, który punkt rozkazu wskazywał mi jako kwaterę komendy mego odcinka. W Bolesławiu piechota zatrzymała się na odpoczynek, a ja po obiedzie w gościnnym dworze w Bolesławiu pospieszy-

[1]) Kraj nieprzyjacielski z Rusinami.

łem za wysłaną naprzód jazdą, by obejrzeć swój odcinek. Wisła od ujścia Dunajca płynie w kierunku północno-wschodnim, a od Winiar skręca prosto na wschód, utrzymując ten kierunek aż do końca mego odcinka. Złą więc stroną obrony był ten zakręt rzeki. Jeszcze gorszą było to, że od ujścia Dunajca aż do Winiar brzeg przeciwległy panuje ogromnie nad znacznie niższym prawym brzegiem, którego miałem bronić. Zaczynając od Opatowca aż do Winiar, ze wzniesień lewego brzegu, można było przejrzeć najdrobniejsze szczegóły prawego brzegu i tylko gęste zadrzewienie niektórych wsi mogło dać jakie takie ukrycie. W razie poważniejszego zajęcia lewego brzegu ruch na moim brzegu mógłby się odbywać tylko nocą, a każdy pierwszy lepszy patrol z Winiar mógłby rozpatrzyć z łatwością cały rozkład obrony mego odcinka.

Rzeka również poważnej przeszkody nie stanowiła. Wisła w tym miejscu nie jest szeroka, a w czasie, gdym tam przybył, po suszy sierpniowej, stan wody był bardzo niski. Środki przewozowe stanowiły promy — bardzo zresztą prymitywne — w Opatowcu i Nowym Korczynie, oraz względnie niewielka ilość małych łodzi. Później odszukano jeszcze bliżej Bolesławia dwa stare promy. Wszystkie środki przewozowe ściągnięte były na nasz brzeg. Odcinek mój był właściwie głęboką dziurą, nad którą panował każdy, kto był w Winiarach i Opatowcu.

Bardzo pobieżnie oglądając okolicę, przybyłem za ułanami do Borusowej, leżącej naprzeciw Nowego Korczyna i ujścia Nidy, gdzie zameldowano mi, że nasi ułani przybyli tu właśnie w chwili, gdy straż skarbowa miała przez Wisłę strzelaninę z kozakami. Jeden z «financów» był ranny, a patrol naszych ułanów pod dowództwem Orlicza przeprawił się wpław przez Wisłę na tamten brzeg, skąd przysłać miał meldunek.

Więc Rosjanie są już w Nowym Korczynie! Zdecydowałem od razu, że przejdę na tamten brzeg. Nie tylko dlatego, że ciągnęło mnie do Królestwa, ale i dlatego, że chciałem możliwie długo utrzymać w swych rękach wysoki brzeg przeciwległy, aby nie mieć stałych obserwatorów nieprzyjacielskich nad sobą. Przyznaję też, że jednym z motywów była chęć pokazania wszystkim, że dla nas, strzelców, przeszkód nie ma — a dodać trzeba, że nastrój całego otoczenia cywilnego i wojskowego w tym właśnie czasie, po porażkach lwowskich, był bardzo trwożny i skłonny do przesady w ocenie sił przeciwnika. Wyczuwałem to w Szczucinie, a teraz to samo widziałem wśród ludności mego odcinka. Śmiałem się na myśl, jak to zaimponuje, gdy będziemy po tamtej stronie. Zresztą akcja na lewym brzegu Wisły była przecież wynikiem otrzymanego rozkazu.

Na razie postanowiłem wyczekać raportu Orlicza z tamtej strony. Sam system obrony nie mógł na razie być skomplikowany. Posłałem rozkaz, by postawić placówki i patrole na brzegu, a całe wojsko rozkwaterować po wsiach.

Wreszcie przyszedł raport Orlicza. Dzielny ten żołnierz przeprawił się z kilku ułanami wpław na brzeg nieprzyjacielski i zaatakował niespodzianie Moskali nad Nidą. Został lekko ranny i przysłał mi meldunek, że Nowy Korczyn jest słabo zajęty.

Zabawnym było to, że przeprawił się zupełnie nagi — tylko z karabinami i nabojami — i pozostał prawie do wieczora w adamowym stroju na tamtym brzegu. Przywieziono go dla złożenia mi meldunku, drżącego z zimna i otulonego w płaszcz dla opatrunku. Zabawnie wyglądał.

Tejże nocy kazałem przeprawić się II batalionowi, z Norwidem na czele, za Wisłę dla zajęcia Korczyna. Dwie kompanie z batalionu Wyrwy kazałem przerzucić do Opatowca, jako podstawę dla kawalerii — było jej niecały szwadron — której kazałem przejść Wisłę pod Opatowcem i zbadać okolicę: Winiar, Czarkowa aż po Wiślicę. Ruchy te odbyły się bez żadnych przeszkód ze strony nieprzyjaciela. Nieliczne patrole kozackie opuściły Korczyn, jak się okazało, zaraz po potyczce z Orliczem, tak, że Norwid nie spotkał nikogo ani przy przeprawie, ani przy zajmowaniu miasteczka. Belina zaraportował, że w najbliższej okolicy nieprzyjaciela nie ma, że jest on jakoby w Wiślicy, dokąd pójdą patrole. Na razie więc moja śmiałość opłaciła się — byłem z powrotem w Królestwie i podniosłem poczucie pewności siebie u moich żołnierzy. Zabawnym też było patrzeć na to, jak wzmógł się wtedy ogromnie nasz autorytet wśród ludności. Przejście Wisły uważano za czyn nadzwyczajnej odwagi i śmiałości strzelców.

Do pewnego stopnia był to czyn śmiały. Nie miałem za sobą mostów, a przeprawa na starych promach zajmowała bardzo dużo czasu. Niewątpliwie więc oddziały, przerzucone za Wisłę, byłyby eksponowane bardzo silnie w razie zjawienia się w ataku większej siły ze strony Rosjan. Przejazd przez Wisłę zajmował od 10—25 minut czasu i naraz można było przeprawić najwyżej 50 ludzi. Przeprawa więc słabego batalionu zajęłaby od 4—5 godzin czasu. W takich warunkach oddziały na lewym brzegu Wisły wisiałyby właściwie w powietrzu. Saperzy, którym poruczyłem opiekę nad przeprawą, wymyślali różne sposoby jej przyspieszenia, ale i sami nie byli jeszcze zbyt praktyczni pod tym względem, a zresztą, jak się to mówi, z próżnego i Salomon nie naleje.

Przy tych saperskich pracach zginął przedwcześnie jeden z oficerów, który mógł mieć przed sobą przyszłość z powodu gruntownego przygotowania się do pracy wojskowej, Stanisław Krynicki, noszący pseudonim Tymkowicza. Biedak utonął w Wiśle pod Nowym Korczynem. Śmierć jego była dla mnie pierwszym ciężkim przejściem moralnym. Po raz pierwszy zabierała mi wojna jednego z bliskich mi ludzi, jednego z tych, których w swym otoczeniu, w naszej rodzinie strzeleckiej, przyzwyczaiło się widzieć stale. To nagłe, nienaturalne zniknięcie młodego życia unaoczniało grozę wojny, a mnie dawało odczuć ciężar odpowiedzialności za to życie, z młodzieńczą wiarą oddawane mi w ręce. Późniejsze wypadki, które spotykały moich bliskich, pomimo, że byłem do nich często bardziej przywiązany uczuciowo, nie robiły na mnie tak wstrząsającego wrażenia, jak ten pierwszy ubytek z najbliższego mi otoczenia strzeleckiego. Chyba jeszcze śmierć Wyrwy w 1916 r. wstrząsnęła mną silniej, niż ten niespodziewany zgon Tymkowicza.

Ogromnym kłopotem w mej sytuacji było utrzymanie łączności z rozrzuconym oddziałem. Saperzy przyszli z niewielką ilością materiału telefonicznego, który starczył zaledwie na połączenie z Korczynem. Już z Opatowcem i ułanami trzeba było komunikować się najprymitywniejszymi środkami, tym uciążliwszymi, że pomiędzy nami była Wisła i długa przez nią przeprawa promem. Była to fatalna strona całego mego położenia. Ten brak wyekwipowania technicznego robił z nas porozrzucane luźno oddziały, a nie jednolity organizm, i w najgorętszych chwilach utrudniał szalenie kierownictwo. O! telefon jest wielkim dobrodziejstwem wojennym; żeby go tylko nie nadużywano, bo wtedy staje się wprost przekleństwem. Niejedno dałoby się opowiedzieć o tej skrzeczącej zmorze. Gdy zaś trafi się «nerwowy» dowódca, wtedy stanowczo byłoby lepiej dla wojska, gdyby tego wynalazku nie zrobiono, bo staje się on w takich warunkach nie pomocą, lecz przeszkodą skutecznej pracy wojennej.

Lecz wobec tego, że do nerwowych dowódców nie należę, dbam o spokój i nerwy swych podwładnych, telefonu nigdy nie nadużywam. Doprawdy więc, jak krzywdę, odczuwałem teraz brak tego środka łączności, gdy pomiędzy sobą a swymi oddziałami miałem rzekę, wymagającą zawsze dłuższej przerwy w komunikacji. Nie pierwszy to raz od początku wojny odczułem w braku technicznego wyekwipowania coś w rodzaju upokorzenia i zazdrości. Ciągle widziałem dokoła bardzo i bardzo drugorzędne wojska w pełnym rynsztunku nowoczesnej tech-

niki, bardzo często bez wielkiej korzyści dla sprawy toczonej wojny. My zaś — niewątpliwie pierwszorzędny materiał wojenny, bo coby o nas kiedykolwiek kto mówił, zawsze jednak musiał to przyznać — cierpieliśmy na brak wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Prawda, oni mieli za sobą swój rząd, my byliśmy sierotami wojennymi, które ta czy inna macocha najczęściej tylko pod włos gładziła. Łatwo tam komuś było wydawać rozkazy o «ofensywnej taktyce obrony Wisły» — które, zdaje się, na całej przestrzeni Wisły ja jeden tylko wykonałem — łatwo było robić dopiski o obronie «galicyjskiej» ojczyzny, ale gdy szło o ułatwienie wypełniania zadania — niestety — spotykaliśmy zawsze nie pomoc, lecz obojętność, a często i przeszkody. Bądźże tu śmiałym, człowiecze, i prowadź «defensywny atak»!

Długo rozpatrywałem mapę. Czytam mapy wojenne inaczej może, niż wojskowi. Czytam je jako wojskowy bardzo szybko, chwytając prawie w jednej chwili najważniejsze szczegóły, na których opieram swój sąd o działaniach wojskowych. Lecz muszę zawsze domieszać do swego przemyślenia terenu różne rzeczy, które są całkiem obce wojnie. Tak więc i tutaj. Trafiłem na zabawny odcinek. Opowiadano mi, że w Winiarach był Kościuszko i że lubił siedzieć tam, oglądając widok przeciwnego brzegu Wisły. Jest jakoby we dworze w Czarkowej altana z kamiennym stołem, przechowywanym jako pamiątka po Naczelniku, który tam także bawił i przy tym stole siadywał. Wydaje mi się to legendą, gdyż nie umiem z danych historycznych, które posiadam, związać postaci Kościuszki z Winiarami czy Czarkową. (Zresztą pracy Kościuszki nie studiowałem dokładnie). A jednak jest przyjemnie myśleć o tym, że gdy zagrzmią tu strzeleckie strzały, Kościuszko-Naczelnik patrzy na nas z najwyższego punktu — z Winiar. Śmieszny drobiazg, a jednak miły!

Albo znowu te rzeki! Jestem u zbiegu trzech polskich rzek: Wisły, Dunajca i Nidy. Wszędzie stają w moim zadaniu na przeszkodzie, biegnąc zresztą z różnych stron. A jakie różne te rzeki! Wisła, jak Wisła. Wisełka o zwyczajnym prądzie. Dunajec rwie i pędzi z gór, wlatuje do Wisły, chcąc jakby złamać i zniszczyć jej szare życie, czyniąc je żywym i barwnym. Od północy sprzeciwia się temu leniwa, błotna druhna Wisły — Nida. I nazwy jakże odpowiednie! Wisła, jak Wisła; ucho bierze tę nazwę tak zwyczajnie, jak jakiś chleb powszedni dźwięku. Dunajec, rodzaju męskiego, jakaś prasłowiańska nazwa — Dunaj bezwiednie się przypomina. Nida najzabawniejsza! Nie mogłem nigdy się oprzeć chęci dodania do nazwy

dźwięku g, wyjdzie wtedy Gnida. W miękkim łóżku, nie wśród puchów, lecz błot, płynie, jak gdyby się leniła nawet myśleć. Trzy rzeki polskie były mi więc przeszkodą dla ofensywnych planów, dzieląc w dodatku ojczyznę na dwoje, czynią z miłego Gręboszowa i Kozłowa jakoby ojczyznę, a z kościuszkowskich Winiar i Czarkowej, z Nowego Korczyna — gdzie także jakieś pakta historyczne pisano — «Feindesland, mit Ruthenen dazu» [1])! Śmiałem się sam z siebie, tym bardziej, że serio myślałem o ataku.

Właśnie byłem zajęty bardzo i bardzo ofensywnym planem. Doszły do mnie wiadomości, że w Busku stoi sztab dywizji kawalerii. Nie wiem, czy słuszne były te dane, ale zdecydowałem w nocy uderzyć na Busk. Był to projekt bardzo śmiały, bardzo ofensywny, lecz, zdaniem moim, zupełnie wykonalny, gdyby... gdyby właśnie nie owe techniczne przeszkody, które na każdym kroku się piętrzyły. Dla przygotowania tego planu kazałem przerzucić do Nowego Korczyna jeszcze jeden batalion, czwarty, z poleceniem zajęcia najbliższych wsi na północ od Korczyna i zrobienia wywiadu w kierunku Buska. Belinie poleciłem dotrzeć do Wiślicy i zerwać tam most. W tym ostatnim zadaniu szło mi o ściągnięcie uwagi Buska w tamtą stronę i postawienie jakich takich przeszkód nieprzyjacielowi na wypadek, gdyby chciał przejść przez Nidę i zajść mi skrzydło, a nawet tyły w czasie wyprawy na Busk. Operacja ta doprowadziła do krótkiego boju na północy od Korczyna.

Nieprzyjaciel ukazał się z prawego skrzydła. Szedł od Solca — od wschodu. Bój rozstrzygnął się wieczorem na naszą korzyść. III batalion — z początku jego prawa osłona — wytrwał przez pewien czas w ogniu karabinów maszynowych, potem, wyprowadziwszy rezerwy do boju, wyparł nieprzyjaciela z lasu i zmusił do cofnięcia się w kierunku Solca. Pod wieczór zaczęła strzelać artyleria nieprzyjacielska, również od wschodu. Działała ona nie w kierunku naszym; pociski swe posyłała w kierunku Bolesławia. Stało tam parę armat 7 dywizji kawalerii austriackiej i właśnie pomiędzy tymi dwoma oddziałami artylerii prowadzona była rozmowa. Przy końcu boju z daleka doleciał nas odgłos dwóch głuchych wybuchów — to Belina, wyparłszy kozaków z Wiślicy, niszczył most na Nidzie. Zaraz prawie potem zamilkły karabiny maszynowe w lesie na północy od Korczyna — nieprzyjaciel cofał się. Kto wie, czy wrażenie wybuchu — podobnym on był do

[1]) Kraj nieprzyjacielski w dodatku z Rusinami.

odgłosu cięższej artylerii — nie przyczyniło się do urwania boju.

Gdy tylko rozległy się pierwsze strzały po tamtej stronie Wisły, pierwszą moją myślą było kazać osiodłać kasztankę i jechać do Korczyna, lecz wstrzymałem się, zostałem w Kozłowie i, korzystając z telefonu do Korczyna, mogłem być «au courant» tego, co się dzieje za Wisłą. Muszę przyznać, że wiele kosztowała mnie ta decyzja. Przekonałem jednak siebie, że tutaj, gdzie mam pod bokiem wszystkie swoje rezerwy i resursy, będę korzystniejszym dla wojska. Było mi jednak ciężko siedzieć z dala od bitwy i kierować się wrażeniami słuchowymi, nie oczyma. Znacznie szczęśliwszymi byli dowódcy wojenni dawniej, gdy okiem ogarnąć mogli cały plac boju i widzieć bezpośrednio jego perypetie. Przypominam sobie przykrą chwilę, gdy zatrajkotały karabiny maszynowe. Wiedziałem, że my tej broni nie posiadamy, i jakieś złe myśli o przewadze technicznej nieprzyjaciela zaczęły mi krążyć po głowie. Jestem przekonany, że takie same myśli przychodziły do głowy i tam, na samym placu boju. Nie może to nie wpływać na stan moralny wojska. Cóż dopiero, gdy zagrały armaty! Zdaje się, takie właśnie przekonanie o wyższości Moskali nad nami mieli podczas boju i wszyscy inni, którzy słyszeli jego odgłos, zatem mieszkańcy obu brzegów Wisły oraz Austriacy. W Nowym Korczynie Żydzi zaczęli być w stosunku do żołnierzy i oficerów bezczelnymi i zuchwałymi, a wśród ludności galicyjskiej zapanowało przekonanie, że tego dnia, zamiast nas, będą gościć u nich Moskale.

To też gdy nieprzyjaciel się cofnął, znaczenie nasze poszło ogromnie w górę. Już wieczorem tego dnia opowiadano, że Moskalom zadałem ogromną klęskę. Od wojskowych słyszałem powinszowania z powodu pobicia dywizji rosyjskiej. Po drodze do Krakowa dywizja ta urosła do dwóch — i w tydzień potem, gdym był w Krakowie, pytano mnie serio o szczegóły tego poważnego boju, w którym rozbiłem w puch całe dwie dywizje rosyjskie. Tak sława nasza rosła, a nawet późniejsze nasze cofnięcie się nie zmniejszyło znaczenia tego pierwszego powodzenia. Istotnie, Rosjanie nie wprowadzili do boju więcej jak 2—3 szwadrony jazdy — przynajmniej tak mnie się wydaje. Jeśli nawet było ich więcej, przewaga karabinów była w każdym razie po naszej stronie, pominąwszy, naturalnie, przewagę, jaką oni mieli w postaci armat i karabinów maszynowych. Straty nasze były bardzo nieznaczne. Jeden czy dwóch zabitych i kilku rannych, prawie wyłącznie od karabinu maszynowego. Rany były stosunkowo lekkie.

Pamiętam czterech rannych — pierwszych rannych, których oglądałem podczas wojny. Jeden z nich miał szczęście. Kilka kul podziurawiło mu czapkę i poszarpało skórę na głowie. Pokrwawiony na twarzy, z plamami ceglastymi na bluzce, śmiał się wesoło, gdy przechodził koło mojej kwatery i pokazywał mi swoją czapkę z dziurami od kul w różnych miejscach. Dwóch innych miało rany w rękach i łopatce, jeden dostał dwie kule i, co mnie wprawiło w zdziwienie, kule tkwiły w ciele. Nie mogły to być kule, które straciły już impet, gdyż rany byłyby wówczas szarpane; przypuszczam, że karabiny maszynowe jazdy rosyjskiej nie mają tej siły, co zwykłe karabiny, wszystkie bowiem rany były tak powierzchowne. Najcięższe wrażenie sprawiał ranny w głowę — kula przebiła mu głowę na wylot. Biedak leżał bez pamięci, charczał ustawicznie, a na ustach pokazywała mu się krwawa piana — wyglądał, jakby miał skonać za chwilę. Przez trzy dni odwiedzałem nasz mały szpitalik i zawsze zastawałem go w tym samym położeniu, leżał nawznak, charcząc, jak przy konaniu. Chłopak ten w dwa miesiące potem był z powrotem w wojsku. Wyzdrowiał i, jak mi opowiadano, nie znać było po nim, że miał postrzał w głowę.

Tymczasem do mojej kwatery przybywały meldunki: z północy, z Korczyna, szybko i uspokajająco, z zachodu, gdzie połączenia telefonicznego z Opatowcem nie było — denerwująco powoli. A tymczasem były one dla mnie decydującymi dla postanowienia co do Buska. Teraz wiedziałem, że w razie marszu na Busk będę musiał sporo sił postawić dla ochrony swego prawego skrzydła, tak, że całe powodzenie wyprawy zależeć będzie od szybkości wykonania i wykorzystania wieczoru i nocy. Wywiad w stronę Buska od strony Korczyna został wstrzymany przez bój, a wyniki wywiadu Beliny nie przychodziły do mnie z powodu braku dobrego połączenia. Niecierpliwiłem się, ale co to pomaga? Mogłem niecierpliwić się, ilem sobie życzył — nie zbuduje to kilometra telefonu, ani mostu na Wiśle pod Opatowcem.

Z Korczyna donoszono mi, że nieprzyjaciel cofnął się ku wschodowi. Po pewnym czasie otrzymałem dodatkowo wiadomość z Bolesławia, że obserwatorzy artyleryjscy zauważyli oddziały rosyjskie po bitwie, wraz z artylerią i karabinami maszynowymi, wchodzące do wsi Grotniki, gdzie się zatrzymały prawdopodobnie na noc. Była pewna różnica w obserwacji artylerzystów i naszego dra Piestrzyńskiego. Doktor — bardzo wesoły i sympatyczny — był zawsze zapamiętałym obserwatorem. Stanowczo rozminął się ze swym powołaniem. Sosn-

kowski twierdził o nim, że jest najlepszym artylerzystą wśród lekarzy i, naturalnie, najlepszym lekarzem wśród artylerzystów. Był wciąż zajęty obserwowaniem nieprzyjaciela, a ja znowu twierdziłem, że wyznaczy kiedyś punkt opatrunkowy na jakiejkolwiek wieży kościelnej, aby móc w czasie pomiędzy opatrunkami oddawać się rozkoszy obserwowania. Otóż tym razem doktór twierdził, że nieprzyjaciel odszedł dalej na wschód w stronę Solca. Nie znając jeszcze dobrze zdolności dra Piestrzyńskiego, nie zwróciłem uwagi na jego... cywilne spostrzeżenia i zatrzymałem się na wojskowych obserwacjach artylerzystów. Od Beliny meldunki nie nadchodziły.

Wieczór zapadał, gdy wreszcie postanowiłem odłożyć swój plan marszu na Busk do lepszych czasów. Natomiast zdecydowałem spróbować odeprzeć nieprzyjaciela jeszcze dalej na wschód od mego prawego skrzydła. Oparłszy się na obserwacji artylerzystów, powziąłem plan napadu o świcie na Grotniki, miejsce noclegu artylerii i karabinów maszynowych. Chcąc zrobić go niespodziewanie, zdecydowałem przeprawić w nocy przez Wisłę jeden batalion niedaleko od Bolesławia, tak, by atak szedł od południa, od Wisły, skąd nie spodziewano się nieprzyjaciela. Dla poparcia ataku kazałem V batalionowi w nocy przeprawić się do Nowego Korczyna i stamtąd o świcie maszerować na wschód, tak, by I batalion mógł znaleźć oparcie w razie niepowodzenia i w razie spotkania przemożnych sił nieprzyjacielskich.

Jako dodatkowy środek dla utrzymania tajemnicy przedsięwziąłem jedyną w ciągu mej kariery wojskowej ekspedycję karną, mianowicie na Nowy Korczyn. Jak zauważyłem już, wraz ze zbliżeniem się Rosjan stosunek do nas ludności, specjalnie żydowskiej, zmienił się na gorsze. Zaczęto zamykać sklepy, odmawiać sprzedaży różnych rzeczy żołnierzom itd. Aby zapobiec komunikacji ludności z nieprzyjacielem, postanowiłem sterroryzować trochę panów kupców i nauczyć ich, że chociaż jesteśmy wojskiem polskim, jednak możemy karać. Nakazałem, mianowicie, kontrybucję 10-tysięczną na miasto z rozkazem wypłaty natychmiastowej. Rabina miejscowego aresztowano jako zakładnika. Od tej chwili nie miałem powodu skarżyć się na ludność. Ciekawym jest, że ludność katolicka zwróciła się z prośbą pociągnięcia i jej do udziału w tej kontrybucji, gdyż, jak mówiono, w przeciwnym razie mogłaby być ofiarą zemsty ze strony Żydów i Moskali w razie zajęcia Korczyna przez nieprzyjaciela.

Nieraz potem, gdy zastanawiałem się nad tą decyzją przerzucenia większej części moich sił na drugi brzeg Wisły, zaw-

sze oceniałem ją jako trochę lekkomyślną. I nie dlatego, by w zasadzie była ona niedostatecznie ugruntowaną. Przeciwnie, przy zwykłych warunkach, t. j. przy dostatecznym uzbrojeniu, sądzę, że była racjonalną i zgodną z duchem rozkazu ofensywnej obrony Wisły. Lecz, wziąwszy pod uwagę przewagę techniczną nieprzyjaciela, brak zupełny poparcia przez sąsiadów, przerzucenie większej ilości sił za Wisłę, gdy się miało przez nią połączenie tylko za pomocą prymitywnych promów, była to gra śmiała. Tym śmielsza, że naokoło tej śmiałości nie było wcale. Przeciwnie.

Właśnie tej nocy, gdy mój I batalion przeprawiał się z mozołem na przegniłych promach przez Wisłę, miałem przyjemność widzieć przejawy ofensywnej defensywy dokoła. Przede wszystkim coś koło dziesiątej wieczorem usłyszeliśmy parę strzałów armatnich na wschodzie, a wkrótce potem rozbłysła na niebie duża łuna w stronie Szczucina. To palił się most szczuciński. Naturalnie, nieprzyjaciel z chwilą tą był zupełnie swobodny i przerzucił ku mnie, jako jedynemu posterunkowi na jego brzegu, większość swoich sił, które dotąd były trzymane w szachu przez sam fakt istnienia mostu na Wiśle pod Szczucinem. Następnie w nocy obudzono mnie alarmem, że żandarmi przyszli, by zniszczyć wszystkie promy na Wiśle. Żadne perswazje nie pomagały, otrzymali taki rozkaz z Krakowa i chcą go wykonać, a że duża część mego wojska znajduje się na tamtej stronie, to ich nie obchodzi, bo tego rozkaz otrzymany nie uwzględnia. Jeden z promów pod Opatowcem został już «unieszkodliwiony». Podziurawili go, jak rzeszoto. Kazałem natychmiast postawić przy promach straż z rozkazem strzelania do każdego, kto będzie do nich się zbliżał bez mego pozwolenia. Dodatkowo zaś poleciłem, aby promy trzymano po stronie rosyjskiej, przy lewym brzegu; byłem pewien, że tak daleko odwaga stróżów porządku nie sięgnie, aby przeprawić się na brzeg nieprzyjacielski.

Dziwny niesmak mnie opanował na tę wiadomość.

Wszystko to było uprzyjemnieniem mojej ofensywnej defensywy, ale zarazem świadectwem, jak dalekim było otoczenie całe od śmielszych decyzji i jak względnie niełatwym było zdobyć się na przezwyciężenie tej ogólnej niechęci oglądania krajobrazów tamtego brzegu Wisły. I jeżeli mówię, żem był lekkomyślnym, to przyznaję, że przede wszystkim mam na względzie to tło, na którym moja lekkomyślna ofensywa wyglądała tym lekkomyślniej, gdyż, niestety, we wszystkim, coby mi mogło służyć za pomoc, zależałem nie od czego innego, jak od tego nielekkomyślnego tła. Zostawałem ze swą ofensywą

po prostu osamotniony, bez żadnej nadziei na pomoc, gdy, odwrotnie, nieprzyjaciel mógł oczekiwać zewsząd poparcia i zwiększenia swej siły. Jeżeli jednak pomimo to uparcie trzymałem się swego, to podstawowym motywem po temu była dbałość o «morale» moich strzelców, których duma i pewność siebie właśnie na tym tle wyrosnąć mogła. Dlatego też pomimo, iż oceniłem cały ciężar, jaki spadł na mnie, gdy most szczuciński został spalony a zatem wszelka myśl o ofensywnej defensywie na prawo ode mnie upadła, nie zmieniłem rozkazu i bataliony moje zgodnie z rozkazem przeszły Wisłę tej nocy.

Dokładnie przypominam sobie mój stan w owym czasie. Wahałem się dosyć długo, gdyż pierwszym odruchem po prostu było dać spokój całemu przedsięwzięciu i nie narażać swoich chłopców na jakieś romansy z wojną, gdy wszystko naokół po prostu przed nią stchórzyło i zrzekało się próby ofensywności, pomimo, że w rozkazie była ona nakazana. Najbardziej zniechęcały mnie nasze braki wyekwipowania technicznego. Czułem, że naigrawano się po prostu ze mnie i z moich strzelców, albo że ja muszę być po prostu głupim, wyobrażając sobie, iż mam dokoła z żołnierzami do czynienia.

Nad ranem słuchałem z napięciem, czy nie usłyszę odgłosów boju z za Wisły. Było cicho i spokojnie; więc moje bataliony nieprzyjaciela nie znalazły. Istotnie nadeszły potem meldunki, że Grotniki nie były zajęte przez Rosjan i że nasze patrole szły dalej na wschód. Dr Piestrzyński okazał się lepszym obserwatorem, niż fachowi artylerzyści. Postanowiłem sobie odtąd dawać więcej wiary namiętnemu wywiadowcy. Jeszcze przed południem pojechałem do Korczyna, gdzie Norwidowi, mającemu tam komendę, kazałem w razie ataku przeważających sił nie przerzucać większości naszego wojska z powrotem do Borusowej na prawy brzeg Wisły, lecz cofać się w stronę Winiar i Opatowca, most zaś na Nidzie przygotować do zniszczenia na wypadek konieczności opuszczenia Korczyna. Szło mi w tym wypadku o to, aby w najgorszym razie zatrzymać w swoim ręku wzgórza w Winiarach, panujące nad całą okolicą, a specjalnie nad poruczonym mi do obrony prawym brzegiem Wisły.

Gdym był na drodze do swojej kwatery w Kozłowie, usłyszałem wzrastający coraz bardziej szum bitewny ze wschodu. Do strzałów karabinowych wkrótce zaczął się dołączać raz po raz basowy odgłos strzałów armatnich. Nie chcę twierdzić, że nie zrobiło to na mnie wrażenia. Owszem, w duszy budziło się znów poczucie bezsilności wobec przemocy technicznej nieprzyjaciela. Ręczę, że takie same uczucie musiało powstawać

i u moich żołnierzy. Armaty to wpadały w gniewny szał, sypiąc strzał za strzałem szybkim ogniem, to znów milkły, by odezwać się tylko jakimś jednym strzałem. Widocznie cele to się ukazywały obserwatorowi, to znowu niknęły w terenie. Strzały karabinowe zbliżały się ku Korczynowi i wkrótce zatrajkotały karabiny maszynowe; to nowy objaw przewagi nieprzyjaciela nad nami. Nasi cofali się — tak sądzić można było z przesuwania się bitwy ku zachodowi.

Nieraz potem rozmyślałem nad tą chwilą, gdym na kasztance jechał ku Kozłowowi, przysłuchując się odgłosom bitwy za Wisłą. Zawsze przychodziłem, tak, jak i teraz przychodzę, do wniosku, że należało kasztankę zawrócić i jechać nie ku Kozłowowi, lecz ku Korczynowi z powrotem. Może jest to moja zarozumiałość, lecz sądzę, że obecność moja w Korczynie zatrzymałaby odwrót i dnia tego nie dopuściłbym Moskali do zajęcia Korczyna. Brakowało tam jedynie rozkazu zatrzymania się, gdyż odwrót odbywał się bez strat. Trzeba było tylko zneutralizować u oficerów i żołnierzy wrażenie przewagi technicznej nieprzyjaciela, przed którą właściwie cofali się moi strzelcy, strat bowiem, powtarzam, nie było. Tymczasem, gdym przyjechał do Kozłowa, dowiedziałem się, że część wojska jest już w odwrocie na Winiary, część przeprawia się promem na Borusową, a sam bój toczy się na krańcach wschodnich Korczyna, jako bój ariergardy, kryjącej odwrót. Tam właśnie grały nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Wieczorem opuścili strzelcy Nowy Korczyn, zniszczywszy za sobą most na Nidzie.

Nie mogę twierdzić, abym był tego dnia zadowolony i z siebie, i z wojska. Wojsko cofało się bez potrzeby, bez odczucia przez straty krwawe przewagi nieprzyjaciela, jedynie z powodu psychicznego nacisku technicznej przemocy armat i karabinów maszynowych, których samo nie posiadało. Jest to dla mnie jeden z doskonałych przykładów, ilustrujących znaczenie psychicznych stanów żołnierza na wojnie. Ja znowu nie doceniłem wpływu tego stanu i nie zapobiegłem na czas ujemnym jego skutkom. Miałem na tamtym brzegu zebrane cztery bataliony; było to zupełnie wystarczające, by utrzymać pozycję na wschód i północ od Korczyna do wieczora. Wieczorem zaś nieprzyjaciel cofnąłby się sam, unikając nocnych niespodzianek. Zawsze, gdy myślę o tej chwili, wyrzucam sobie brak dość pewnej decyzji i zawsze pamiętam ten dzień, jako przykre wspomnienie o niepotrzebnej porażce wewnętrznej wobec samego siebie.

Z pewnym niepokojem przyglądałem się nazajutrz wpły-

wowi odwrotu na żołnierzy. Spostrzegłem na swoje szczęście, że, zdaje się, ja jeden byłem zgnębiony tym wypadkiem. Upadku «morale» żołnierskiej nie widziałem, nie obserwowałem też wcale zmiany usposobienia w stosunku do nas otoczenia wojskowego. Uważano odwrót za rzecz tak naturalną, jak do pewnego stopnia za nienaturalną i może głupią oceniano moją śmiałość operowania na tamtym brzegu Wisły. Zdusiłem więc w sobie niezadowolenie z siebie i z wojska, nie dałem tego poznać po sobie, nie chciałem bowiem, aby moje uczucie przeniosło się na żołnierzy i oficerów i spowodowało u nich zmniejszenie się nabytej już pewności siebie i szacunku dla siebie. Powtarzam, istotnego powodu do cofania się nie było, nie mieliśmy bowiem żadnych strat. Brak było kilku ludzi z I i V batalionu, ale nikt nie widział, żeby byli zabitymi lub pozostali jako ranni w polu. Po prostu zaginęli. Najzabawniejszym jest, że wszyscy ci zaginieni nazajutrz zgłosili się do swoich batalionów w przebraniu cywilnym lub na pół cywilnym. Wszyscy to byli gapie — dłubinoski, jak ich nazywałem — którzy przy zbiórkach podczas cofania się gdzieś się zawieruszyli. Jeden z nich, np., zaspał na sianie w czasie odmarszu naszych i obudził się w stodole dopiero od huku armat, które Moskale postawili przeciw nam właśnie koło tej stodoły. Wszyscy byli o tyle sprytni — zresztą, nakazywała to dbałość o swoje głowy — że doczekali wieczora. Każdy z nich udał się pod opiekę chłopów, którzy ukryli ich i nakarmili. Nocą i nad ranem jeden za drugim przechodzili przez Korczyn ku Winiarom, żaden zaś przy tym nie został złapany. Jeden z nich nocował na strychu chałupy, zajętej przez kozaków. Kazałem wszystkich przykładnie ukarać w batalionach, aby oduczyć ich od nietrzymania się kupy i łażenia z dala od swoich kompanii i plutonów na własną rękę. Wobec tego, że przy cofaniu się z Korczyna większość wojska przeszła jednak na prawy brzeg Wisły, postanowiłem wzmocnić część oddziału na lewym brzegu i kazałem IV batalionowi, który stał w Gręboszowie, nazajutrz raniutko przeprawić się pod Opatowcem. Sam pojechałem na noc do Gręboszowa, aby dopilnować przeprawy. W Gręboszowie, wsi kościelnej, mieliśmy bardzo serdeczne i przyjemne przyjęcie u miejscowego proboszcza. Na cmentarzu kościelnym chowano wszystkich poległych w potyczkach pod Korczynem i Opatowcem.

Przy przeprawie przez Wisłę miałem ogromnie zabawny wypadek z Wyrwą, który dowodził IV batalionem. Wypadek ów, świadcząc o zimnej krwi strzelców, żywo przypomina mi sympatyczną, żołnierską postać Wyrwy.

Jak wspomniałem, dałem uprzednio rozkaz, aby wszystkie środki przeprawy przez Wisłę były trzymane po tamtej stronie Wisły dla uniknięcia zamachów na ich całość ze strony żandarmerii. Tym razem dla przyśpieszenia przeprawy kazałem ściągnąć promy do Ujścia Jezuickiego i dla ostrożności postawić przy nich wartę na noc. Osobiście przypuszczałem, że u strzelców, pozostawionych na tamtym brzegu, po opuszczeniu Korczyna spostrzegę znienawidzone przeze mnie «nerwy». Postanowiłem więc przeprawić się rano przez Wisłę do Opatowca, żeby uspokoić ludzi i dodać im odwagi.

Przenocowałem w sztabie Wyrwy i ze świtem byłem z nim w Uściu Jezuickim u przeprawy. Na brzegu stał posterunek — zmarznięty strzelec filozoficznie przechadzał się tam i z powrotem koło... na pół zatopionego promu i podziurawionej łodzi. Ładna przeprawa! Skoczyłem do żołnierza.

— Czego tu pilnujecie?

— Tych łodzi, Obywatelu Komendancie!

— Jakże to, przy was podziurawiono?

— Nie, Obywatelu Komendancie, takie już były, gdy wartę postawiono. Niezepsuty prom na tamtym brzegu. Widać go stąd.

Istotnie przez mgłę widać było przy przeciwległym brzegu kontury promu.

— Ładny porządek! — zawołałem do Wyrwy — prom, wbrew rozkazowi, na tamtym brzegu, a warta strzeże, licho wie po co, dziurawych łódek!

Wyrwa skoczył jak oparzony tą wymówką.

— Zaraz prom będzie, Obywatelu Komendancie!

Począł krzyczeć i wołać o przejazd. Po pewnym przeciągu czasu z tamtej strony Wisły odezwał się jakiś zaspany głos. Rozpoczęła się zabawna rozmowa, prowadzona krzykiem przez rzekę.

— Dawać tu zaraz prom! — wołał Wyrwa.

— Co?! prom?! — krzyczano z Opatowca.

— Prom, do diabła! — irytował się Wyrwa. — Prędzej! Jeszcze stoi ten bałwan! Sypać, a żywo!

— Prom?! — odpowiadano z za rzeki — nie wolno, bez pisemnego pozwolenia Wyrwy nie dam promu.

Myślałem, mówiąc po galicyjsku, że Wyrwę «szlak trafi». Zaczął skakać na miejscu, jak opętany.

— Ja sam Wyrwa! — wrzeszczał — prędzej, skurczybyku, zastrzelę, żywcem spalę!

Trzymałem się za boki ze śmiechu, a Wyrwa w bezsilnej wściekłości miotał się na brzegu. Wartownik, przerażony

gniewem swego dowódcy, usunął się na stronę, aby nie oberwać. Wzrok Wyrwy padł na małą łódź na pół zatopioną. Skoczył do niej.

— Ja zaraz się przeprawię na tamtą stronę, Obywatelu Komendancie! Przepraszam, ale proszę zaczekać trochę. A, diabeł! Pisemnego rozkazu mu się zachciało, ja mu dam rozkaz!

— Opamiętajcie się, Wyrwa — zawołałem — łódką tą nie przejedziecie, pełno w niej dziur. A któż wam winien, że daliście nonsensowy zakaz przysyłania promu bez pisemnego pozwolenia? Jakżeż to pozwolenie dojść może na tamten brzeg, gdy nie ma żadnej przeprawy. Trzeba czekać.

Wyrwa ochrypł od krzyku, wreszcie z tamtej strony wyszedł na brzeg obudzony oficer, który poznał Wyrwę.

Przysłano łódkę. Okazało się, że rozkaz Wyrwy przygotowania przeprawy na rano nie doszedł na przeciwny brzeg dla tego samego powodu, że bez pisemnego pozwolenia Wyrwy nie było połączenia pomiędzy obu brzegami, a Opatowiec wypadkiem przez cały wieczór i noc nie miał żadnego interesu na nasz brzeg.

Pojechałem do Opatowca. Panował tam miły spokój. «Nerwów» nie odczuwałem, nie miałem kogo uspakajać, chyba samego siebie. Wyrwie kazałem się przeprawić i zająć Ksany i Winiary.

Dnia tego nieprzyjaciel nie przedsiębrał nic poważnego. Silniejsze patrole jazdy rosyjskiej zaczęły się ukazywać i na prawym brzegu Nidy. Z nimi ucierał się Belina. Bardzo słabo Rosjanie obsadzili Korczyn, który leżał prawie u stóp zajętych przeze mnie Winiar; na lewym brzegu Nidy jazda rosyjska wystawiła posterunki i oddziałki, osłaniając swoje «gros» od zachodu. Wywiady, przeprowadzone przez Belinę, stwierdziły, że silniejszy oddział znajduje się w Szczytnikach. Na ten oddział postanowiłem przeprowadzić napad nocny. Wywiad szczegółowy przeprowadził Gibalski, nadzwyczaj sprytny i łatwo orientujący się oficer.

Napad udał się doskonale. Sotnia kozacka, która zajmowała Szczytniki, została rozproszona, w części wybita; wzięto kilku jeńców i trochę koni. Lecz, gdy jazda moja chciała debuszować dalej po przebiciu osłony, napotkała zewsząd znaczne siły kawalerii rosyjskiej i musiała z nieznacznymi stratami cofnąć się z powrotem za Nidę. Nieprzyjaciel w ogóle powiększył się w swej sile. Pomiędzy jeńcami ze Szczytnik był wzięty dragon 14 dywizji, gdy dotąd mieliśmy jedynie przed sobą 5 czy 8 dywizję. Opuszczenie przez nas Korczyna i okolicy zwęziło znacznie teren, opanowany przez nas na lewym

brzegu Wisły, nie zwęziło jednak obszaru, którego musiałem pilnować. Obrona była teraz bardziej skomplikowaną, a moje lewe skrzydło, po wyrzuceniu na przeciwległy brzeg Wisły, bardzo eksponowane.

Wszystkie moje plany i rozmyślania zostały przerwane przez wezwanie, które otrzymałem, polecając mi przybyć do kwatery gen. Kordy, dowodzącego 7 dywizją kawalerii austriackiej. Znajoma dywizja i znajomy generał! Z nim i z tą dywizją rozpoczynałem kampanię pod Miechowem, pod Brzegami i pod Kielcami. Natychmiast pojechałem autem do niego. Gen. Korda wydał mi się ongiś sympatycznym, choć nieco twardym generałem, sympatia zaś wzrosła, gdy się dowiedziałem, że był ranny pod Kielcami. Zaczynałem mieć nadzieję, że wreszcie jakaś mgła dowodzenia, która mnie otaczała, zaczyna się wyjaśniać.

W kwaterze przyjął mnie gen. Korda i spokojnym tonem zaczął mi wyjaśniać sytuację. Dywizja jazdy, którą dowodzi, ma iść naprzód, jako awangarda większych sił, mających przejść Wisłę. Termin jest nakreślony. Ruch jego jazdy ma się rozpocząć za dwa dni. Wobec tego, że ja zajmuję część lewego brzegu Wisły koło Winiar i Opatowca, wydaje się jemu i wyższemu dowództwu, że debuszowanie jazdy przez Wisłę koło Ujścia Jezuickiego byłoby najlepsze i najdogodniejsze. Nie może jednak zdecydować się na to, dopóki nie będzie słyszał mojej odpowiedzi, czy sądzę, że się utrzymam na tamtym brzegu rzeki przez te dwa dni, przykrywając budowę mostu i wymarsz dywizji. Wydaje mi się, że utrzymanie Winiar jest dlatego nieodzownie potrzebne.

Jeżeli ucieszyłem się niezmiernie, że praca moja dotychczasowa nareszcie się przydała ogólnym operacjom wojennym i w ten sposób okazuje się, że nie tańczę jakiegoś lekkomyślnego kadryla przez rzeki polskie dla dowiedzenia śmiałości strzeleckiej i ich fantazji rycerskiej — to jednocześnie odczułem gorycz jakąś i niechęć. Podnosił się w duszy jakiś głęboki wyrzut, że ten generał, który tak jasno tłumaczy pracę wojny, nie ma żadnego odczucia tego, jak trudną jest praca moja i strzelców, gdy dla utrzymania się w «Feindeslandzie» walczymy z ogromną przewagą techniczną nieprzyjaciela. Namyślałem się chwilę.

Powiedziałem otwarcie, że zadanie będzie mi bardzo trudne, o ile nie będę poparty efektownie przez artylerię, gdyż walczyć ciągle samemu bez artylerii, gdy nieprzyjaciel ją posiada — trudno. Wskazałem na karabiny maszynowe u nieprzyjaciela i braki wyekwipowania u nas, specjalnie na tak po-

trzebne dla mnie telefony. Generał odmówił mi wysłania czegokolwiek na tamten brzeg. Wydało mi się to wprost jakimś śmiesznym, obraźliwym sposobem załatwienia sprawy. — Albo — myślałem — bezmyślnie bredzi o ważności utrzymania Winiar dla operacji swojej dywizji, albo też chce wprost poświęcać dla swoich żołnierzy — nas, bo przecie mówi wyraźnie, że chce i nawet musi przejść na tamten brzeg. Byłem już zdecydowany otwarcie powiedzieć, że w tym wypadku nie ma o czym mówić i poprosić go, by się zwrócił z tym zadaniem do tych, co będąc lepiej wyekwipowani i uzbrojeni, spalili most w Szczucinie, lecz opanowałem się. Zapytałem, czy może generał skłonny jest objąć lub nakazać objąć odcinek mój na prawym brzegu Wisły, bym mógł swobodniej rozporządzać swoimi siłami. Czekałem ze złością odpowiedzi, przygotowany do zrobienia jakiegoś grubiaństwa. Generał zgodził się i zaraz telefonicznie dał odpowiedni rozkaz. Dodał, że rozkaże, by artyleria wspierała działania moje, lecz nie inaczej, jak tylko z prawego brzegu. Zdecydowałem wreszcie, że nową część sił przerzucę na brzeg lewy, żeby w razie czego mieć trochę rezerwy w ręku. Wreszcie powiedziałem, że kwaterę przeniosę do Gręboszowa, a potem do Opatowca za Wisłę.

Gdym odjeżdżał, zaczęły mi chodzić po ciele jakieś dreszcze. W Kozłowie, dotychczasowej kwaterze, wydałem rozkazy, wypiłem parę szklanek mocnej herbaty dla uspokojenia dreszczów i otrzymałem doniesienie, że Wisła gwałtownie przybiera. Pojechałem natychmiast na brzeg rzeki na przeciw Opatowca, tam, gdzie zwykle odbywała się przeprawa promowa. Istotnie, teraz wyrastała nowa potężna przeszkoda. Wisła i Dunajec zaczęły wzbierać. W górach spadły obfite deszcze i skromna dotychczas Wisła zaczęła nabierać charakteru grozy. Brudno-żółte fale zalewały coraz bardziej nizinę nadbrzeżną, woda robiła się rwąca, przeprawa coraz trudniejsza. Nieledwie w oczach rosła potęga Wisły, a z nią rósł i czas, wymagany dla przepłynięcia przez nią promu. Teraz prom za każdym razem trzeba było odprowadzać daleko w górę rzeki, aby nie być zniesionym poza miejsce lądowania w Opatowcu i Ujściu Jezuickim. Już koło południa, gdym z zegarkiem w ręku śledził bieg przeprawy, przepłynięcie Wisły tam i z powrotem wymagało 45 do 50 i kilku minut. Położenie oddziału za Wisłą wobec tak silnej przeszkody za plecami stawało się coraz groźniejszym i niebezpieczniejszym. Zacząłem być zły na siebie, żem przyjął propozycję, której wykonanie zaczynało graniczyć z szaleństwem.

Czas biegł godzina za godziną, a ja stałem wciąż nad

rzeką z zamoczonymi nogami, niespokojnie śledząc, jak coraz trudniej idzie przeprawa, jak raz po raz zmieniać trzeba ludzi, pracujących przy promie, i jak coraz trudniej jest przeciągnąć prom pod wodę. Ludzie złorzeczyli na Dunajec, stamtąd bowiem szła woda, nie wprost z Wisły. Z tej rwącej brudnej fali wiślanej biła jakaś siła groźby, na którą nie mogłem znaleźć żadnego środka zapobiegawczego. Dreszcze na całym ciele wzmagały się, czułem w sobie zbliżającą się lub już istniejącą gorączkę.

I właśnie, gdy tak nad rzeką rozmyślałem, rozległy się pierwsze strzały armatnie za Wisłą. Nieprzyjaciel poszedł do ataku. Wkrótce żywym płomieniem zabłysły pożary. To się paliły Szczytniki i dwór w Czarkowej, które Moskale podpalili przez zemstę za swą porażkę w Szczytnikach. Ogień artylerii był bardzo żywy, ostrzeliwano Winiary, Czarkową, Ksany. Baterie strzelały salwami tak, jak gdyby przygotowywano szturm dla pieszego wojska. Wkrótce też usłyszałem w stronie Winiar bardzo żywy, coraz bardziej wzrastający ogień karabinowy. Niekiedy ogień wybuchał gwałtownie, prowadzony w szybkim tempie, strzelano paczkami, tak, jak do zbliżającego się do ataku nieprzyjaciela.

Nigdy nie zapomnę tego podłego uczucia bezsilności, które mnie dusiło, gdym stał nad brzegiem Wisły, wsłuchany w odgłosy boju, nie mogąc niczym przyczynić się do jego powodzenia, nie rozumiejąc nawet dokładnie, co właściwie się tam dzieje.

Właśnie w czasie najgorętszego boju Wisła zaczęła najbardziej szaleć i przewoźnicy, pracujący z saperami, zaczęli coś szeptać pomiędzy sobą. Okazało się, że boją się jechać, gdyż sądzą, że zostaną porwani prądem aż pod Korczyn, gdzie lewy brzeg był w rękach Moskali. Może zresztą byli pod wrażeniem toczonego na tamtym brzegu boju. Nim saperzy i ja ułożyliśmy dalszą przeprawę, zwiększając załogę promu kosztem ilości przewożonych żołnierzy, minęło sporo czasu, w ciągu którego żadna wiadomość ani ode mnie na tamtą stronę, ani z tamtej strony do mnie dojść nie mogła. A tymczasem, w gorączkowym stanie, w jakim już byłem, myśl moja przestała już być zwykłą chłodną pracą głowy. Myśli, przypuszczenia zanadto żywo, razem z krwią, pulsowały w skroniach, i z tego powodu patrzeć zacząłem na bój, toczący się poza rzeką, wyolbrzymiając jego rozmiary i znaczenie jego przejawów. Siły nieprzyjaciela wydawały mi się większe, położenie naszego wojska cięższe, niż było istotnie. Głowa gorączkowo zaczęła pracować, szukając ratunku lub wyjścia. Wydawało mi się, że nie ma co

mówić o szukaniu ratunku przez przewiezienie wojska na prawy brzeg Wisły. Wszelka przeprawa na tę stronę, gdzie stałem sam, zmniejszałaby siły, na tamtym brzegu zebrane, i zwiększałaby niebezpieczeństwo dla ariergardy. Ta byłaby wtedy stale zmniejszana w sile i mogłaby ulec łatwo przemocy, nie mając szybkiej przeprawy. Zacząłem gorączkowo przebiegać w myśli różne możliwości, związane z bojem, i zdecydowałem możliwie prędko przeprawić się samemu na tamten brzeg bez względu na to, że zrywałem w ten sposób bezpośrednią łączność telefoniczną z gen. Kordą.

Tymczasem bój trwał, a prom — jak widziałem — powoli przesuwał się na tamtym brzegu w górę rzeki ku Opatowcu. Prąd zniósł go daleko w kierunku Winiar. Bój, sądząc z odgłosów, zamierał był już na wzgórzach w Winiarach, a teraz, gdy już zbliżało się ku wieczorowi, zaczął wybuchać z nową siłą, idąc ku mnie wprost z zachodu na wschód, zmierzając jak gdyby wprost na Opatowiec.

— Obeszli lewą flankę Wyrwy — pomyślałem — chcą wrzucić go wprost do Wisły.

Kilka baterii z jakąś wściekłą pasją bić zaczęło w stronę Opatowca, który jeszcze w zmierzchu jasno był widoczny na wysokim przeciwległym brzegu. Gdzieś dalej za Opatowcem buchnął żywy płomień i kłęby dymu.

— Zdaje się, Ksany się palą — westchnął, żegnając się, stojący niedaleko ode mnie zmęczony i pozostawiony tym razem dla odpoczynku przewoźnik.

Rzuciłem okiem na mapę, decydowałem coś w myśli, gdy pod najwyższym wzniesieniem, gdzie stał dwór w Winiarach, zaczęły rozlegać się strzały karabinowe z jakąś dziwną furią. Każdy strzał trafiał mi w rozgorączkowane serce i głowę.

— Koniec! — myślałem — zbliżają się do rzeki!

Zatrajkotał chwilę karabin maszynowy, potem znowu strzały karabinowe. Armatni ogień zamilkł zupełnie, jakby był zadowolony z siebie i ze swojej pracy. Przestałem zupełnie odróżniać, z której strony padają strzały, gdzie — czy po naszej, czy po ich stronie — ogień karabinowy prowadzony jest spokojnie i równo. Straciłem takt i tempo boju. Wydawało mi się, że musi to być w tym winiarskim kącie, że pod okiem załzawionym Naczelnika rozstrzeliwują cofające się w nieładzie, prawie bez obrony, szeregi strzelców. Słyszałem wciąż bliżej ku Winiarom, lecz nie w Winiarach samych strzały i strzały karabinowe, wybuchające z niezrównaną, jak mnie się zdawało, siłą. Wreszcie o zmierzchu już wszystko zacichać zaczęło. Opuściłem bezwładnie ręce.

— Skończone! — myślałem. — Lecz jak? Opatowiec jeszcze w naszym ręku. W nocy Moskale nie zaatakują, mamy noc przed sobą do wyzyskania.

Zdecydowałem od razu, nie czekając na żadną kolację, jechać na tamtą stronę. Jeżeli nawet coś straciliśmy, mamy możność w nocy wszystko naprawić. Widziałem, jak prom niosło w dół rzeki ku Winiarom, jak potem już u naszego brzegu znikł w ciemnościach zapadającej nocy. Czekałem niecierpliwie, przechadzając się nad rzeką, by wreszcie z tamtego brzegu mieć wiadomość o przebiegu boju. Nareszcie, po długim oczekiwaniu z ciemności wynurzył się prom z ludźmi. Przewoźnicy i saperzy ciężko oddychali, a do mnie podskoczył oficer z raportem.

— Obywatelu Komendancie! — salutując, raportował — Winiary stracone. Wyrwa odszedł brzegiem rzeki. Pierwszy batalion stoi pod Ksanami, reszta zgromadzona w Opatowcu. Nieprzyjaciela w pobliżu Opatowca nie ma, staramy się połączyć za pomocą patroli, tak, że gdy odjeżdżałem, ścisłych wiadomości ani o rozkładzie naszych sił, ani o stratach nie było. Noc jest bardzo ciemna. Tam oczekują rozkazów!

— Co za rozkazy u licha, — burknąłem — kiedy ścisłej łączności nie ma?! Trzeba będzie Winiary odbierać i to jak najprędzej. Czego ten Wyrwa wycofał się? Przestraszył się armat? Co?!

Oficer stał niezdecydowany, co ma odpowiadać, zaniepokojony moim gniewem.

— Będę teraz sam się przeprawiał do Opatowca! — krzyknąłem. — Żołnierzy teraz nie przeprawiać! Przyprowadzić konie sztabowe!

Zaczęto się naradzać, ile koni stawiać na prom. Saperzy prosić mnie zaczęli, bym konie zostawił i nie przejeżdżał z nimi na tamtą stronę. Bano się specjalnie mojej płochliwej kasztanki, która może nieszczęście sobie albo komu uczynić, rzucając się ze strachu na promie. Byłem rozgniewany.

— Chodzić wam jeszcze będę pieszo! — mruczałem. Ale uznawałem rację ich rozumowania. W nocy istotnie nie jest to łatwo. Może kasztanka z tym czekać do świtu. Lecz nie sądzone mi było i tym razem przejechać na tamten brzeg. Usłyszałem głosy, poszukujące mnie.

— «Wo ist der Herr Kommandant»? — mówił jakiś głos po niemiecku. — Gdzie pan Komendant? — pytał po polsku drugi.

Okazało się, że mnie szukają, gdyż przyszła do mnie jakaś depesza i leży w Ujściu Jezuickim na stacji telefonicznej.

Po chwili byłem tam. Depesza była od gen. Kordy. Zawiadamiał mnie po prostu, że cała jego propozycja upada, gdyż projekt został odłożony i miejsce przejścia Wisły zmienione. Jakaś dzika pasja mnie opanowała. Cały dzień pracowałem, jak wół, naraziłem cały oddział na straty zupełnie bezużyteczne. Wszystkie rozmowy okazały się austriackim gadaniem. Wraz z krwią, pędzoną gorączką do głowy, dobiegła jakaś dzika nienawiść, idąca z jakiegoś upokorzenia i wściekłości.

— Psia krew! — krzyknąłem w pasji i rzuciłem depeszę na podłogę.

Zrobiło to wrażenie. Ciasny pokoik opustoszał. Został przy mnie tylko jeden z moich oficerów i starszy telefonista, który — dostrzegłem — patrzył na mnie ze współczuciem. Stałem bezradny i zniechęcony — i do siebie, i do wszystkich.

— Panie Komendancie! — przemówił telefonista po polsku — czemu oni Panu pontonów nie dają? Patrzymy i dziwimy się. Tak się panowie męczycie z tą przeprawą, a tu niedaleko stoją nasze krakowskie pontony.

— Jakie pontony? — pytałem.

— Panie Komendancie, — mówił — niech Pan każe; tu na Dunajcu stoi batalion pontonów z Krakowa. Oni sami wciąż czekają na rozkaz Pana, by Panu dopomóc. Korda gdzieś pojechał i jego teraz nie ma. Pan to może zrobić — doradzał prawie wesoło — oni zrobią szybko, co Panu trzeba.

— Jakto, Kordy nie ma? — krzyknąłem — a któż tu dowodzi?

— Panie Komendancie, — poufnie mi mówił — oni nie chcą iść za Wisłę. Zginiecie tam wszyscy. Tu niedaleko stoi komenda brygady 7-ej dywizji. Tam jest jakiś stary generał. Lepiej niech P. Komendant wprost zatelefonuje do komendy pontonów. Oni pójdą, sami to mówili — namawiał mnie wciąż.

Przez jakiś upór i złość dopytałem wreszcie, gdzie jest ten stary generał, i zdecydowałem pojechać do niego zaraz autem. Wyjąłem rewolwer, obejrzałem go starannie, wsunąłem do kieszeni spodni i skoczyłem z adiutantem do auta. Byłem zdecydowany użyć nawet siły, by uzyskać natychmiastowy ich własny rozkaz wysłania pontonów dla mnie pod Opatowiec.

Kwatera gen. Legay była niedaleko. Wpadłem tam, jak bomba. Oficer ordynansowy starał się zatrzymać mnie, twierdząc, że obaj panowie, generał i jego oficer sztabowy, już śpią. Kazałem jednak natychmiast siebie zameldować i powiedzieć, że mam pilną sprawę, i proszę, bym mógł zaraz ich widzieć, chociażby w łóżku. Po chwili wszedłem do sypialnego pokoju.

Gen. Legay, którego podczas wojny spotkałem kilka razy

i którego przed tą wizytą widziałem pod Chęcinami na koniu, pozostał mi w pamięci jako człowiek sympatyczny; odważny osobiście, z typu «vieux troupier» [1]). Gdy więc opisuję tę śmieszną scenę, którą ujrzałem, nie mam żadnej chęci w czymkolwiek uchybić pamięci jego. Zresztą komizm sytuacji usunął może z mojej strony grubiaństwo i gwałt, do czego byłem przygotowany. Powiadają, i według mnie słusznie, że «le rire soulage» — śmiech ulgę przynosi. Z chwilą, gdym wszedł do ciasnego sypialnego pokoiku, ledwiem się powstrzymał od wybuchu śmiechu.

Pierwsze, co rzucało się w oczy w pokoiku, były dwa obok siebie stojące szerokie łóżka — małżeńskie łoże. Obok łóżka dwie nocne szafki, które wypełniały prawie resztę przestrzeni, ograniczonej ścianą. Na jednej z szafek stała świeca, słabo oświetlająca pokój. Na łóżkach w koszulach nocnych siedziały dwie postacie. Bliżej świecy siedziała wyprostowana postać, w której generała poznać nie można było. Wobec tego, że generał zgolił wąsy, była to raczej jakaś koścista, sucha baba z jakiemiś głupimi zobojętniałymi oczami. Na drugim łóżku, również w nocnej koszuli, siedział oficer sztabowy, młody człowiek o małych wąsikach. Nie miał na sobie munduru, więc był po prostu młodym chłopcem, który w dodatku wbijał we mnie przerażone oczy. Było to tak komiczne, jakbym nagle zastał bardzo niedobraną parę wcale w nieodpowiednim momencie. W każdym razie skonstatowałem, że nie zawsze jest bezpiecznym dla autorytetu generała wydawać rozkazy w nocnej koszuli.

Sprawa poszła mi bardzo gładko; po bardzo krótkim wyjaśnieniu sytuacji generał spokojnie kazał oficerowi ubierać się i, przeprosiwszy mnie grzecznie, prosił, bym zaczekał chwilę w innym pokoju. Istotnie, wyszedł do mnie zaraz z wielkimi przeprosinami, już w generalskich inekspimablach, oficer zaś sztabowy wszedł, zapinając ostatnie guziki narzuconego szybko uniformu. Generał natychmiast przy mnie dał rozkaz pontonom telefonicznie, na moje zaś żądanie kazał napisać ten rozkaz na papierze. Oświadczył mi, że on nie chce się mieszać do umów moich z jego przełożonym, gen. Kordą, i dlatego daje mi na całą dobę do rozporządzenia mego całkowitego pontony, sam zaś sądzi, że najlepiej przewieźć wszystko na brzeg prawy i opuścić całkowicie Opatowiec i okolicę.

Skoczyłem do auta, by być nad rzeką. Zdecydowałem być możliwie szybko na tamtej stronie. Rozkazy, związane z ponto-

[1]) starego żołnierza.

nami, wydałem i wreszcie znalazłem się w Opatowcu. Wszystkie dane mówiły mi, że utrzymanie się przez następny dzień koło Opatowca było bardzo trudne. Winiary straciliśmy — Wyrwa wycofał się stamtąd bez strat. Byłem nań wściekły za to. Najsilniejszą obroną z naszej strony była walka w okolicach Ksan, gdzie na linii placówek utrzymaliśmy swój teren. Stratami z naszej strony była pewna ilość rannych i 8 zabitych — wszyscy na jednej placówce, najsilniej zaatakowanej. Pozostałych kilku ludzi, z Młotem-Fijałkowskim (oficerem) na czele, dziko już pracując, gdyż straty zmniejszyły siły placówki o połowę, trzymało wiernie straż aż do wieczora, gdy Moskale się cofnęli. Wydałem rozkazy przewożenia wszystkiego na tamtą stronę, ustanowiłem kolejność batalionów odchodzących i od razu zapowiedziałem, że ostatni zejdę z tego brzegu. Bałem się ogromnie, że przeprawa przedłuży się aż do zupełnego rozwidnienia i że mała ariergarda, która ostatnia będzie musiała odchodzić, będzie zmuszona manewrować tak, by się wycofać dalej w górę rzeki i tam siąść na pontony. Z Winiar bowiem aż do przeprawy pod Opatowcem włącznie rzeka była zupełnie widoczna i dopiero znikała z oczu obserwatorów, stojących, jak liczyłem, od rana na wzniesieniu w Winiarach. Ogień artyleryjski więc łatwo mógł być kierowany na promy i pontony pod Opatowcem.

W nocy zaczęła się przeprawa pontonami. Krakowscy saperzy śmiali się wesoło, że pracują razem ze strzelcami. Widocznym było, że przyjemnie im jest z nami, czuli wszyscy, że stosunek nasz wzajemny jest serdeczny i koleżeński. Zrobiło się i mnie raźniej trochę na duszy. Pontony, pędzone silnymi ramionami krakowian, które rzucały w wodę długie wiosła, mknęły po rzece spokojnie i równo, jakby bez tego wielkiego mozołu, jakiśmy mieli cały czas poprzednio, pracując prymitywnymi promami. Rozlana i rozdziwaczona Wisła wyglądała, jak opanowana przez nas. Znikała jej groza, a dwa brzegi, które przedtem wyglądały, jak dwa wrogie obozy, dwa «Feindeslandy», były teraz złączone łatwo i szybko przez technicznie przepracowany instrument — pontony. A do rozgorączkowanej głowy mojej pełzły niechętne złośliwe myśli:

— Dranie, — myślałem — więc obok stały świetne pontony, któreby mi mogły tak znakomicie ułatwić wszystkie moje śmiałe operacje nad Wisłą i Nidą. Lecz nie! Sami, dranie, — myślałem — spalili dla braku śmiałości mosty, a gdy ja i strzelcy tę śmiałość wykazaliśmy, to kazali nam dziurawić nawet śmieszne promy, by nas zgubić. Wreszcie na pół z łaski zostawili tym głupcom strzelcom zgniłe promy. Ba, kto wie?

Może to my z Kielc jesteśmy dla tych draniów tymi niepewnymi «Ruthenen aus dem Feindesland», których podejrzewał i bał się obrońca spalonego mostu w Szczucinie? A może wprost nas zgubić chcieli, rzucając na pastwę przewagi nieprzyjacielskiej i odmawiając wciąż technicznej pomocy. Przecież nawet te pontony, stojące tak niedaleko, mogłyby być po temu świadectwem!

Pomimo jednak szybkości, z jaką pontony mknęły na falach Wisły, miały one ten brak, że ilość ludzi, których zabierano naraz, była względnie mała. Praca szła raźno, lecz równie raźno szedł czas. Z trwogą spoglądałem na zegarek, gdym stał na brzegu rzeki i gdym dla jakiegoś rozgrzania się wchodził do mieszkania, gdzie piłem herbatę. Wskazówek zegarka zatrzymać nie mogłem i wraz ze zbliżaniem się świtu zaczynałem się niepokoić. Oczekiwałem, że wraz z jasnością dnia nastąpić muszą strzały armatnie. Ariergardy nasze musiały z konieczności z powodu zmniejszenia sił ustępować z terenu, coraz bardziej zbliżając się do Opatowca, i nieprzyjaciel w ten sposób otrzymywał coraz swobodniejsze pole działania. Zdecydowałem, że w przedostatnim pontonie przeprawię na tamtą stronę wszystkich ośmiu zabitych kolegów strzelców, sam zaś z ostatnim patrolem siądę do ostatniego pontonu. Nie chciałem ustąpić żadnym perswazjom, chciałem zachować dla siebie honor największej śmiałości pierwszych bojów strzeleckich.

Świt jednak przyszedł, a my nie byliśmy jeszcze gotowi. Pozostawały niewielkie grupy, ściągające, jako ostatnie patrole, wysłane do Opatowca, osiem trupów w pokrwawionych strzeleckich kurtkach i ja ze swym otoczeniem. Gdym stanął na brzegu rzeki, zezowałem wciąż na lewo, na wzgórza około Winiar, oczekując stamtąd sygnału, abym przerwał przeprawę i przerzucił pontony w górę rzeki. Minuty płynęły za minutami, ponton odbijał za pontonem, grupa nasza ariergardowa malała i malała. Spojrzałem na rzekę. Jak gdyby zadowolona z wyrządzonej nam psoty, zaczęła opadać — widocznym to było wyraźnie na brzegu. Zakląłem siarczyście.

Wreszcie na brzegu został ostatni patrol, stojący na straży przy trupach zabitych kolegów, i ja sam ze swym otoczeniem. Spojrzałem raz jeszcze w stronę Winiar i na niebo. Słońce jakby leniwie wytoczyło się wreszcie na horyzont ze wschodu od rzeki wiał jakiś przeraźliwy chłód, zwiększając moje gorączkowe dreszcze. Winiary milczały. Kończyłem swoje śmiałe boje nad Wisłą i Nidą. Na sąsiedni ponton ładowano trupy strzeleckie, my po kolei wchodziliśmy do drugiego. Westchnąłem ciężko, gdy ostatni skoczył do pontonu. Za chwilę

byliśmy na tamtym brzegu, gdzie oczekiwał mnie samochód. Jechałem do Gręboszowa zniechęcony, osłabiony i trawiony gorączką.

W Gręboszowie, w gościnnej plebanii, ułożono mnie natychmiast do łóżka. Proboszcz — tęgi, jowialny ksiądz — przyszedł prosić mnie, bym pozwolił wszystkie piki kozackie, zabrane z pól bitewnych, oddać do kościoła. Z przyjemnością na to pozwoliłem. Prosiłem natomiast o pogrzeb zabitych na cmentarzu przy kościele. Oddałem komendę Sosnkowskiemu i kazałem przyjść doktorowi. Ten pukał, stukał, mierzył temperaturę, kiwał głową, jak wszyscy doktorzy, i wreszcie oświadczył, że to zwykła u mnie influenca i że sądzi, iż musi mnie wyprawić do Krakowa. Zacząłem targi, doktor nie ustępował, ja zacząłem krzyczeć na niego. Odszedł, mrucząc pod nosem. Czułem się dobrze w łóżku, nie nad rzeką; całe ciało paliła gorączka, niespaną noc czułem w kościach, w uszach słyszałem łagodny szum — zwykły stan mój przy wysokich temperaturach. Nie chciałem o niczym myśleć i zamknąłem oczy. Przyniesiono mi gorącej herbaty i pozostawiono mnie w spokoju.

Za ścianą słyszałem szepty oficerów i przyciszone ich kroki, za oknem na ganku dwa grube głosy, prowadzące dyskurs medyczny.

— Najlepiej — mówił tubalny głos księdza — zagotować gorący krupnik litewski i przykryć kożuchami. Jutro będzie osłabiony, pojutrze siądzie na kasztankę.

— Serce słabe, — oponował gruby ton doktora — alkoholu dawać nie można, trzeba odwieźć do Krakowa.

Głosy odbijały mi się w głowie, tłukąc o czaszkę. Chciałem krzyknąć, by szli gdzieś dalej kłócić się o moją kurację. Lecz znowu na ganku omawiano kwestię pogrzebu. Machnąłem niecierpliwie ręką i do głowy wpełzły znowu niecierpliwe i złośliwe myśli z powodu pierwszych moich bojów. Nie mogłem się rozstać z przeżyciami ostatnich dni. Rozgorączkowana głowa, nietrzymana na wodzy przez poczucie obowiązku i odpowiedzialności, przestała składnie pracować.

— Masz — myślałem — swoje boje! Boje nad polskimi rzekami! Jakżeż ci się to wszystko spodobało z początku?! Co?

— Głupie rzeki! — myślałem. — Wisełka taka szara, płaska, zerkająca oczkiem na obie strony, jakby szukała gdzieś za ladą małego sklepiku, ktoby kupił za trzy grosze i towar, i ją całą. A ta głupia Nida! Powiadają, że Żeromski ją właśnie nazwał «wierną rzeką»! Płynie leniwie, jak w puchach, w błocie i wierna jest. Komu? Chyba tym błotom! Wreszcie Dunajec, jedyna męska rzeka w zbiorowisku rzecznym. Czego on

oszalał, czego mu się zachciało zerwać jakieś pęta u tych leniwych bab rzecznych, by tyle nam napsocić? Śmieszne to wszystko!

Przypominały mi się moje wycieczki w Tatrach, skąd Dunajec płynie i skąd teraz wał wodny pędził. Do tej trójki rzek pomimo woli dochodzi czwarty towarzysz. Najzabawniejsza rzeka, jaką znam, Poprad. Zastanawiałem się nieraz nad tym dziwolągiem rzecznym. Rozpoczyna swój bieg na południowym skłonie Tatr, spadając wesoło na dół ku południowi, jak wszystkie strumienie z południa Karpat. Musiałby, jak one, biec do Dunaju. Nie! Zawraca dziwacznie ku północy, dumnie przebija góry, jakby tęsknił za Wisłą. Gdzież jest taka głupia rzeka, co wbrew naturze gwałtem góry przewierca! Leci potem, jak opętany, by znowu wbrew logice zgubić swe imię u Nowego Sącza. Wpada do Dunajca, gdy od niego jest dłuższy, potężniejszy i żywszy. Czyżby ten rycerz, co góry przewierca, nam — mnie i strzelcom — psocił w tych bojach! Chyba nie! Deszcze były tylko dla Dunajca, a ten dziki i dziwaczny Poprad to chyba symbol mój i strzelców. Machnąłem niecierpliwie ręką.

Za oknem znowu ksiądz umawiał się z oficerami o pogrzeb poległych. Upraszał znowu o piki kozackie, które, jako votum strzelców, postawi obok chorągwi procesyjnych dla upiększenia świątyni Bożej. «Raritas!» I znowu płocha myśl poniosła mnie gdzie indziej. Przy «grzecznych szańczykach» niejaki chorąży orszański, Kmicic, noszący w sercu obraz jakiejś dalekiej mej kuzynki, Oleńki Billewiczówny, podnosi w górę «za kark ucapionego» Lapończyka, chcąc, by król jegomość szwedzki mu go podarował. Natychmiast by go uwędził i pomiędzy inne «raritates» w kościele farnym w Orszy powiesił, gdyż tam jajo strusie już wisi!

— Niech tam! — zaśmiałem się — może dosyć tych fantasmagoryj!

Do pokoju weszła deputacja oficerów z Sosnkowskim na czele, za nimi doktor Rouppert. Oświadczyli mi, że przychodzą z prośbą, bym się nie opierał żądaniom wszystkich i wyjechał do Krakowa, gdyż nie chcą brać na swoje sumienie skutków influenzy gdybym się nie zaszanował. Było mi już wszystko jedno. Targowałem się dla zasady i ustąpiłem. Po paru dniach ewakuowano mnie w aucie do Krakowa.

Tym się skończyły dla mnie pierwsze moje boje, gdzie zrobiłem — jak mnie się zdaje — dużo, by przez śmiałość decyzji i pracy zyskać szacunek żołnierski w otoczeniu dla siebie i strzelców.

ULINA MAŁA

Armia gen. Dankla cofała się w końcu października 1914 r. spod Dęblina. Nie była pobitą — przynajmniej my pod Laskami nie odczuliśmy tego — a jednak cofała się, jak armia pobita, szukająca bezpieczeństwa w szybkim odwrocie, w pozostawieniu pomiędzy sobą a nieprzyjacielem możliwie dużej przestrzeni. Dwa razy stawaliśmy na pozycjach — pod Brzechowem i pod Górą — lecz tylko po to, by po wymianie pierwszych strzałów cofać się dalej pod osłoną nocy. Będąc nieraz w ariergardzie 46 dywizji obrony krajowej i nie mając właściwie przed sobą naciskającego nieprzyjaciela, tłumaczyłem sobie to pospieszne cofanie się, podobne do odwrotu po klęsce, porażką na innych frontach, przegraną, która odsłaniała nam skrzydła i gnała tak niemiłosiernie szybko na zachód. Pewne niewyraźne pogłoski o tym chodziły pomiędzy oficerami: więc Przemyśl znowu jest oblężony, więc Rosjanie zajmują środkową Galicję, w Karpatach idą rozpaczliwe ataki, by osłonić Węgry, wreszcie gdzieś koło Łodzi i Łowicza Niemcy pobici cofają się ku swojej granicy.

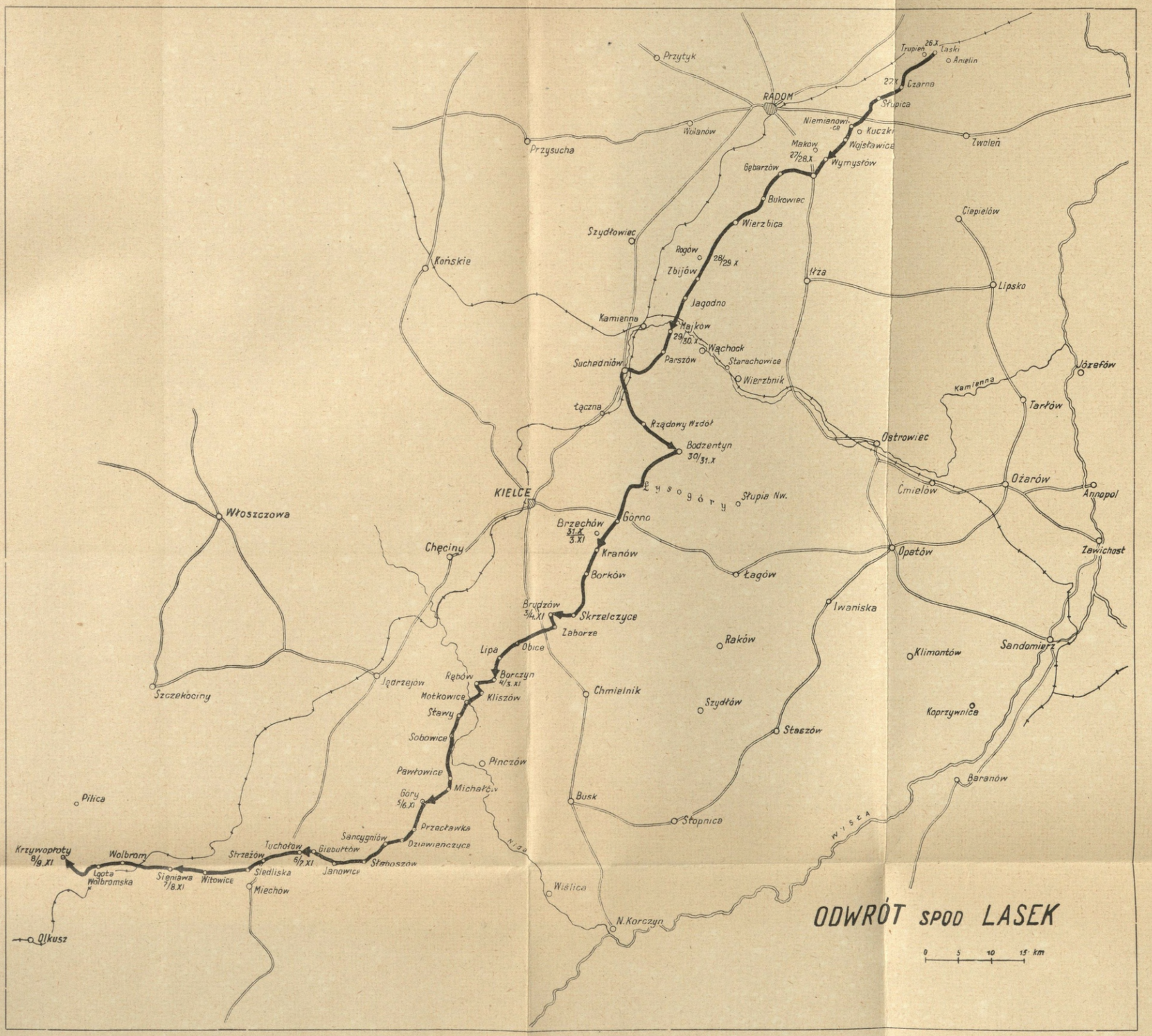
Chaos pojęć o sytuacji wojennej powiększała jeszcze specjalna moda austriacka. Moda ta polegała na robieniu siebie większym od innych przez posiadanie danych, potrzebnych dla zrozumienia czy to rozkazu, czy to sytuacji, i nieudzielanie tych wiadomości, broń Boże, nikomu, ażeby w ten sposób nie zmniejszyć przed nikim swej wielkości. Rezultatem tej specjalnej że się tak wyrażę «Grossmacherei» [1]) było szerzenie się w wojsku tak powszechnych opowiadań o klęskach i niepowodzeniach, żeśmy cofali się w wielkim rozpędzie, w atmosferze zupełnego rozbicia armii austriackiej. Narazie, aż do Góry pod Pińczowem, przypuszczałem, że idziemy ku Krakowowi. Skierowałem nawet wprost w tym kierunku wszystkie nasze bagaże i tabory cięższe, każąc im, by wyprzedziwszy wszyst-

[1]) Robienie siebie większym od innych.

kie austriackie tabory, spieszyły czym prędzej stanąć kwaterą gdzieś w okolicach Krakowa. Chciałem uniknąć w ten sposób zaguby naszych bagażów i zaplątania się ich w marszu z taborami całej armii, któreśmy już szczęśliwie dogonili niedaleko od Pińczowa. Błyskała mi myśl, że może przy tym kierunku cofania się staniemy za parę dni w Krakowie. Tam, myślałem, zebrani razem z chorymi, rekonwalescentami i maruderami wszelkiego rodzaju, staniemy w obronie naszej bazy, skądeśmy na wojenkę wyszli. Tam nawet nieszczęśliwy koniec naszej próby stworzenia żołnierza polskiego będzie miał odpowiedni scenariusz historyczny.

Lecz nie! Od Góry odwrót, nie mniej pospieszny, poszedł w kierunku wyraźnie zachodnim — nie południowo-zachodnim, ku Krakowowi. Szliśmy wyraźnie na Miechów lub nawet nieco na północ od Miechowa, ku Antolce. Tu, po raz drugi podczas wojny, przypominałem sobie Langiewicza, gdy niegdyś, już jako dyktator, szedł spod Krakowa przez tę samą Antolkę ku Chrobrzowi nad Nidą, by smutnie w lesie pod Grochowiskami skończyć swą błyskotliwą, prawie operetkową pracę nad wojskiem polskim. Opanowywały mnie smutne, niewesołe myśli, a czułem, że i wśród mych podwładnych jakaś depresja bierze górę nad wszystkimi innymi uczuciami! W Antolce otrzymaliśmy rozkaz cofania się dalszego na Wolbrom i Krzywopłoty. Od tej chwili Kraków pozostał od nas na wschodzie i wszelka nadzieja na walki i boje pod Krakowem znikła zupełnie. Szliśmy na Zagłębie, kto wie, może jutro staniemy u granicy Królestwa. Dowcipnisie w moim sztabie już określali miejsce pierwszej kwatery dla Brygady na obcej ziemi.

Marsz na Wolbrom był bardzo uciążliwy. Mieliśmy iść w awangardzie 46 dywizji. Wskutek małej ilości kuchen polowych i niedostatecznego wtrenowania się jeszcze żołnierzy do wczesnego wstawania i szybkiego załatwiania wszystkich swych porannych czynności gospodarczych, opóźniliśmy się z wyjściem. Wywołało to przykre dla mnie konflikty przy samym wstępie do marszu. Droga była już po prostu zalana przez cofające się bezładnie tabory. Dowódca brygady, która miała iść za mną, stroił niezadowolone miny i oświadczył, że złożył na mnie skargę do komendanta dywizji. Między moimi «taborytami» a austriackimi wynikały ustawiczne spory, dochodzące do tego, że jedni i drudzy chwytali za broń, by otworzyć sobie drogę. Do taborów, wlokących się z krzykiem i przekleństwami we wszystkich możliwych językach, zaczęła wciskać się gwał-


ODWRÓT SPOD LASEK
0 5 10 15 km
RADOM
KIELCE
Przytyk
Trupień
26.X
Laski
Anielin
27.X
Czarna
Słupica
Niemianowice
Kuczki
Wojsławice
Makow
27/28.X
Wymysłów
Gębarzów
Bukowiec
Wierzbica
Rogów
28/29.X
Zbijów
Jagodno
Hajków
29/30.X
Wąchock
Parszów
Starachowice
Wierzbnik
Suchedniów
Łączna
Rządowy Wzdół
Bodzentyn
30/31.X
Brzechów
31.X
3.XI
Górno
Kranów
Borków
Brudzów
3/4.XI
Skrzelczyce
Zaborze
Lipa
Obice
Rębów
Borczyn
4/5.XI
Motkowice
Kliszów
Stawy
Sobowice
Pinczów
Pawłowice
Michałów
Góry
5/6.XI
Przecławka
Dziewięczyce
Sancygniów
Tuchołów
Giebułtów
6/7.XI
Strzażów
Stanoszów
Janowice
Siedliska
Miechów
Witowice
Stęniawa
7/8.XI
Wolbrom
Lgota Wolbromska
Krzywopłoty
8/9.XI
Pilica
Olkusz
Szczekociny
Włoszczowa
Chęciny
Łączejów
Przysucha
Wolanów
Końskie
Szydłowiec
Kamienna
Suchedniów
Łysogóry
Słupia Nw.
Chmielnik
Busk
Stopnica
Wiślica
N. Korczyn
Nida
Wisła
Raków
Szydłów
Staszów
Iwaniska
Łagów
Opatów
Ćmielów
Ostrowiec
Ciepielów
Iłża
Lipsko
Kamienna
Tarłów
Józefów
Ożarów
Annopol
Zawichost
Sandomierz
Klimontów
Koprzywnica
Baranów

tem artyleria i parki amunicyjne, torujące sobie drogę swoim ciężarem i bezczelnością. Pomiędzy tabory i artylerię zaczęła wchodzić piechota i karabiny maszynowe. Jednym słowem, odwrót, gdy wojsko już raz wpadło na swoje własne tabory, zaczął przybierać charakter jakiejś bezładnej ucieczki, gdzie każdy starał się być pierwszym, by być dalej od nieprzyjaciela.

W atmosferze wojskowej dawało się z tego powodu wyczuć jakieś zdenerwowanie, wskutek którego, naturalnie, jeszcze bardziej powiększało się tarcie maszyny wojennej. Bataliony moje wcisnęły się jakoś w tę rzekę ludzi, koni i wozów, wcisnęły się bez porządku, jak kto mógł. Specjalnie tabory były rozerwane na mnóstwo części i szły w tej rzece, płynącej ku Wolbromiowi, bez żadnego związku. Nieraz nawet poszczególne wozy szły samotnie, oddzielone od innych szeregiem wozów, należących do innych jednostek wojskowych, wywołując tym, naturalnie, specjalne niezadowolenie u dowódcy danego taboru i u jego podwładnych.

Unikając ścisku na głównej drodze, gdzie podwójnym rzędem szły w natłoku wozy, boczną ścieżką, wyprzedzając wojsko, ruszyłem ku Wolbromiowi. Wreszcie z pagórka ujrzałem miasteczko. Do ciasnej uliczki wciskały się teraz z trudem i mozołem wozy i armaty. Ba, do miasteczka dążyliśmy nie my jedni. Skądś, od północo-wschodu szły inne tabory, inne wozy i inne armaty. Wkrótce na ogromnej przestrzeni przed miasteczkiem nie tylko drogi, lecz nawet ścieżki pełne były nieprzerwanego szeregu wozów, dążących do wjazdu do Wolbromia. Tu odbywała się istna orgia: krzyki, przekleństwa, kłótnie o to, kto ma pierwszy wcisnąć się do miasteczka, bicie po pyskach koni, zajeżdżających innym drogę, nawoływanie się, słowem — piekło, do którego nie chciałem mieszać swego wojska. Dałem więc rozkaz, by zatrzymywano i ściągano na stronę wszystkich legionistów i ich wozy u wejścia do Wolbromia. Kazałem rozpalić ogień wobec zimnego jesiennego wiatru i czekać, nim cała fala nie przepłynie, a my, bez walki o miejsce, w porządku przejść byśmy mogli swobodnie. Było to zresztą i dlatego konieczne, by zebrać wszystko, co należało do nas, do kupy, nie dać zginąć w tłoku i nieporządku poszczególnym wozom, rozproszonym wśród innych.

Nie chciałem stanowczo do tych walk o miejsce się mieszać. Miałem zupełnie dosyć tej wiecznej, nieustającej kłótni i sporów z otoczeniem — austriackim wojskiem z I korpusu, do którego byłem przyczepiony i z którym przebyłem całą ope-

rację dęblińską. Przypominałem sobie u wejścia do Wolbromia całą dotychczasową naszą historię.

Gdym 6 sierpnia 1914 r. wyprowadził strzelców na wojnę i pomaszerował na Kielce, pomiędzy mną a sztabem austriackim nie było omówionych dostatecznie ściśle warunków wzajemnego stosunku pomiędzy tworzącym się wojskiem polskim a austriackim. Skorzystałem z tego, by postawić od razu, od pierwszego kroku, sprawę tak, aby w młodego żołnierza wpoić możliwie wiele ambicji, honoru, miłości własnej, wreszcie poczucia niezależności od obcych i dumy z tego, że się jest pierwszym zawiązkiem wojska polskiego. Z tych uczuć płynęło konsekwentnie wysokie poczucie obowiązku, aby w niczym nie poniżyć w oczach otoczenia, ani tym bardziej własnych, sztandaru, który od razu postarałem się wznieść możliwie wysoko. Okoliczności pierwszych tygodni wojny sprzyjały temu nadzwyczajnie. W Kielcach byliśmy w tej części teatru wojny, w której akcja wojenna nie była wcale żywą, gdzie zatem stały nieliczne, drugorzędne formacje wojskowe pospolitego ruszenia, które z natury rzeczy nie mogły posiadać gwałtownej chęci supremacji nad nami. Zresztą szybko zdołałem rozwinąć z jednej strony urządzenia wojskowe, z drugiej polityczno-administracyjne instytucje. Stwarzałem w ten sposób mnóstwo faktów dokonanych, czynionych na własną, polską rękę, co znowu nie tylko zmuszało do liczenia się z nami, ale również dawało formującemu się wojsku zewnętrzny wykładnik tego poczucia dumy narodowej i ambicji wojskowej, z których chciałem stworzyć podstawę dla «morale» polskiego żołnierza. Już same fakty, że w Kielcach, największym mieście w południowej części Królestwa, zajętej przez wojska inne, miałem kwaterę w pałacu gubernatorskim, w siedlisku dawnej władzy głównej, wtedy, gdy kwatera dowódców wojsk niemieckich i austriackich znajdowała się gdzieś w mieście, że moje bataliony stały w głównych budynkach państwowych, że polskie wojsko było tam najliczniej reprezentowane — dawały podnietę dla poczucia dumy i nadziei rozwoju.

Pierwszym ciosem, ciosem poważnym i bardzo boleśnie przez wojsko odczutym, był pakt zawarty przez Naczelny Komitet Narodowy z Naczelną Komendą Armii austriackiej, co do formowania Legionów Polskich pod jego, N. K. N., opieką. Warunki tego paktu robiły z nas składową część armii austriackiej, przyrównując nas do pospolitego ruszenia — landszturmu austriackiego — i oddając nas pod opiekę organizacyjną Ministerium Obrony Krajowej. Jako komendantów

Legionów wyznaczono oficerów austriackich polskiego pochodzenia, nie mających nic wspólnego z formacjami tego charakteru, co strzelcy.

Nie chcę wchodzić w motywy polityczne, dla których N. K. N. tak postąpił, ani w powody, które mnie skłoniły do przystąpienia do tej akcji — nie jest to wcale zadaniem tego szkicu, który piszę. Dosyć, że pakt ten zachwiał gruntownie podstawą, na której budowałem «morale» nowego żołnierza polskiego. Traciliśmy narazie swoje pierwotne stanowisko tylko w zasadzie, gdyż pozostawiono mi swobodę dalszej organizacji. Zresztą niewiele sobie robiłem z ustanowień tego paktu. Lecz skutki umowy w całej rozciągłości odczuliśmy po przyczepieniu nas do I korpusu krakowskiego, podczas ofensywy na Sandomierz i Dęblin.

Stosunek do nas od góry do dołu był przeważnie wrogo-pogardliwy, w najlepszych wypadkach — lekceważąco-protekcyjny. Dawało to powód do nadzwyczaj licznych starć i przykrości, najczęściej upokarzających. Po paru zajściach z samą komendą korpusu, moda stosowania się do nas, jako do «bête noire», stała się po prostu prawem. Ten stosunek tym był przykrzejszy, że spotykał on nas właśnie w polskim, krakowskim korpusie. Co prawda, było tam mnóstwo Czechów, specjalnie we wszystkich instytucjach tyłowych. Z tymi było najgorzej! Ci wszędzie i zawsze pokazać chcieli swą władzę, swe uprzywilejowane stanowisko, jako armii stałej, w porównaniu z jakąś «bandą». Po bitwie dęblińskiej, gdy pod Laskami moje bataliony wykazały doskonałą postawę, te przykrości stały się tym trudniejszymi do zniesienia, gdyż dotykały już nie tylko godności narodowej, lecz i dumy żołnierskiej. A w odwrocie, przy spotkaniu się z taborami, te przykrości zaczęły się mnożyć. Byłem zmęczony tym piekłem ciągłego uspokajania słusznie wzburzonych nerwów moich oficerów i żołnierzy. Zacząłem się obawiać po prostu o skutki takiego ułożenia się stosunków, skutki, które mogły się wyrazić albo w zwyczajnej bójce ze wszystkimi jej następstwami, albo spowodować upadek wśród wojska tego, co uważałem za najbardziej podstawową rzecz dla żołnierza, w ten sposób tworzonego — jego dumy i ambicji.

I dlatego, gdym stał wówczas podczas chłodnego listopadowego popołudnia u wejścia do Wolbromia i patrzał na nerwowe tłoczenie się wozów, koni i ludzi, na walkę wszystkich ze wszystkimi o to, by wejść pierwszy w ulice miasteczka, nie chciałem w niej brać udziału, nie chciałem pozwolić na nowe

tarcia i spory pomiędzy moimi żołnierzami a «kolegami» z austriackiego wojska.

Wkrótce koło ognisk rozległ się wesoły śpiew żołnierzy. Przechodzące zdenerwowane wojsko patrzało na nas, jak na wariatów, albo też brało naszą wesołość za kpiny z siebie. Oficerowie z mego sztabu u początku miasteczka zdobyli jakąś chałupę, gdzie przygotowano herbatę i zaproszono mnie na nią. Posłałem oficera do środka miasteczka, by tam sprawdził ruch wojska. Wrócił z raportem, że to, co się dzieje u wejścia, jest niczym w porównaniu z tym, co się dzieje na rynku, gdzie drogi różnych części wojska rozchodziły się, gdzie nastąpiło niebezpieczne dla ruchu skrzyżowanie nieporządnie idących taborów i artylerii i gdzie zresztą już kilku oficerów sztabowych robi porządek.

— Zabawa na długo! — pomyślałem, siadłem do herbaty i pogrążyłem się w analizie nurtujących mnie oddawna myśli.

Myśli te były niewesołe! Cofaliśmy się, nie zatrzymując się wcale, z jakimś potwornym pośpiechem od Wisły ku zachodowi. Mijaliśmy już Kraków, zostawiając go na wschód od nas. Odwrót, który obserwuję, nabiera jakichś cech klęski wskutek samego sposobu marszu. Trudno sobie wyobrazić, by wojsko, tak cofające się, było w stanie jutro czy pojutrze podjąć walkę. Muszą to widzieć i rozumieć i wyżsi dowódcy, których widocznie jakieś inne powody zmuszają do tego, że pozwalają na taki bezmyślny przejaw demoralizującego tchórzostwa. Widocznie więc, jeśli walka będzie podjęta, to poza granicami Polski, którą oddają na zalew Moskali.

Druga już to próba ofensywy nieudana, kończąca się klęską i jakimś prawie haniebnym, bez przyczyny zarządzanym odwrotem. Idąc tak trochę dalej, staniemy jutro czy pojutrze w obronie dostępu do Wrocławia czy Zlatej Prahy i Wiednia. Nie mogłem iść na to! Wolałbym śmierć, niż taką przyszłość. Mogła mi próba stworzenia zawiązku wojska polskiego nie udać się, mogłem się mylić w rachubach, lecz nie mogłem zdobyć się na jakieś udawanie Józefa Poniatowskiego i tonąć w jakiejś Elsterze, nie mając nawet Napoleona nad sobą, ale jakiegoś na krzywych nóżkach małoluda Demusa i suchego, złośliwego Kirchbacha *). Gdy nie ma już nadziei na rozwój wojska, gdy po prostu Austria walczy chyba o jako tako przyzwoite

*) Demus — szef sztabu I korpusu krakowskiego, główny prześladowca nasz — wydawał mi się z pochodzenia Żydem czeskim. Kirchbach — dowódca korpusu I — był hakatystycznie usposobionym Niemcem.

zakończenie wojny, trzeba kończyć i nam. Niech I korpus krakowski broni Prahy i Wiednia, Wrocławia i Berlina — my, wolni strzelcy polscy, nie będziemy tego czynili. Spróbujemy umrzeć z honorem, lecz umrzemy na swojej własnej ziemi!

Były to moje rozpaczliwe myśli u wejścia do Wolbromia, gdzie w błotnistych uliczkach miasteczka człapały jeszcze konie, ciągnąc za sobą taborowe wozy, armaty, jaszcze i dudniące kuchnie. Zdawałem sobie sprawę, że czynię jakieś wysiłki, aby się obronić od tego dzikiego skoku gdzieś w zupełnie nieokreśloną i niewiadomą przyszłość. Fizyczne i moralne zmęczenie robiło swoje. Leniwie i tępo patrząc w przeciwległą ścianę, siedziałem na jakiejś ławie, nie chcąc się ruszać z miejsca. Ogólne znużenie nie usposabiało do energiczniejszego wysiłku myśli. Odpocząć przed tym, nim się coś postanowi, odpocząć samemu, dać odpocząć innym, nim się zażąda od nich wydatku energii! Lecz gdzie? Tutaj, przed tym błotnistym Wolbromiem, gdzie jutro mogą się ukazać może patrole rosyjskie? Umierać tutaj, jako opóźniony w cofaniu się maruder! Robiło mi się smutno na duszy i za siebie, i za tych, których prowadziłem za sobą. Umierać można, lecz nie tak śmiesznie! Jakaś zanadto dziwaczna Elstera!

Jeszcze raz błysnęły mi w oczach mury Krakowa, skąd wyszliśmy na wojnę, gdzie miałem wtedy jakieś wewnętrzne uczucie, że zarówno w moim życiu, jak w życiu chłopców, których za sobą wyprowadzę, zachodzi jakiś przełom, jakaś zasadnicza zmiana. Do Krakowa? Przecież to forteca, to nie padnie w jednej chwili, w jednym dniu. Jeśli umierać, to tam, tam złożona z nas hekatomba ślad zostawić musi. Nie będzie to Elstera, lecz Wisła! Do Krakowa, albo jeszcze dalej, do Nowego Targu. Jeżeli istotnie Austriacy czują się tak pobici, że się cofają tak szalenie szybko, jak gdyby za kilka dni bronić chcieli Moraw i Czech, to nieprzyjaciel musi minąć całą Galicję. I wtedy trudno dostępne górskie okolice dadzą możność trzymania się dłużej, niż gdzieindziej. Górale pewno pomogą... Gdy już hekatomba ma być złożona, to będzie ona przynajmniej tam w górach bardziej historyczną, bo samodzielną, ba, będzie bardziej sceniczną. Jest już listopad, muszą przyjść śniegi, które stworzą wszędzie trudne «defilé», łatwe do obrony nawet małymi siłami. Więc spróbować się tam dostać — oto zadanie!

Odetchnąłem trochę, gdym do tej decyzji przyszedł, gdym swobodniej zaczął mówić sobie, że może jutro nie będę się tłukł po drogach w kłótniach i sporach z kochanym I korpu-

sem krakowskim w walce «mit dem österreichischen Schikanensystem» [1]). Zacząłem leniwie myśleć, oglądając mapę. Trudności natychmiast mi zaczęły wyrastać: gdzieś jest rozkaz cofania się aż do Krzywopłotów — tak daleko jeszcze — a tu wkrótce zmierzch nastąpi; Wolbrom może za duże miasteczko do stania na noclegu z mymi małymi, a tak zmęczonymi siłami; lepiej może dobrze pomyśleć, niń się taką dziką rzecz zdecyduje, a tu myśleć tak, na jakimś popasie, nie sposób.

Oficer zameldował mi, że ariergarda austriacka już zajęła miasteczko i że drogę mamy wolną. Przejrzałem raz jeszcze mapę i wydałem rozkazy:

— Nocleg w Lgocie Wolbromskiej. Kwatermistrze mogą jechać. W ariergardzie batalion taki a taki wystawia forpoczty na wschód. Wymarsz w pół godziny po przejściu ostatnich wojsk austriackich.

Odczułem na sobie pytające oczy Sosnkowskiego, Kasprzyckiego i Stachiewicza. Lgota Wolbromska leżała o kilka kilometrów na wschód od linii forpoczt, wytkniętych na ten dzień dla armii, a naturalnie, jeszcze dalej od wyznaczonego dla nas miejsca postoju koło Krzywopłotów.

Odwołałem Sosnkowskiego i zacząłem mu tłumaczyć myśl moją:

— Od jutra cofamy się samodzielnie; idziemy na południo-zachód pod Olkusz, gdzie mamy największe kompleksy lasów; wyjdziemy pod Kraków, gdzieś koło Krzeszowic. W ten sposób znajdziemy się znowu w Polsce, tam zaś albo będziemy bronić Krakowa, albo pójdziemy na Podhale. Dzisiaj możliwie krótki marsz, aby ludzie i konie wypoczęli trochę, bo jutro będziemy mieli ciężki dzień, od południa jutro spodziewam się mieć kawalerię rosyjską na karku.

Nie potrzebowałem długo tej myśli tłumaczyć swemu najbliższemu pomocnikowi. Już nieraz w rozmowach podczas marszów wymienialiśmy pomiędzy sobą myśli co do naszego tragicznego losu w najbliższej przyszłości, gdy znajdziemy się już na obczyźnie i cała myśl przewodnia, z którą szliśmy na wojnę, zniknie, skoro podstawa jej — ziemia ojczysta — spod nóg się usunie.

Narazie wszyscy potrzebowaliśmy odpoczynku na gwałt. Bój pod Dęblinem (pod Laskami) silnie nadszarpał nerwy i wywołał zmęczenie fizyczne. Pierwszy raz braliśmy udział w wiel-

[1]) Z austriackim systemem szykan.

kich bojach nowoczesnych, pierwszy raz odczuliśmy na sobie wpływ silnego ognia artylerii lekkiej i ciężkiej, pierwszy raz przeżywaliśmy cięższe straty. Wreszcie trzydniowy bój z nieprzespanymi nocami, przy chłodach jesiennych, musiał się też na nas odbić.

Potem przyszło cofanie się z całym moralnym ciężarem, że opuszczamy Polskę. Wreszcie niekoleżeńskie stosunki z otoczeniem. Długie marsze, częsta praca w ariergardzie, wyczerpująca jeszcze bardziej siły, brak kuchen polowych, który skracał żołnierzom każdego dnia czas snu, wreszcie niedostateczne wyekwipowanie, brud i zawszenie — wszystko to razem wymęczyło strasznie wojsko. Odczuwałem to doskonale na sobie. Nigdy w życiu nie sypiałem we dnie. Nawet po niespanych prawie nocach zasypiałem w ciągu dnia zawsze z trudnością, teraz zaś wystarczało tylko nie myśleć, a już zaczynałem drzemać czy to na koniu, czy nieraz w najniewygodniejszej pozycji. Z powodu brudu czułem do siebie po prostu obrzydzenie, a myśl o odpoczynku i o jednym chociażby spokojnym dniu była jakimś marzeniem o raju na ziemi. Przewidywałem, że przy przeprowadzeniu powziętej decyzji będziemy wszyscy mieli parę dni szalonego napięcia nerwów i mięśni. Przede wszystkim więc odpocząć przed wytężoną pracą!

Wyszedłem do wojska. Ognie paliły się wesoło, rozlegały się śpiewy i wybuchy śmiechu, otaczano kołem kolegów, wracających z miasteczka i przynoszących z niego zdobycz — chleb czy kartofle. Po drodze przeciągała ariergarda austriacka, a raczej ostatnie jej patrole. Byli to Polacy z Tarnowa i okolic. Niektórzy z nich zatrzymywali się przy ogniskach i ze zdziwieniem pytali, co tu robimy, gdy już za nimi mogą być tylko kozacy. Otrzymywali harde odpowiedzi moich chłopców, sypały się pieprzne dowcipy. Zimny, przejmujący wiatr robił jednak swoje. Widziałem zsiniałe twarze, zmęczone oczy. Niektórzy spali przytuleni do siebie. Dokoła chodziły warty. Widziałem, że wielu z naszych żołnierzy zadaje sobie te same pytania, z jakimi się do nich zwracano: «Po co właściwie tu stoimy? Może znowu jakaś ariergarda i niespana noc?» Czułem na sobie te pytające oczy żołnierza, chcącego z twarzy dowódcy wyczytać wyrok o swoim losie. Czułem i było mi przykro, żem już w duszy ich na śmierć w hekatombie skazał.

Lecz nareszcie odmarsz. Zbliżał się wieczór, a z miasteczka nadbiegł oficer z wiadomością, że droga wolna i całe wojsko austriackie już przeciągnęło. Przyprowadzono mi kasztankę. Byłem bardzo zmęczony, więc zaczęły mnie z łatwo-

ścią opadać wszystkie możliwe wątpliwości z powodu powziętej decyzji.

Przede wszystkim długi szereg wozów i nasze «werndle na kółkach» — staromodna górska artyleria z dymnym prochem. Konie zmęczone, drogi złe, szybki marsz więc trudny. Jak obronię swe wozy od napaści kawalerii, przecie połowa wojska pójdzie na osłonę taboru. Dalej, co ja właściwie wiem o nieprzyjacielu — nic a nic, oprócz tego, że właśnie na tym trakcie, którym myśmy się posuwali, nas nie naciska. Przecież nasze szybkie cofanie się nie bez powodu się odbywa, gdzieś na naszych skrzydłach musi być nacisk silniejszy, a więc nieprzyjaciel bliższy, może akurat tym zagrożonym skrzydłem jest nasze prawe — południowe? Droga więc może być trudniejszą, niż mnie się wydaje — nie tylko z przednią strażą rosyjską bym miał do czynienia. A czy jestem do tego zdatnym z tak zmęczonymi ludźmi i z tak małym zapasem nabojów, którego już, gdy zostanę sam, nie uzupełnię? A co zrobię z rannymi? Dotąd dumni byliśmy z tego, że rannych nie zostawialiśmy w ręku nieprzyjaciela, w tym wypadku zaś będzie to koniecznością. Wreszcie ta przykra rola uciekiniera, tak, jakgdyby niespełniony obowiązek żołnierski. Dobrze mówić, że moja garstka nie zaważy na szali przy obronie Wrocławia czy Pragi, a jednak... jednak nie mogę pozbyć się uczucia przykrości specjalnie w stosunku do bezpośredniego mego dowódcy, gen. Brandnera, który od bitwy pod Laskami był szczęśliwym wyjątkiem w krakowskim korpusie i zawsze okazywał swą ku nam życzliwość i koleżeństwo.

Trudności przedsięwzięcia wyrastały, jak grzyby po deszczu. Przedstawiałem sobie różne możliwe spotkania z nieprzyjacielem, szczególnie zaś tę chwilę, gdy otoczony, po wystrzelaniu wszystkich nabojów, będę musiał decydować już skazanie męczeńskiej garstki na śmierć, utrzymując w karbach u ludzi naturalną w takich wypadkach chęć poddania się. A jeżeli przed tym mnie jaka kula trafi? Czy zamiast hekatomby nie skończymy śmiesznością właśnie poddania się?

Byłem zły i zdenerwowany. Rozkapryszona kasztanka, odczuwając moje «nerwy», coraz częściej wyrzucała do góry łbem, wyciągając mi niecierpliwie ze zmarzłych rąk cugle. A ja, opanowany wątpliwościami — tym koniecznym dopełnieniem każdej inteligentnie przemyślanej decyzji — byłem gotów już dać rozkaz minięcia Lgoty Wolbromskiej i maszerowania dalej do wyznaczonego noclegu w Krzywopłotach. Zacisnąłem zęby, budził się we mnie mój litewski upór

i wstyd — wstyd przed sobą, wstyd przed wojskiem, które w przeciągu paru godzin bez żadnej widocznej przyczyny otrzyma zmianę raz danego rozkazu.

Wczesny listopadowy wieczór przy zachmurzonym niebie zapadał szybko, gdyśmy wmaszerowali do Lgoty — wsi, rozłożonej w poprzek naszej drogi do Krzywopłotów. U wejścia czekał kwatermistrz sztabu z raportem, że mieszkanie gotowe i herbata przygotowana. Rozkazu nie zmieniłem i wojsko ze śmiechem i krzykami rozbiegło się po kwaterach, spiesząc do ciepłej chaty, do snu i posiłku.

Z moich wątpliwości, które mnie tak licznie opanowywały, została jedna, którą postanowiłem natychmiast sobie wyjaśnić. Nie wiedziałem, czy armia austriacka ma się nazajutrz cofać dalej, czy będzie stała na miejscu — w razie zaś, gdyby się cofała, o której to nastąpi godzinie. Tymczasem w Lgocie stanęliśmy właściwie pod armatami wojska, które było przekonane, że przed jego frontem mogą się znajdować jedynie oddziały nieprzyjacielskie. Bałem się więc, że przy pierwszym poruszeniu możemy być ostrzelani przez artylerię austriacką. Wezwałem kilku oficerów, dobrze mówiących po niemiecku, i rozesłałem ich w paru kierunkach, z rozkazem uprzedzenia forpoczt austriackich, żeśmy z powodu zmęczenia zostali przed frontem, by rano, gdy nas dostrzegą, nie wzięli nas za Rosjan.

Zapadała noc, sztab przygotowywał się do snu. Nagle wpadł jeden z posłanych oficerów — Brzoza — z wiadomością, że jego wywiad na forpocztach skończył się zaprowadzeniem go do komenderującego brygadą, ten zaś zatelefonował do dywizjonera i z komendy dywizji przyszedł wyraźny rozkaz natychmiastowego wymarszu do Krzywopłotów ze stanowczym zakazem pozostawania przed frontem armii. Brzoza próbował telefonicznie porozumieć się z dywizjonerem i wytłumaczyć mu brak niebezpieczeństwa, lecz bezskutecznie — rozkaz został ponowiony z całą stanowczością.

Byłem więc postawiony przed nową decyzją i na szalę wątpliwości padał ciężar nowy — ciężar wyraźnego nieposłuszeństwa wojskowego. Wahanie tym razem było krótkie. Dałem rozkaz natychmiastowego wymarszu do Krzywopłotów. Pocieszałem siebie tym, że właśnie wejdziemy w kompleks lasów, które stamtąd idą już pod Olkusz, że więc łatwiej będzie przy następnym marszu zagubić się w drodze. Było mi jednak bardzo ciężko. Gdym siadał na konia, czułem się tak, jakgdybym ze swobody szedł do więzienia.

Dla całego wojska marsz ten z Lgoty do Krzywopłotów był bardzo uciążliwy. Większość żołnierzy ledwo zdążyła ogrzać się i zasnąć, a już trzeba było wstawać, na zmęczone nogi wciągać obuwie, wychodzić ze snu na chłodne powietrze. Konie trzeba było zaprzęgać pociemku i wlec się, gdyż maszerowaliśmy strasznie wolno, po ciężkiej piaszczystej drodze, która zdawała się nie mieć końca. O! Pamiętnym mi będzie ten marsz nocny 8 listopada! Wściekły na siebie, drżący od chłodu, siedziałem na koniu, przeklinając i swoje decyzje, i wysyłanie Brzozy i wyrzucając sobie brak stanowczości i logiki.

— Już jeśliś zdecydował swój marsz do Galicji, po licha było leźć pod armaty do Lgoty, trzeba było zostać w Wolbromiu, nie miałbyś kłopotu! — oto, jak sformułowałem swój zarzut. Zaczynałem sobie wykładać ulubioną swą teorię o ogonkach i szczątkach poprzednich decyzji, od których tak trudno się oswobodzić. Przecież marsz do Lgoty był niczym innym, jak dalszym ciągiem poprzedniego marszu na Krzywopłoty, gdy nowa decyzja w Wolbromiu wymagała innego kierunku.

— Tak, tak — powtarzałem sobie ze złością — I Bogu świeczka i czortu koczerga [1]), jak mówią Rosjanie. To nie jest żadna decyzja, z tym nie do Krakowa i Podhala, a wprost do Zlatej Prahy trafisz.

Wściekłość moja powiększyła się jeszcze bardziej, gdy po przejściu jakiejś grobelki z ciaśniutkim mostem przy młynie, miejsca, które okazało się nie do przezwyciężenia dla części mego taboru, spotkałem oficerów, wysłanych naprzód jako kwatermistrzów. Kwater w ogóle nie było wcale. Krzywopłoty, składające się z kilku chałup, naturalnie, były przepełnione. Proponowano, co prawda, przez grzeczność oddać dla mnie jakąś chałupę, lecz odrzuciłem propozycję. Jak biwakować, to biwakować wszystkim. O cieple, wygodniejszym śnie dla zmęczonych chłopców ani mowy być nie mogło. Jakieś ukrycie od wiatru dać mógł tylko lasek, a raczej zarośla sosnowe.

Wkrótce przyniesiono trochę słomy, zamigotały w zaroślach ogniska, zmęczeni ludzie walili się, jak snopy, dokoła ognia, niekiedy na wilgotną, zimną, jesienną ziemię. Mnie zaprosił do siebie gościnny i gospodarny Śmigły, który rozłożył obozowisko komendy batalionu koło większego drzewa. Otuliłem się w burkę i ćmiąc niezliczoną ilość papierosów, patrzyłem tępo w ogniska, rozpalone przede mną. Biwak zresztą nie

[1]) I Bogu świeczka i diabłu ogarek.

był pozbawiony uroku. Księżyc wysoko na pochmurnym niebie rzucał na wszystko dyskretne, szaro-srebrne tony, w oddali migały po przez gałęzie kontury jakichś ruin zamczyska na stromym pagórku. Dolatywał poważny szum boru, wesoło błyskały w zaroślach liczne ognie, nadając swym zmiennym oświetleniem wszystkiemu jakieś fantastyczne formy. Gdzieś w głębi duszy wypływały — jak zwykle u mnie, gdy jestem wśród sosnowych lasów — wspomnienia młodości o Litwie, o Syberii i nocach myśliwskich, spędzonych tak samo w półśnie, przy rozpalonym ogniu. Lecz dusiłem w sobie stan rozmarzenia, wywoływanego bliskim obcowaniem z przyrodą. Do głowy pełzły wciąż te same, niewesołe wolbromskie myśli.

— Oto są skutki tych pół-decyzji! — myślałem. Gdzież jest odpoczynek dla ludzi i koni? Wyciągnąłeś ich z ciepłych chat, ze snu; tutaj ta połowa, która jeszcze nie jest zaziębiona, gotowa będzie na jutro. Konie na chłodzie całą noc będą stały, czy zdążą jeszcze w nocy nakarmić je przemęczeni ludzie? A ze świtem trzeba będzie się zerwać, by iść pewno już na obczyznę. Kto wie, czy będzie okazja do skręcenia na południe, a i tam przecież będzie maszerować wojsko, i tam po drogach wlec się będą te przeklęte, kłótliwe «treny».

Obok mnie, w spokojnym, młodym śnie pogrążeni, leżeli Sosnkowski i Śmigły. Ja spać nie mogłem, pomimo, iż całą siłą woli odpędzałem od siebie dokuczliwe myśli. Patrzyłem wciąż na zegarek i podrzucałem drzewo do ognia. Ostatni raz, pamiętam, sprawdziłem czas o wpół do szóstej. Później musiałem zasnąć. Obudził mnie Stachiewicz, zwykły w tym czasie łącznik z komendą dywizji. Było około wpół do siódmej rano; wstawał szary, jesienny poranek 9 listopada.

Okazało się, że jestem specjalnie wezwany do dywizjonera, który ma dla mnie szczególne poruczenie. Mam gdzieś maszerować z trzema batalionami i kawalerią, dwa bataliony i artyleria zostają i dowódca pozostającego oddziału ma się meldować na przeciwległym wzgórzu, gdzie mają się zebrać wszyscy dowódcy. Skoczyłem na równe nogi.

Opodal pod lasem stał dywizjoner. Spokojnie tłumaczył mi, że wskutek tak starannego oderwania się od nieprzyjaciela nie mamy o nim żadnych wiadomości. Jest się zupełnie pociemku. Ja znam kraj i ludność lepiej, niż kto inny, dowiem się czegoś pewnego. Oprócz tego nauczył się cenić i mnie osobiście, i wojsko, którym dowodzę. Dlatego żąda od nas, pomimo zmęczenia, abyśmy uczynili wywiad przed frontem — od Żarnowca do Miechowa. Jest to niebezpieczna ekspedycja,

ale liczy na to, że potrafię z niej się wywiązać. Mam wziąć z sobą trzy bataliony i kawalerię. Reszta zostanie i dowódca oddziałów, które pozostają, ma się za chwilę meldować u niego.

Zimne i chłodne postanowienie wróciło mi do głowy. — Nie wrócę! Przykro mi było powziąć to postanowienie właśnie przed tym przyzwoitym człowiekiem i porządnym, odważnym generałem, jednak czułem, że postanowienia nie zmienię.

— Czy dywizja stoi przez ten dzień na miejscu? — spytałem. Cień niezadowolenia przemknął się po dobrodusznej twarzy generała. Szkoła austriacka nie lubi niepotrzebnych pytań i rozmiłowana jest w niezrozumiałej dla mnie tajemniczości.

— Dotąd nie mam rozkazu odmaszerowania... — odpowiedział mi chłodno.

Skoczyłem do swoich. Musiało być coś w wyrazie mojej twarzy, gdyż podczas wydawania rozkazów oficerom niejeden z tych, których skazywałem na pozostanie, błagająco zwracał się do mnie z prośbą, bym zabrał ich z sobą. A wybór istotnie był ciężki. Nie miałem złudzeń. Wiedziałem, że jeśli my, którzy odchodzimy, idziemy na wycieczkę nadzwyczaj ryzykowną, lecz dającą duże moralne zadowolenie, ci, co zostaną, będą narażeni na mnóstwo przykrych moralnych przejść, bez możności znalezienia oparcia we mnie.

Zdecydowałem od razu, że biorę ze sobą bataliony I i III, jako mające najwięcej kadrowego materiału strzeleckiego, zostawię zaś na pewno IV, który, po detaszowaniu go pod Warszawę, wrócił z trochę pękniętą «morale». Krótko wahałem się co do wyboru pomiędzy V i VI. Większą sympatię miałem do Fleszara, który dowodził VI batalionem, chciałem go mieć z sobą, lecz batalion był świeżo sformowany i miał dużo zupełnie surowego, niewtrenowanego do długich marszów materiału ludzkiego. Okoliczność ta przeważała szalę na korzyść V batalionu. Więc idą nieparzyste I, III, V, zostają IV i VI (II — nie wrócił był jeszcze spod Warszawy).

Dowódcą oddziałów pozostających będzie Trojanowski, przy nim Stachiewicz ze sztabu, jako mający duże doświadczenie w stosunkach z austriackimi władzami. Tym dwu muszę dać specjalne instrukcje na czas, gdy zostaną sami. Instrukcje będą brzmiały:

— Prawdopodobnie nie wrócę, maszeruję do Krakowa lub w ogóle do Galicji; nikt o tym nie ma wiedzieć, lecz jeśli

wieczorem nie wrócę, oddziaływać na ludzi, by się nie poddawali rozpaczy. Gdy już będę w Galicji, rozpocznę starania o wyciągnięcie ich także. Sami jednak mają też się o to starać, gdy już będą wiedzieli, gdzie jestem. W ostateczności marudować oddział, wysyłać, co tylko słabsze, do szpitali.

Krótka narada z Sosnkowskim: — Przedstawiam sobie sytuację w ten sposób, że pomiędzy armiami nieprzyjacielskimi jest jeszcze korytarz dość szeroki, aby mały nasz oddział mógł nim maszerować na południe. Co najwyżej kręcić się po nim będzie jazda z awangardy rosyjskiej. Prawdopodobnie front południowy armii austriackiej opiera się skrzydłem na Kraków, więc ten korytarz idzie w kierunku południowowschodnim. Do Krakowa mamy półtora dnia marszu. Niestety, pójdziemy krajem niezalesionym i bardzo otwartym. Trzeba więc być bardzo ostrożnym i wysyłać dalekie boczne osłony. Zresztą nie bierzemy wozów, więc marsz można przyspieszać i łatwo skierować w różne strony, kolumna przecie nasza w marszu nie będzie dłuższa nad kilometr. Bieda będzie z zapasem amunicji. Idąc bez wozów, będziemy mieli tylko to, co żołnierz ma przy sobie. Bieda też z szalonym zmęczeniem. Ale na to jest ryzyko!

Najgorszym jest to, że muszę zmarnować ten cały dzień. Nie mogę odmaszerować od razu w pożądanym kierunku. Wstydby było, gdybyśmy do ostatka nie wypełnili żołnierskiego obowiązku i nie rozwiązali poruczonego nam zadania — wywiadu. Tę służbę trzeba odrobić, chociaż przez to strasznie się powiększa ryzyko dalszego marszu. Przez ten dzień pracy dla korpusu korytarz może się zwęzić niesłychanie, ba, może zniknie zupełnie. Ale na to rady nie ma, tak nakazuje honor. Nie mogę się cofnąć dlatego, że ryzyko się zwiększa. Przede wszystkim zaś tajemnica, nikt nie ma wiedzieć o zamiarze. Kto wie, może będę musiał go porzucić, po co ludzi narażać na zawód.

I gdy Sosnkowski wydawał rozkazy, odpowiadające sytuacji, ja żegnałem się z pozostającymi. Dr Rouppert i Dzieduszycki proszą raz jeszcze, bym pozwolił iść z sobą, przedstawiają «posłusznie» mnóstwo racyj po temu. Odmawiam, a w oczach ich błyszczą nieledwie łzy niemego wyrzutu. Oglądam z pewnym rozrzewnieniem garstkę zostających z myślą o tym, że kto wie, która część wyciągnęła lepszy los na loterii wojennej.

Już! Kasztanka wyciąga ku mnie swój łysy łeb, szukając w moich rękach chleba. Na drogę przed zaroślami wyciąga się

kolumna piechoty, która ma ze mną maszerować. Oglądam ludzi — twarze niewyspane, kaszel głuchy często rozlega się w szeregach, lecz oczy wesołe. Już wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska, że idziemy przed front, uśmiecha się im awantura. Na czele kolumny Śmigły, który wydaje jeszcze jakieś ostatnie polecenia. Jazda! Ruszamy!

Idziemy na razie w kierunku, że tak powiem, nieprodukcyjnym dla powziętej decyzji, — w kierunku północno-wschodnim, w stronę Żarnowca. Tak iść muszę, o ile chcę dzisiaj wypełnić poruczone mi zadanie. Droga prowadzi borem. Naprzód wysuwa się mała awangarda. Zatrzymuję się, by raz jeszcze obejrzeć kolumnę straceńców. Jestem nadzwyczajnie zadowolony. Minęliśmy forpoczty austriackie: jestem wolny, jak ptak w niebiesiech, jak ongiś w cudownym marszu na Kielce. Wolny i panuję nad szmatem rodzimej ziemi. Jak daleko sięga kula z karabinów moich żołnierzy — to wolna, niezależna Polska! Rozpiera mnie rycerska duma, gdy cudowne, wychowane przeze mnie żołnierzyki przechodzą twardym krokiem przede mną. Nie ściga mnie przeklęta zmora — zmora myśli o hekatombie z nas, rycerzy, na rzecz budzenia ducha w nierycerskim, niewolniczym narodzie. Gasi wszystko poczucie rozkoszne swobody i niezależności.

To samo uczucie spostrzegam u żołnierzy: idą wesoło, pomimo zmęczenia. Jesteśmy sami, bez obcej opieki. Ba! lecz co widzę? Za batalionami idą dymiące się kuchnie, ciężko dudniąc po korzeniach na drodze. Wygodnisie! Pomimo zakazu, żeby nie brać wozów, wzięto kuchnie. Najwygodniejsi — III i V batalion — ciągną za sobą nawet po dwie sztuki. Wołam do siebie komendantów batalionów i, choć mnie samego śmieszy ta sprawa, robię groźną minę. Tłumaczą się biedacy gęsto: nie zdążono przed wymarszem zjeść śniadania, można będzie je, jak trzeba, z najbliższego miejsca odesłać, zresztą — tak trudno bez kuchni! Machnąłem ręką — niech idą!

Koniec lasu; na horyzoncie szereg pagórków, pod nimi szeroka droga, schodząca do wsi Strzegowa. Na skraju jej widać już kręcących się naszych beliniaków. To jest cel na razie mego marszu. Stąd pójdą we wszystkie strony macki-patrole. Gdy się okaże potrzeba, podsunę się jeszcze dalej w stronę Żarnowca. Wydaję rozkazy:

— Kwatera moja na plebanii. We wsi zostają dwa bataliony: III i V. III ubezpiecza na północ, V na południe. I maszeruje dalej na wzgórze, ubezpiecza na wschód i daje pomoc, jeżeli się okaże potrzeba, kawalerii. Ta wysyła dwa większe patrole pod Żarnowiec: jeden podejdzie od wschodu, drugi od

południa. Meldunki do I batalionu, stamtąd do mnie. Dwa inne patrole pójdą z Beliną przez Wolbrom — jeden pod Miechów, drugi pod osobistym dowództwem Beliny ze specjalną instrukcją.

Belinie zaś na stronie daję instrukcję, by sprawdził moją teorię o korytarzu, idącym na południo-wschód. Idzie o to, by zrobił wywiad na front austriacki możliwie daleko na południe od nas. Czekać ma na mnie z meldunkami w Wolbromiu, gdzie mam nadzieję być wieczorem. Belina otworzył na mnie szeroko oczy. W krótkości wytłumaczyłem mu, o co idzie. Oczy mu się zaiskrzyły i jego zacięta, kozacka twarz nabrała charakteru nieprzezwyciężonego uporu. Paliła mnie jednak niecierpliwość, dodałem więc, że jeżeli nadąży przed wieczorem, ma mi wysłać meldunek tutaj, do Strzegowej.

Na plebanii było przyjemnie i wesoło. Inteligentny, wesoły, młody proboszcz robił honory domu, goście byli niewybredni i pełni humoru. Co do mnie, postanowiłem był nie myśleć nic o dalszych planach — bałem się tego piekła wątpliwości, które powstaną natychmiast, gdy zacznę analizować położenie. Pomimo jednak tego postanowienia czułem, że gdzieś w duszy odbywa się prawie podświadome pasowanie się z sobą, jakaś praca, szukająca ujścia. Nie dziwota. Decyzja była na wskróś polityczna i tylko z tego punktu widzenia uzasadniona, wojennie była nonsensem i szaleństwem, tym bardziej, gdy została powzięta z tak małymi danymi o nieprzyjacielu. Wiedziałem zaś, że szaleństwo powiększyłem co najmniej parokrotnie przez pozostawanie tutaj, w Strzegowej, przez ten wesoły dzień 9-go listopada. Gryzły mnie znowu wyrzuty sumienia za «półdecyzję» i bałem się, by ona, jak wczoraj przy Lgocie Wolbromskiej, nie zemściła się na wojsku. Decydującą rzeczą dla dalszego marszu była szerokość korytarza pomiędzy armiami. To też i podczas rozmów, i wtedy, gdym słuchał księdza, który mi odczytywał notatki, robione podczas wojny, — coś w rodzaju kroniki parafialnej — robiłem w myśli wciąż obrachowania.

Patrole musiały już zrobić minimum 4—5 kilometrów na wschód, nie słychać dotąd strzałów, nie ma i meldunków, więc dzisiaj korytarz zupełnie wolny ma co najmniej 15 kilometrów. Dzisiaj więc mógłbym przejść nim minimum 30 kilometrów — przypominał mi się wyrzut sumienia — byłbym prawie pod armatami Krakowa. Jutro, gdy w ten korytarz wejdzie kawaleria, tak duży marsz będzie niepodobieństwem. Potyczki, zatrzymania, obejścia zajmą dużo czasu. Będę coraz bardziej odciskany na zachód do frontu austriackiego i czy nie

skończy się wszystko tym, że zamiast, powiedzmy, spokojnego powrotu odcinkiem swojej 46-ej dywizji, nie będę wciśnięty przed dojściem do Galicji do frontu innej dywizji. Znowu skutki pół-decyzji. Usprawiedliwiam samego siebie, że przecież nie mogłem nie wypełnić poruczonego zadania, opanowywał mnie strach, że w ten właśnie sposób postawiłem na kartę być może setki żyć z takim trudem sformowanych żołnierzy młodej Polski, drżącej do życia i nie chcącej gnić w upokorzeniu i niewoli. Ha! wreszcie raport! Od Kuby-Bojarskiego, komendanta I batalionu: «Na wschodzie słychać trochę dalekich strzałów, wysunąłem trochę naprzód ku Żarnowcowi jedną kompanię, poza tym wszystko spokojnie».

Więc nieprzyjaciel jest! Korytarz nie jest szeroki! I moje pesymistyczne przypuszczenia co do jutra mogą micć rację. A już skądś z dna duszy wyłaniał się był promyk nadziei, że korytarz jest szeroki, że patrole dojdą do Żarnowca bez strzału. Cichy jesienny dzień, wesoła gościna tak niewojennie usposabiały, że się nie chciało wierzyć w istnienie nieprzyjaciela. No, trudno!

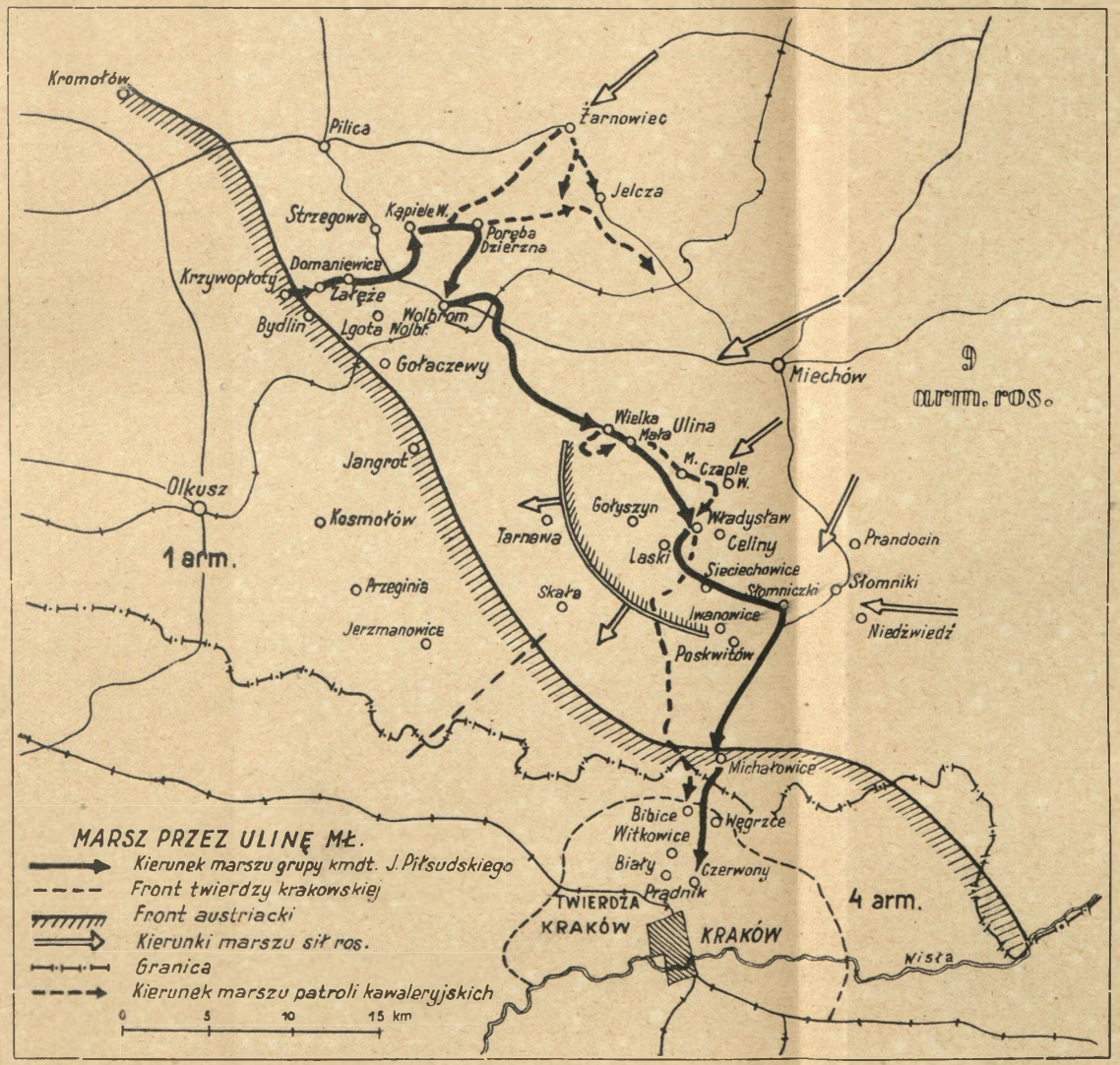
Daję avizo III i V batalionom, że o pół do trzeciej nastąpi wymarsz. Jemy obiad i idziemy na połączenie z I batalionem. Deszcz trochę kropi, a my drapiemy się po błonistej drodze na pagórek, gdzie u jakiegoś folwarku rozłożył się I batalion. Chcę pokazać nieprzyjacielowi większe grupy piechoty przed wieczorem, by go uczynić ostrożniejszym w jutrzejszym pochodzie.

U Bojarskiego zastaję meldunki z obu patroli z pod Żarnowca. Oba jeszcze przed Żarnowcem spotkały nieprzyjacielskie patrole i miały z nimi potyczki. Południowy patrol przysyła papiery i część munduru podoficera kozackiego, zabitego w potyczce. Więc Żarnowiec jest zajęty przez silniejszy oddział jazdy, a z opowiadań ludności wynikałoby, że ma tam przyjść na wieczór piechota. Ale cały skarb to papiery podoficera 1-go sybirskiego pułku kozaków.

Jakiś inteligentniejszy chłopak. Obszernie, choć nieortograficznie spisywał w notatniku dzień za dniem kronikę wypadków. Łatwo z tego skonstatowałem, że mam przed sobą jeden z sybirskich korpusów — numeru w tej chwili nie pamiętam — bo cała marszruta od Wisły była w tej kroniczce spisana. Biedny, nie zobaczy już swej śnieżnej ojczyzny!

Mam więc teraz doskonały materiał dla swego raportu do dywizji. Sprawa w tej części terenu zupełnie wyjaśniona:

— Taki a taki korpus sybirski w marszu w kierunku południowo-zachodnim awangardą swoją dotarł wieczorem 9-go listopada do Żarnowca. Patrole z 1-go sybirskiego pułku koza-


Kromołów
Pilica
Żarnowiec
Jelcza
Strzegowa
Kąpiele W.
Poręba Dzierżna
Krzywopłoty
Domaniewice
Łaręże
Bydlin
Lgota Nolbr.
Wolbrom
Gołaczewy
Miechów
9 arm. ros.
Wielka
Mała
Ulina
M. Czaple W.
Jangrot
Olkusz
Kosmołów
Gołyszyn
Tarnawa
Władysław
Celiny
Laski
Sieciechowice
Słomniczki
Prandocin
Słomniki
Niedźwiedź
1 arm.
Przeginia
Skała
Jerzmanowice
Iwanowice
Paskwitów
Michałowice
Bibice
Węgrzce
Witkowice
Biały
Czerwony
Prądnik
TWIERDZA KRAKÓW
KRAKÓW
4 arm.
Wisła
MARSZ PRZEZ ULINĘ MŁ.
Kierunek marszu grupy kmdt. J. Piłsudskiego
Front twierdzy krakowskiej
Front austriacki
Kierunki marszu sił ros.
Granica
Kierunek marszu patroli kawaleryjskich
0 5 10 15 km

ków minęły Żarnowiec, zostały przez nasze patrole ułańskie po kilku udanych potyczkach odparte z powrotem. W Żarnowcu, według opowiadań mieszkańców, na wieczór spodziewana jest piechota. Papiery zabitego podoficera kozackiego załączam.

Tak mniej więcej brzmiał mój raport. Dodałem do niego, że zadania swojego nie uważam za skończone i dla wyjaśnienia sytuacji pod Miechowem, maszeruję na południe od wielkiego gościńca Miechów—Wolbrom.

Przez chwilę brała mnie szalona chętka uderzenia w nocy na Żarnowiec. Ten brawurowy projekt męczył mnie co najmniej pół godziny. Było to, że tak powiem, w logice robionego przeze mnie w tej chwili zadania — wywiadu, — jego najlepszym dopełnieniem. Lecz słyszałem «wołające mnie duchy w inną stronę», przyznaję jednak, że musiałem z sobą trochę walczyć, by od tego projektu odstąpić.

Wreszcie zapada zmierzch. Patrole wróciły, napełniając nasze obozowisko opowiadaniem o wrażeniach z potyczek. Odmarsz. Kolumna się formuje, biorę przewodników i marsz do Wolbromia! Droga jest nużąca — błotnista, pełna jakichś jam i wybojów, tym przykrzejszych, że jest ciemno. Kolumna wyciąga się straszliwie, raz po raz trzeba się zatrzymywać, żeby ją ściągnąć. Maszeruję, że tak powiem, w obszarze wpływu nieprzyjacielskiego, muszę więc trzymać w nocy cały oddział ściągnięty w garści. Wraz z nadejściem ciemności bierze górę znużenie. Słyszę za sobą apatyczne chlapanie błota, ciche przekleństwa, nie czuję w kolumnie życia, tylko rezygnacyjne zmęczenie. A przed nami jeszcze spory kawał drogi, jeśli mamy w marszu przez korytarz odpowiednio wykorzystać osłonę nocy.

Nareszcie zaczęły majaczyć w ciemności pierwsze chaty Wolbromia z mnóstwem zaplątanych płotów. Wchodzimy do miasteczka, przechodzimy przez nie i zatrzymuję kolumnę u wschodniego wyjścia. Ogłaszam, że daję godzinę wypoczynku. Jestem znowu prawie w tym samym miejscu, gdzie dnia poprzedniego powziąłem szaloną decyzję. Spotykam ułanów, patrol z Miechowa. Dowódca składa mi raport: nie spotkał nigdzie nieprzyjaciela, był o kilka wiorst od Miechowa, od ludności wie, że Miechów jest zajęty przez silny oddział ze wszystkich gatunków broni. Naprawiają mosty. W okolicy jakoby kręcą się kozacy, lecz ich nie widział. Beliny dotąd nie ma, jeszcze nie wrócił.

Więc i tu mój wymarzony korytarz istnieje. Trochę mi nie pasuje fakt, że w Miechowie już jest artyleria, więc osłona musi być gdzieś blisko od nas, ale pocieszam się, że mogą to być

armaty przy konnicy. Zresztą główną drogę, gościniec Miechów—Wolbrom, porzucę jeszcze w nocy. Siedząc w ciepłej chałupie, wybieram na mapie drogę i miejsce przyszłego odpoczynku. Jeszcze raz przeklinam brak lasów po drodze, mierzę przestrzeń i decyduję się na Buk dla krótszego odpoczynku, na Czaple Małe dla dłuższego postoju z obiadem. Tam zaczekam do wieczora i nocnym marszem wyjdę pod Kraków, może trochę na zachód od Krakowa. A teraz herbata i czekać na Belinę, ten przyniesie mi dane o linii austriackiej. O ile ta jeszcze istnieje — dodaję w myśli — gdyż może już armia w ciągu dnia była w ruchu na zachód i teraz rzeczywiście już jestem zupełnie samotny, znacznie bliżej do nieprzyjaciela, niż do pierwszej ochronnej linii armii austriackiej.

Zresztą teraz, gdy już rozpoczęło się wykonywanie planu, odeszły mnie wszelkie wątpliwości. Myśl pracuje tylko nad możliwie dobrym wykonaniem zamiaru, nad możliwie największym uniknięciem strat. Wychodzę przed dom — zaczyna świecić księżyc. Po jednej i drugiej stronie ulicy przy ścianach szeregi ciał: żołnierze ze zmęczenia padali wprost w błoto i zasypiali natychmiast. Oficerowie, jak żórawie na straży, chodzą koło żołnierzy, gotowi w każdej chwili budzić śpiących. Upewniam się, czy spełniono mój rozkaz, aby na miasteczko wysyłano po sprawunki ludzi tylko pod komendą oficerów. Tak jest, jestem spokojny, nie rozpełznie się moja gromada. Aha! wracają z tych poszukiwań! Rozlegają się śmiechy, z daleka czuję miły zapach świeżo upieczonego chleba.

Istotnie wszystkie patrole aprowizacyjne wracają ze śmiechem, obładowane chlebem, papierosami, nawet bułkami.

— Obywatelu Komendancie! — raportuje mi jeden, ledwie wstrzymując się od śmiechu. — Dla Moskali było przygotowane — a my zjemy. Byli tu kozacy, uprzedzali, że przyjdą, kazali napiec chleba. Jeszcze dużo zostało, nic mogliśmy wszystkiego zabrać.

Komendanci batalionów proszą, bym pozwolił zabrać wszystko — rozdadzą ludziom, wezmą resztę na kuchnie. O chleb jest trudno dosyć, a ten «moskiewski» tak doskonale pachnie. Pozwalam, bo zresztą Beliny wciąż nie ma. Wszystko jedno, trzeba czekać!

Oryginalnym jest wygląd takiego «neutralno-korytarzowego» miasteczka. Jedni panowie już wyszli, drudzy jeszcze nie nadeszli. I biedni «neutraliści» rachują swe grzechy przed nowym panem, grzechy, które były zasługami przed tym, co już odszedł. Psychicznie już wszyscy są wciągnięci w orbitę panowania tego, który nadejdzie. A gdy tymi, którzy mają nadejść,

są tacy łupieżcy, jak kozacy — tych zaś oczekują przede wszyskim — szykują biedacy zawczasu środki do ułaskawienia hordy. Więc chleb, więc papierosy, ba, cukierki! Nic dziwnego, że tacy naruszyciele «neutralności», jak my w tym wypadku, jesteśmy całkiem niewygodni. Więc miasteczko przyjmuje nas zamkniętymi drzwiami, na głucho nieledwie zabitymi okiennicami, niechęcią zrozumienia naszych żądań i życzeń. Trzeba być brutalnym, by zmusić do ustępstw. To też i w tym wypadku chleb był nieledwie zdobyty szturmem, groźbą, bagnetem, czy kolbą. Dla mnie jednak miało to odgradzanie się «neutralnych» dobre strony. Nikt nas nie obserwował, nikt nie liczył. Mogło nas być dziesięć, dwadzieścia tysięcy równie dobrze, jak trzystu, czy dwustu, nikt o tym nic dokładnego powiedziećby nie mógł.

Godzina, wyznaczona dla odpoczynku, minęła, a Beliny wciąż nie ma. Niecierpliwię się, lecz czekam. Nie chcę go pozostawić w niepewności, co ma robić, gdy tu do Wolbromia nadejdzie. A czas upływa, czas tak drogi dla mnie w tej operacji. Decyduję się czekać tylko do wpół do jedenastej — jeszcze pół godziny. Zresztą zostawię mu patrol ułański.

Wreszcie i ten czas minął. Daję rozkaz formowania kolumny. Radzą mi wziąć przewodnika. Nie chcę — jutro rano muszą tu już być kozacy, nie chcę pozostawiać za sobą śladów, zresztą księżyc już jest na niebie, a pierwsza część drogi taka wyraźna — duży szeroki gościniec do Miechowa.

Wreszcie wszystko gotowe — wymaszerowujemy. Wysuwam się ze sztabem na szpicę, nikt bowiem poza nami kilku w sztabie nie wie właściwie, dokąd i po co idziemy. Gdy wyjeżdżam na czoło kolumny i mijam kolumnę, słyszę zdziwione szepty: «Do Miechowa!» Czuję, że w ludziach sen mija tak, jak i u mnie, wiedzą, że się rozpoczyna jakaś niesłychana awantura — oddalamy się coraz bardziej od austriackiej armii, maszerujemy w kierunku Moskali.

Czy jest większa rozkosz dla żołnierza, jak marsz w kierunku nieprzyjaciela? Wszystko jest niewiadomym i pełnym tajemnic, wszystko pełnym groźby i niespodzianek. Szarzejąca grupa drzew, łagodny pagórek, romantyczna zagroda — wszystko stanowi przedmiot zagadek i łamigłówek. Co prawda, marsz nasz był wyjątkowym. Oderwany oddziałek, mucha wobec ogromu słonia, ku któremu posuwaliśmy się raźnym krokiem, mucha bez żadnego oparcia i pomocy znikąd. Lecz tym silniejsze i ostrzejsze były wrażenia. Będąc dowódcą większego oddziału, nie pracowałem z natury rzeczy nigdy na czele oddziału, jako pierwsza macka, badająca przestrzeń. Więc teraz,

gdy szedłem prawie w szpicy, miałem rozkosz podwójną. Ciężkim ołowiem leżące na duszy poczucie odpowiedzialności za całe przedsięwzięcie, za parę tysięcy żyć, rzuconych przez mój marsz na kartę, znikło, ustąpiło przed rozkoszą rozstrzygania tych drobiazgów taktycznych, które nasuwał ustawicznie nasz marsz ku Miechowowi.

Cudowne! Głowa zimna z poczucia, że się ma siebie zupełnie w cuglach. A zarazem podłoże psychiczne rozgorączkowane, zmuszające serce bić żywiej, pędzić do mózgu fale krwi gorącej, trzymane jednak tak cudownie silnie na wodzy przez zimne postanowienie, przez chłodną kontrolę i analizę. Myśli się szybko, wyraziście, z jakąś zimną stanowczością. Zapomina się o wszystkim na świecie, oprócz celu, który się ma, i krytyki środków, które się nasuwają dla osiągnięcia jego.

Idziemy szeroką drogą, wyjeżdżoną wczoraj przez cofające się wozy i artylerię. Żeby cofać się prędzej, wytarto na otaczających polach nowe drogi, które to się zlewają w jedną, to znowu rozchodzą się dla objazdu jakiejś przypadkowej przeszkody, która się podczas marszu nadarzyła. Na prawo od nas z dala bucha ogromem światła jakaś fabryka. Wśród ogólnej ciszy i ciemności te snopy światła, świadczące o życiu ludzkim, świecą mi jakoś bezczelnie i złowrogo. Mam dosyć powodów do unikania teraz światła i wzroku ludzkiego, więc bezwiednie, instynktownie przy każdym spotkanym objeździe biorę się na lewo, dalej od fabryki. Za sobą słyszę równomierny tupot piechoty. Cicho w szeregach, odczuwam jednak nie martwą ciszę zmęczenia, lecz napiętą, rozbudzoną ciszę ciekawości i gotowania się do walki.

Wkrótce przeciąć musimy tor kolejowy, potem zaraz wchodzimy w las, a potem... potem owa zagroda, przy której skręcamy na południe, w kierunku Krakowa. Jeśli prawdą jest, że Miechów jest zajęty przez silniejszy oddział, to tam może stać już jakaś placówka. Tam więc otrzymam pierwsze dane dla sądu, jak jest z moim korytarzem. Maszerujemy już sporo czasu — sprawdzam — już więcej, niż pół godziny — prawie trzy kwadranse, a dotąd toru kolejowego nie ma. Idziemy dalej, zaczynam się niepokoić. Co u licha ciężkiego!

— Szefie! Czy nie spostrzegacie, że idziemy jakąś błędną drogą? — mówię do Sosnkowskiego. — Dawno powinnibyśmy byli przejść przez tor kolejowy!

— Już od dłuższego czasu o tym myślę, — odpowiada Sosnkowski — ale może to jakiś większy tylko objazd.

Niepokój wzrasta. Przy pierwszym kroku niepowodzenie.

— Czegoś był zanadto ostrożny, — robię sobie wyrzut — trzeba było wziąć przewodnika!

Oglądam się dokoła. Wszędzie trochę pofalowana równina, ani śladu jakiegoś domostwa, tylko w prawo za nami złowrogo błyszczą ślepia fabryki. Wreszcie majaczeje przed nami skraj lasu. Decyduję zatrzymać się w lesie i zorientować się w położeniu. W każdym razie wiem, że nasza istotna droga jest od nas na prawo i za torem kolejowym. Łatwo będzie ją odnaleźć. Zmarnujemy tylko znowu sporo czasu.

Podchodzimy do lasu i trochę dalej rozlega się szczekanie psa, więc jakieś osiedle. Zatrzymuję kolumnę i z kilku oficerami idziemy do chaty. Pies ujada wściekle, szturmujemy do drzwi i do okien. Po długich pertraktacjach wychodzi młody chłopak, ogląda nas ze zdumieniem i z pewnym wahaniem odpowiada na pytania.

Istotnie zbłądziliśmy. Poszliśmy drogą na stację Miechów, więc w kierunku północno-zachodnim. Na nasz gościniec wyjść można bez wozów nawet względnie blisko, ale z wozami trzeba wracać na przejazd kolejowy. Tak, niedaleko, jakaś wiorsta lub półtorej. Z chaty już powyłaziły jakieś baby. Zaczyna się tłumaczenie drogi, jak zwykle, bardzo zawiłe, kręcące się koło przedmiotów, doskonale im znanych, lecz dla nas będących jakimś X-em.

Ten błąd przy pierwszym kroku, to zawracanie znowu w stronę Wolbromia, robi jakąś atmosferę zniechęcenia i niepowodzenia. Może niesłusznie, lecz odczułem ją, jakby idącą od mego otoczenia. Zbieram do garści nerwy.

— Chłopcze, poprowadzisz nas do drogi na Miechów, zbieraj się, idziemy zaraz!

Baby w płacz, matka chłopca rzuca mi się do nóg, obiecuje prowadzić sama. Chłopiec targuje się z nią. Nie znoszę tych scen, tych niepotrzebnych męczarni ludności bezbronnej, nie wojującej. Jestem, zdaje się, za mało bezwzględny.

Śmigły przerywa dyskusję, woła paru żołnierzy i ci przystępują do chłopca. Baba zrozpaczona oświadcza, że i ona pójdzie razem, i jeszcze raz prosi, by nie potrzebowali prowadzić nas dalej, jak tylko do drogi. Dalej do Miechowa trafimy sami, droga tam szeroka i idzie wciąż lasem.

Ruszamy i wykręcamy na jakąś boczną drogę, przez jakiś przeklęty rów, gdzie kuchnie dudnią od przerażenia, a wszyscy woźnice i kucharze klną, co się zmieści. Idziemy z powrotem i przeklętą fabrykę mamy znowu przed oczami. Ha, nareszcie budka kolejowa! Koło kolei, jak wierne straże, biegną słupy telegraficzne z poodcinanymi drutami, które żałośnie ję-

czą pod stopami naszymi i kopytami koni. Jeszcze trochę i jesteśmy na naszej drodze. Patrzę na zegarek i obliczam. Straciliśmy, minimalnie licząc, dobrych dwie i pół godziny! Nie dopuszczam do siebie pesymizmu, klepię po szyi kasztankę, mrucząc:

— No, dzisiaj ty swych Czapel Małych nie zobaczysz!

Kasztanka stamtąd pochodzi i ciekaw byłem, jak się będzie zachowywała, gdy po tylu wędrówkach, niespodziewanych dla wiejskiej, rozpieszczonej klaczy, ujrzy rodzime pola i zagrody.

Maszerujemy lasem; pali mnie ciekawość, co spotkamy przy zagrodzie na skręcie naszym z wielkiej drogi na południe. Wreszcie majaczeją i zabudowania. Wstrzymuję kolumnę i chcę jechać. Lecz na cuglach spoczęła ręka Śmigłego.

— Komendancie! Nie wolno! Ja prowadzę awangardę, to mój obowiązek. Proszę zaczekać!

Kochany Śmigły! Kiwam głową na znak zgody i zostaję przy kolumnie. Z pamięci wyskakuje mi nagle Kraków i salka wykładowa w «Strzelcu». Pamiętam, gdym, zwariowany na punkcie studiów wojny japońskiej, wykładał swym uczniom sławny nocny atak 10-ej dywizji na «Sopkę o dwóch rogach», jeden z bohaterskich czynów japońskich, który wzbudzał mój zachwyt. I zawsze przy tym wykładzie, jako przykład rozumnej organizacji i wewnętrznej dyscypliny Japończyków, przedstawiałem wypadek z marszałkiem Nodzu, komendantem tej armii, do której należała atakująca 10-ta dywizja.

Marszałek Nodzu, zaniepokojony strzałami, wpadł do wsi, przez którą maszerowali Japończycy i szły kule rosyjskie: chciał być bliżej wypadków. I tam komendant dywizji po złożeniu raportu zażądał, by marszałek się usunął, bo «odkąd to dowódca armii ma być w linii ognia»? Nodzu usłuchał. Przedstawiałem ten wypadek zawsze, jako przykład zdrowego stosunku pomiędzy wodzem a podwładnymi, gdzie wódz musi i umie uszanować nie tylko granice obowiązków, ale i praw swych podkomendnych. Teraz mój uczeń, Śmigły, przywołał mnie do porządku.

Po chwili raport: «Droga wolna, pusto, nikogo nie ma». Gotów jestem skakać z radości. Korytarz jest i tutaj! Ba, w tym miejscu nawet jakby szerszy, niż w kierunku Żarnowca. Więc prawdopodobnie istotnie front austriacki idzie w kierunku południowo-wschodnim. Skręcamy w las i boczną drogą, dosyć stromo idącą, wdzieramy się powoli na pagórek. Trzeba dać odpoczynek, trzeba ściągnąć kolumnę.

Korzystam z okazji i przed wyjściem z lasu, raz jeszcze oglądam mapę oraz robię obliczenia.

Jest trzecia czterdzieści, za dwie godziny świt będzie dobry, trzeba będzie ludziom dać przyzwoitszy wypoczynek, bo gdyby nawet optymistycznie obliczać mój korytarz, jednak trzeba rachować na potyczki z kawalerią. Muszę mieć ludzi choć trochę wypoczętych. Z tak zmęczonymi ludźmi nie przejdę więcej w te dwie godziny, jak sześć kilometrów, może siedem. Mierzę na mapie: nie, do Czapel nie dociągnę. A jednak byłoby to tak dobrze! Jest dwór i to duży, można byłoby go zająć, tak, by wszystko było i pod dachem, i w kupie. I taki kawał drogi już mielibyśmy za sobą! Może się dowlec tam z odpoczynkami? Jeszcze jeden rzut oka na mapę! Przyciąga mój wzrok zielona plama w pobliżu — jedyny las w tej okolicy. Ulina Mała! Lubię lasy! Ukrycie dla słabego! Kto wie? Decyduję! Jako cel — Czaple, nie uda się — Ulina Mała.

Idziemy dalej. Błoto na drodze ciężkie. Konie i ludzie strasznie strudzeni, więc wleczemy się ospale. Oglądam okolicę przy zbliżającym się pochmurnym świcie. Jesteśmy wciąż na zboczu, łatwo dostrzegalni z traktu Miechów—Wolbrom, który się wije białą taśmą na dole. Kręta, wąska drożyna, którą maszerujemy, wchodzi do Buka; początki tej wsi są już widoczne. Dobrze byłoby dać się ludziom we wsi zatrzymać trochę; znajdzie się pewno tam mleko, a zresztą chociażby woda. Lecz już jest dzień, a każda boczna osłona oddziałów, maszerujących po gościńcu, musiałaby o Buk zawadzić. Więc lepiej nie — wlec się trzeba dalej. Wyjeżdżam naprzód do wsi: teren ku południowi opada, widać z dala wieś, ciągnącą się od wschodu do zachodu, za nią ciemna ściana lasu i zarośli. Wschodni skraj wsi jeszcze jest na górze, przez lornetkę widzę, że jest to coś w rodzaju folwarku. To Ulina Mała!

Wjeżdżam w opłotki wsi. Ludziska już powstawali, oglądają ze zdziwieniem «Austryjoków», kiedy według, słusznych zresztą, ich obrachowań, nie powinniby oni znajdować się teraz w tym miejscu. Dzieci z ciekawością wyglądają z poza węgłów chat, psy ujadają. Prawie w środku wsi widzę, jak kobieta jakaś, otoczona dziećmi, z chwilą, gdy nas zobaczyła, zakryła oczy rękami, przysiadła na przyżbie i zalewa się rzewnymi łzami. Przy niej stoi stary dziad, filozoficznie pykając z fajki. Po zbliżeniu się do tej grupy, zsiadam z konia. Interesuje mnie ta nagła rozpacz kobieciny, a zresztą muszę zasięgnąć trochę języka.

— Czego, kobieto, płaczecie? — mówię do niej. — Uspokójcie się! Nic się wam nie stanie!

Żadnej odpowiedzi, tylko płacz jeszcze silniejszy. Dzieci chowają się za spódnicę matki i stamtąd wysyłają ku mnie na pół przerażone, na pół rozciekawione spojrzenia swych chabrowych oczek. Zwracam się do dziada z tym samym zapytaniem. Dziad milczy i filozoficznie spluwa. Proszę o wodę. Przez łzy kobieta każe starszemu chłopakowi przynieść wody, ba, proponuje mleko, lecz rozpacz jej się nie zmniejsza. Pytam o miejscowość.

— Czy to Ulina Mała tam, w dole?

— Ulina, panie, Ulina!... — odpowiada z płaczem.

Przynoszą mi wodę i mleko. Kolumna zbliża się ku mnie. Daję rozkaz maszerowania dalej, bez zatrzymywania się w Buku. Patrzę na ludzi. U chłopców strasznie pomęczone twarze, jakieś szaro-ziemiste, oczy podkrążone patrzą na mnie z niemą, błagalną prośbą. Uspakajam ich, mówiąc, że wkrótce odpoczną, i wracam do grupy przed chatą. Kobieta wciąż płacze, daję jej spokój i, pijąc mleko, wszczynam rozmowę z dziadem.

— Moskale jeszcze u was nie byli? — pytam dziada.

— A jakże, panie, byli! — odpowiada — wczoraj po południu byli kozacy. Byli u nas, byli ot tam, w Ulinie Dużej. Byli!

Powoli dowiaduję się, że był tu znaczniejszy patrol, kręcił się po całej okolicy i... poszedł dalej na zachód. Nie chce mi się wierzyć, pytam raz jeszcze, nastaję i nie wiem, czy pod wpływem mojej natarczywości, czy z innego powodu dziad zgadza się z mymi wewnętrznymi chęciami, że kozacy wrócili w stronę Miechowa.

Nie dowiedziałem się, z jakiej racji płakała baba, która wdzięcznie zresztą spojrzała na mnie, gdym pogłaskał jej dzieci i spytał się o ich imiona. Czy kobieta bała się, że tu, w cichym Buku, rozpoczną się boje i jej rodzima chata padnie ofiarą na ołtarzu Molocha-wojny, czy strach o dzieci łzy jej wyciskał, czy wreszcie łzy lała z powodu nas, żołnierzy, — nie wiem. Nie pytałem dalej, bo gadania dziada o kozakach rzuciły moje myśli w inną stronę.

Moja piękna przesłanka o korytarzu, z której logicznie plan swój wysnułem, otrzymała nagle cios poważny. Już w c z o r a j w tym korytarzu byli kozacy, gdy ja oczekuję ich tutaj dopiero dzisiaj w południe. Coś mój korytarz nagle się zwęził. Nawet, gdyby istotnie kozacy cofnęli się do Miechowa, to w każdym razie znaczyłoby to, że tutaj armia rosyjska o jakie dobre pół dnia, jeśli nie cały, jest zaawansowana w porównaniu z tym, co widziałem na północy.

Z niepokojem w sercu spieszyłem do wojska. Trzeba dać

natychmiastowy, dłuższy odpoczynek, co najmniej 5—6 godzin. Ulina do tego się nadaje, mam trochę lasu dla osłony dalszych poruszeń. Ale trzeba być ostrożnym, trzeba się pilnować.

Każę I batalionowi zająć folwark na górze. Bojarskiemu, dowódcy batalionu, tłumaczę położenie, nakazuję ostrożność i stałe obserwowanie całego terenu naokoło. Spodziewam się nieprzyjaciela od wschodu, więc właśnie na nim, na Bojarskim, spoczywa odpowiedzialność za spokój i odpoczynek, którego tak potrzebujemy. Żadnej niepotrzebnej strzelaniny! Strzelać tylko do takich patroli, które wyraźnie do Uliny zmierzają, i to przypuszczając je możliwie blisko. Ludzi ukryć tak, by z daleka nie mogli być zaobserwowani, żadnych patroli na zewnątrz, nikogo z ludności nie wypuszczać, wszystkich nadchodzących przysyłać do mnie do zbadania. Meldunki o najmniejszych spostrzeżonych rzeczach!

Bojarski salutuje, wypowiada sakramentalne — «według rozkazu!» i podkręca czarnego wąsika. Jestem spokojny. Bojarski jest służbistą, nie zawiedzie. Porzucam więc poprzedni zamiar zakwaterowania się samemu przy Bojarskim. Lepiej być przy gros swoich sił. We wsi kwaterują III i V bataliony, które otrzymują te same rozkazy; na zachodnim krańcu wsi — kawaleria.

Rozumiałem, że w moich rozporządzeniach jest poważna luka. Las był, co prawda, zbawieniem, ale też i słabą stroną. Nie kazałem badać lasu, ani posiadania jego sobie zapewnić. Kilka razy chciałem jeden z batalionów umieścić w lesie. Zawsze jednak cofałem się przed myślą, że w ten sposób zmuszę tak zmęczonych ludzi do biwakowania i nie dam im odpocząć porządnie pod dachem.

— Zresztą — myślałem — jestem tu parę godzin tylko. Niebezpieczeństwo grozi mi od wschodu, a tam wejścia do lasu obserwuje Bojarski, a u końca wsi, przy wyjściu do lasu, na południe, stoi warta V batalionu. Zawsze będzie czas zaalarmować ten batalion i las opanować. Teraz pierwsza rzecz, to trochę spoczynku, drzemki i posiłku.

Gdym po ciężkim błocie na ulicy wiejskiej wszedł do kwatery, już przez sztab zajętej, znalazłem wszystkich pogrążonych we śnie. Każdy położył się, jak mógł, — Sosnkowski leżał na łóżku tak, że głowę miał niżej, niż nogi. Kasprzycki, na wpół siedząc, nawpół leżąc, spał w najniewygodniejszej pozycji. Paru oficerów ordynansowych leżało wprost na podłodze z plecakami pod głową. Za drzwiami izby ordynansi targowali się z gospodynią o posiłek.

Siadłem przy stole, bo czułem, że nie zasnę. Z chwilą, gdym nie miał przed sobą szerokiej przestrzeni, gdy mózg przestał pracować nad szczegółami terenu, wracał niepokój, wracały wątpliwości, zwiększone obecnie przez rozmowę z dziadem w Buku. Może oderwać się od tych myśli i pójść sprawdzić kwaterunki i warty? Lecz jestem tak piekielnie zmęczony, że sama myśl o przejściu po tym błocie wzdłuż wsi przeraża mnie; zresztą tacy tędzy oficerowie, jak Śmigły, Bojarski i Zwierzyński, musieli rozkazy skrupulatnie wykonać, a tu mogą nadejść meldunki. Lepiej już zostać ze swymi myślami.

Przewracam w głowie plan dalszego marszu. Jest godzina prawie ósma, najpóźniej o pierwszej wymarsz. Więc o dwunastej wyślę patrole, by oświetlić drogę. Trzy patrole: jeden na Czaple, na wschód, drugi na Wiktorkę i Władysław, na południo-wschód, trzeci w kierunku Skały, na południo-zachód. W zależności od ich meldunków wybiorę drogę. Strach mnie bierze, że może niebardzo będę mógł wybierać. Na myśl przychodzi Belina. Dlaczego nie był w Wolbromiu na umówionym «rendez-vous»? Czy nie stoi to w związku z rewelacjami dziada? Może został wciśnięty do frontu austriackiego? Ale wtedy gdzie, u licha, jest mój korytarz? Niepodobieństwo! W jakiż sposób sam ze swym oddziałem wcisnąłbym się na teren, już zajęty przez nieprzyjaciela?

— A jednak? Jednak uparcie wraca pesymistyczne przypuszczenie. Przypominam sobie, że dziad na pytanie, dokąd poszli kozacy, wskazał od razu na zachód. Ba! słyszę chluptanie po błocie koni, za chwilę brzęk ostróg i szabli, melduje się Belina we własnej osobie.

— Skąd, u licha, tak późno?

— Z Wolbromia, szkapy tak pomęczone, że ledwo już idą. Przyszedłem do Wolbromia w godzinę po odejściu Komendanta.

— No, opowiadajcie!

Więc jeździł sprawdzać front. Przez pewien czas szło dobrze, tak, jak przewidziałem. Austriacy okopują się. Potem wpadł na patrole węgierskie. Z tymi porozumieć się nie mógł. Poprostu rozmowa gęsi z prosięciem. Pomimo starań o niczym się od nich nie dowiedział. Może więc front idzie tak, jak przewidywałem, na południo-wschód ku fortom Krakowa, może i nie. Okopują się, więc może i stoją dzisiaj jeszcze — miałbym w razie przemocy niedaleki odwrót.

— Ale — dodaje Belina — tu już wszędzie byli kozacy. Komendant wie? Wredne małpy, już się kręcą, gdzie nie potrzeba!

— Czyście ich widzieli? — skoczyłem na niego.

— Nie! Ale ludzie tu wszędzie o nich opowiadają. A nas znaleźć łatwo — dorzucił — droga widoczna po przejściu kolumny, już chociażby po mnóstwie niedopałków po papierosach, rzuconych na drogę. Kiedy wymarsz? Muszę wiedzieć, jak rozporządzić końmi.

— Być gotowym do wymarszu ciągle. Ale nie myślę wcześniej wysyłać patroli, jak o pół do pierwszej. Ordynansa od kawalerii Orlicz już przysłał. Idźcie odpocząć!

Po chwili Bojarski nadesłał pisemny meldunek, że na horyzoncie od wschodu i północy widać grupki i pojedynczych jeźdźców. Ruch ich wyraźnie na zachód, ku nam dotąd się nie zbliżają. Widocznie już po drodze do Wolbromia maszeruje z Miechowa jakiś oddział. Bojarski widzi jego boczną osłonę. Oprócz tego Bojarski przysyła dwóch chłopów, którzy nadeszli z południa.

Zaczynam ich badać i od ich zeznań zaczyna mi się mącić w głowie.

Czaple Małe już wczoraj były zajęte przez Moskali, poszli stamtąd na Iwanowice. Dzisiaj rano byli tam z armatami, ci także poszli na Iwanowice. Dużo ich było. Byli i konni, byli i z armatami, na pytania odpowiadają, że byli i pieszo. Sami są z Uliny, byli w Czaplach na robocie we dworze. Pytałem każdego z osobna, zarzucałem pytaniami obojętnymi, by potem podchwycić ich na jakiejś sprzeczności. Nie, nie ma wątpliwości, mówią prawdę — to, co widzieli. Najwyżej dane o piechocie mogą być nasunięte przeze mnie osobiście, odpowiedzi zaś niejasne wynikają z nieznajomości wojska.

— Mój ty mocny Boże! Gdzież się podział mój korytarz! Jak my stąd wybrniemy!? — Ciepło mi się zrobiło. — Przecież to oznacza, że idąc na południe, muszę przecinać drogi, po których już wczoraj maszerowali Moskale. Więcej! Na północy ode mnie już też maszeruje nieprzyjaciel. Jestem w środku, pomiędzy dwiema drogami ich marszu na zachód: Miechów—Wolbrom i Czaple Małe—Iwanowice. Przecież co chwila spodziewać się należy, że nie ta, to inna boczna osłona, wreszcie jakiś patrol rekwizycyjny zawita do Uliny. I wtedy?... Wtedy tak łatwo nas zmiażdżyć po prostu w kilka godzin. My — garstka bez armat i karabinów maszynowych, oni w kilka godzin mogą mieć tego wszystkiego mnóstwo.

Na potwierdzenie takiej oceny sytuacji przyprowadzają mi raz po raz włościan na badanie. Nie ma żadnej sprzeczności. Coraz jaśniej i dokładniej występuje naga prawda w całej swej okropności. Jeden z badanych potwierdza wiadomości o arty-

lerii słowami: — Do Iwanowic poszły «puszki»[1]). Sam «sołdat»[2]) byłem, to wiem. — W oczach jego błyska jakaś zatajona złośliwość: wie, że to zła wiadomość, rozumie moje położenie prawie bez wyjścia. Co więcej, już koło południa przyprowadzają mi chłopa, który twierdzi, że słyszał, jakoby Skała zajęta przez Moskali, że od Słomnik poszła tam wielka siła.

Rzucam się, jak raniony tygrys. Potrzebuję ruchu, przyzwyczajony do myślenia chodząc, a tu izba zawalona leżącymi w powykręcanych pozycjach ciałami. Biłbym ich ze złości. Uspakajam siebie jednak, że będą i oni mieli dzisiaj ciężki orzech do zgryzienia. Niech śpią! Ale trzeba się decydować! Biorę siebie w garść, jak umiem, rozkładam mapę i chcę myśleć.

Na razie czuję tylko szum w uszach, w oczach się mąci, skronie gwałtownie pulsują, w głowie zupełny chaos. Gdzieś z zakamarków pamięci wypływa molierowskie: — *Tu l'as voulu, Georges Dandin*[3]).

Opuszczam głowę i parę razy powtarzam bezmyślnie: — *Tu l'as voulu, Georges Dandin.*

— Tak, chciałeś tego! Masz swą hekatombę, doprowadziłeś do niej. I to jest już cud, że ty i twoi żołnierze chodzicie po świecie! Jesteś pośród nieprzyjacielskiej armii! Rozumiesz? Mucha wobec słonia! Za chwilę olbrzymia stopa potwora zgniecie ciebie z twym oddziałem bez śladu — hekatomba będzie spełniona. Nie taka, o jakiej w swej romantycznej głowie marzyłeś, by była oną nauką dla potomności, a taka poprostu, że licho żadne nie bardzo wiedzieć będzie, gdzie się właściwie podział Piłsudski ze swymi strzelcami. To twój los przeklęty! Tak — *tu l'as voulu, Georges Dandin!*

Na razie poza wyrzutami, robionymi sobie, i poza jakimiś urywkami myśli o tym, że korytarz zniknął, nic z siebie wycisnąć nie mogłem. Pierwsza zdrowsza myśl był to błysk nadziei, że może jednak tak źle nie jest, że dane od cywilów nie są może tak wiarygodne. Może posłać zaraz patrole? Już miałem zawołać ordynansa od kawalerii, by wydać rozkazy, lecz zatrzymałem się. Jeżeli optymistyczne nadzieje mają jakąś realną podstawę, to późniejsze wysłanie patroli sprawie nie zaszkodzi. Spełnią one spokojnie swą pracę równie dobrze czy o godzinie pierwszej, czy później. Jeżeli zaś, co jest najprawdopodobniejsze, muszę się rachować z pesymistyczną oceną sy-

[1]) puszki — armaty.

[2]) sołdat — żołnierz.

[3]) «Sam tego chciałeś». Wyrażenie z komedii Moliera, komediopisarza francuskiego.

tuacji, to patrole są niebezpieczne. Sprowadzą mi na głowę nieprzyjaciela, który dotąd szczęśliwie mnie omija. Nie, trzeba pozostać ze swymi wątpliwościami w duszy, i nie próbować przedwcześnie wyświetlać położenia.

Zacząłem się trochę uspakajać, głowa zaczęła pracować. Przede wszystkim spokój! Odrzućmy wszystkie tragizmy, na nie będzie czas, gdy one w całej rozciągłości przed oczami staną. Potrafię umrzeć z honorem, chociaż w niepożądanych okolicznościach, a chłopcy moi także. Trudno, taki los wojny! Rozważmy sytuację tak, jakby to było poprostu zadanie, rozstrzygane z dala od kul i nieprzyjaciela. Spróbujmy!

Więc założenie moje co do korytarza, wolnego od nieprzyjaciela od Wolbromia do Krakowa, nie sprawdziło się. Korytarz do Buka był i szedłem nim spokojnie, teraz zniknął. Może istotnie nieprzyjaciel na południe od nas naciskał silniej na armię austriacką i teraz nocnym marszem wszedłem w sferę jego działania. Zresztą obserwacje Bojarskiego dowodzą, że i na północy korytarz ten albo się zamknął zupełnie, albo znakomicie się zwęził. Jestem otoczony przez nieprzyjaciela, na to nie ma rady! Jeszcze może najłatwiej byłoby cofnąć się wprost na zachód, trochę na północ, omijając Wolbrom, trzymając się środka pomiędzy drogami, którymi nieprzyjaciel się posuwa na zachód. Moskale, jak widzę, źle się osłaniają i źle patrolują. Wyszedłbym w parę godzin na front austriacki.

Ba! front austriacki! A skąd pewność, że on stoi? Czy to posuwanie się łatwe nieprzyjaciela nie jest świadectwem, że Austriacy już się cofnęli? Słyszałbym strzały, gdyby stali na miejscu. Więc wobec tego lepiej tej myśli dać spokój, a wprost wrócić do swego postanowienia poprzedniego. Wycofywać się na rzeczy stałe, niezmienne. Taką rzeczą jest Kraków, jako forteca; tej przecie w jeden dzień nie zajęto, musiałaby być wielka walka, a wielkie forteczne armaty słyszałbym tu także z południa.

Nie ma żadnych lasów na drodze! Nigdzie ukrycia! Dopiero gdzieś koło Słomniczek poszczególne parcele lasu. To jest bardzo zła strona obranego kierunku. Strasznie łatwo być opadniętym przez przemoc nieprzyjacielską. Każdy krok, każdy manewr prawie jak na dłoni, wszystko będzie się odbywać przed oczami kawalerii rosyjskiej, która, jeśli źle patroluje, to przecie nie spuści mnie z oka, gdy raz mnie wykryje. Lasy dadzą mi przewagę nad nią. Najbliższe większe kompleksy lasów są ode mnie na południo-zachód, w okolicy Skały. Możeby się starać tam właśnie dostać i już lasami, chociażby bez drogi, wyjść pod Krzeszowice.

Myślę nad tym długo, wreszcie odrzucam ten plan. Rachować muszę na to, co widzę u Rosjan. Słaba ich strona — źle się pilnują, źle osłaniają i źle patrolują. Trzeba to wyzyskać. Idąc ku zachodowi, idę w ślad albo może wśród ich awangardy — ta musi być najbardziej ostrożna, najbardziej czujna. Idąc trochę na wschód — ku Krakowowi — idę na spotkanie ich gros. Ci są przekonani, że ich awangarda cały kraj spatrolowała, nie mają powodu specjalnego być ostrożnymi. Łatwiej będzie nie wpaść im w oko, łatwiej się prześlizgnąć. Z Krakowem będę miał nowy kłopot. Kraków, jako forteca, flankuje przemarsz Moskali na zachód, musieli więc postawić jakąś osłonę od fortecy. Co prawda, w ostatniej wojnie bałkańskiej Bułgarzy wbrew teoriom strategicznym maszerowali o 12 km od Adrianopola, tak, jakgdyby to nie była forteca, lecz zwyczajne miasteczko. Ale wolę liczyć tu na gorszą dla mnie sytuację. Osłona musi stać poza drogą Słomniczki—Skała, na południe od niej. Więc w razie, jeśli się uda do tego miejsca dotrzeć, tam się rozstrzygną nasze losy. Trzeba będzie bagnetem otwierać sobie drogę do Krakowa. Więc ostatecznie decyduję się na utrzymanie kierunku na Kraków, a jako na ostateczność — na zwrot ku zachodowi w stronę Skały.

Teraz wymarsz. Kiedy i jak go odbyć? Naturalnie, jeśli będę zmuszony, to wyjdę w każdej chwili i to, niestety, w kierunku, który będzie nakazany przez okoliczności. Walki we wsi przyjmować nie mogę, parę granatów ją zapali. Mam do boju ten las przed sobą. Ten las! To jest mój wyrzut sumienia! Jeszcze tam ani noga mego żołnierza nie postała. A jak ja mogę się w nim ukryć, tak samo ukryje się, może się już ukrywa w nim nieprzyjaciel. Ale jak jest, tak jest. Jeżeli więc nic nie przeszkodzi, wymaszerować muszę ze zmierzchem. Przedtem, dla oświetlenia drogi, wyślę patrole. Kolumna maszeruje przygotowana do ataku na bagnety.

Najgorszym będzie, jeżeli właśnie zostanę zmuszony do takiego ataku. Naturalnie, nagłym, niespodziewanym napadem odniosę lokalne zwycięstwo, lecz cała okolica będzie zaalarmowana, czas stracony, osaczą mnie powoli i amen, hekatomba gotowa! Ale nie ma innego wyboru!

Nie chcę twierdzić, że ta decyzja przyszła mi tak łatwo, jak rozstrzyganie zadania w spokoju, bez myśli o kulach i nieprzyjacielu. O nie! Byłem zanadto świadom całej grozy naszego położenia, byłem zmęczony fizycznie i moralnie wskutek rozbicia się zupełnego dotychczasowej podstawy mego planu: wolnego albo prawie wolnego korytarza w kierunku Krakowa.

Czułem na całym ciele dreszcze, głowa od czasu do czasu odmawiała wszelkiej pracy, wracając do robienia sobie wyrzutów i kręcąc się, jak wiewiórka, w kole ustawicznych sprzeczności, z których, zdawało się, wyjścia nie ma. Nie chcę też twierdzić, że wszystkie moje decyzje były tak prosto wyrozumowane. Przeciwnie, nieraz zdrowa myśl wyrywała mi się z chaosu jakby bezwiednie, dając mi po prostu odpoczynek, gdyż równocześnie ciągle pracująca samokrytyka od razu uznawała podstawowość danej myśli. Było mi ciężko, tak ciężko, jak może ani razu przedtem, ani potem na wojnie. Lecz wreszcie zatrzymałem się na jakiejś decyzji, decyzji, naturalnie, obstawionej ogromem wątpliwości. Odpędzałem je pocieszaniem się, że zdążę naprawić to i owo po wyjściu patroli, gdy coś się już wyświetli i nie będę błądził w zupełnych ciemnościach. Patrole zdecydowałem wysłać o trzeciej. Wrócą one mniej więcej o godzinie czwartej — pół do piątej, akurat na zmrok jesiennego dnia, gdy przygotowywać się będziemy do wymarszu z Uliny.

Przygotowywano już dla sztabu obiad. Oficerowie zaspani wstawali, myli się. W dotychczasowym państwie snu rozpoczął się ruch i krętanina. Mogłem już chodzić po pokoju. Sprawiło mi to znakomitą ulgę, myśli zaczęły się porządkować, podniecenie wewnętrzne uspakajać, gdy część energii znalazła ujście w mechanicznym ruchu. Wreszcie zawołałem Sosnkowskiego i Kasprzyckiego. Przedstawiłem im sytuację w całej jej grozie i spytałem o radę. Obaj jednogłośnie i po namyśle radzili iść na zachód, w stronę lasów skalskich i olkuskich, obaj sądzili, że inny kierunek jest zbyt ryzykowny.

Nowy cios! Z takim mozołem zdobyta decyzja została przez ich zdanie zachwiana. Dałem spokój rozmowie i po dalszej przechadzce po pokoju, raz jeszcze przemyślawszy swe przesłanki, postanowiłem pozostać przy swoim pierwotnym postanowieniu.

Podano do stołu. Czułem, że podczas obiadu nie ja jeden ciekawym uchem łowię szmery poza domem, z niepokojem śledząc, czy nie usłyszymy skądkolwiek strzału. Nie! Cicho i cicho! Zdawało się niekiedy, że to chyba nieprawda, abyśmy siedzieli tu, w zapadłej wioszczynie, zwanej Uliną Małą, otoczeni ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela. A czas, ten mój sprzymierzeniec w tej chwili, powoli upływał. Każdy kwandrans, który mijał bez odnalezienia nas przez Moskali, a zbliżał do upragnionych ciemności wieczornych, zwiększał stale szanse naszego ocalenia.

Bojarski słał wciąż meldunki o zjawiających się na horyzoncie w okolicy Buka kozakach. Od czasu do czasu przyprowadzono jakiegoś chłopka do badania. Potwierdzali oni raz jeszcze fakt niezbity, że jesteśmy wśród Moskali. Przyprowadzono Żyda, który, jadąc do Wolbromia z wozem jabłek, zawadził o Ulinę. Żyd zanosił skargę, że żołnierze już mu część jabłek zabrali. Stargowałem cały wóz i kupiłem go dla chłopców. Po pewnym przeciągu czasu doniesiono mi, że Żyd umknął.

Już to nasi żołnierze są zanadto dobroduszni w stosunku do niekombatantów! Ile razy obserwowałem naszych chłopców czy to w stosunku do jeńców, czy do ludności cywilnej, zawsze odnosiłem to wrażenie, że brak nam w charakterze narodowym bezwzględności. Może to i sympatyczne, ale diablo mało warte na rynku wszechświatowego «świętego egoizmu».

Zbliżała się godzina trzecia. Szef mnie pyta o decyzje. Powiadam mu, że stoję przy swoim. Kierunek na Kraków; na Skałę tylko z musu; wymarsz — jak zapadnie wieczór; teraz wysyłam patrole. Szef mruczy, wreszcie radzi, że jeśli idziemy tak ryzykownie, to trzeba zostawić tu kuchnie. Będziemy mogli swobodniej manewrować, bez dróg nawet. To jest dobra myśl! Zgoda. Uprzedzić komendantów batalionów, by wydali kolację przed wieczorem, i kuchnie zostają. A teraz wołać Belinę, pójdą zaraz patrole!

Po chwili jest Belina. Daję mu rozkaz po wytłumaczeniu położenia. Pierwszy na Czaple, drugi na Władysław. To są kierunki, którymi mam zamiar maszerować. Oba patrole winny być uprzedzone, że mają mi przysłać meldunek po dojściu do celu. Czekać mają na nas. Na podstawie tych meldunków wybiorę drogę, i wtedy jeden z nich będzie musiał, nie doczekawszy się nas, samodzielnie wycofać się na Kraków. Trzeci patrol pójdzie na zachód. Ta cisza prawie całodzienna nakazuje mi sprawdzić gawędy «cywilów». A może nie jest tak źle i będę mógł, nie ryzykując zanadto, cofać się w zachodnim i południowo-zachodnim kierunku. Odmarsz patroli zaraz. Meldunki wprost do mnie.

Dalej wymarsz. Wraz ze zmierzchem batalion jedną kompanią zabezpiecza drogę wymarszu przez las, kompania bierze z sobą paru jeźdźców dla patrolowania i meldunków. W marszu pójdzie naprzód III, potem I, wreszcie V batalion. Kolumna czwórkowa, karabiny rozładowane, ładować tylko na rozkaz. W marszu chłopcy mają się wziąć pod ręce; przy zatrzymaniach się oddziału nie wolno nikomu się kłaść; w marszu żadnych kałuż ani błota nie obchodzić, by nie rozluźniać

szeregów, a maszerować ściśniętą kolumną. Palić, głośno rozmawiać, a tym bardziej krzyczeć — nie wolno. Ja pójdę za szpicą, szef — za trzecim batalionem, a przed pierwszym — Kasprzycki na końcu kolumny piechoty.

Największy kłopot mam z kawalerią. W nocy jest mi ona prawie do niczego. Właściwie jest ona balastem i trzebaby było upodobnić ją do wozów, t. zn. wziąć ją w środek piechoty, pod jej opiekę. Ale boję się tego. W nocy konie są płochliwe, przy najmniejszym hałasie, strzałach, gotowe są rzucać się, popsuć szyk i działania piechoty. Z przykrością stawiam ułanów na koniec kolumny. Belinie zapowiadam, żeby ludzie szli przy koniach, trzymając je pod pyskiem, żeby nie rżały, ani się rzucały. Każdy bój mam zamiar rozegrać na bagnety. Pójdzie od razu III batalion, dwa inne w odwodzie, zatrzymane przez szefa. Belina jest markotny, że tak mało ufam jego jeździe. Przysięga, że ułani utrzymają konie, że nie ma się czego bać, wreszcie prosi:

— Ale, jak piechota pójdzie na bagnety, to Komendant gniewać się nie będzie, gdy my też spróbujemy szarży.

Śmieję się z jego ochoty i twierdzę, że będę zadowolony, gdy kawalerzyści utrzymają konie, tym bardziej, że oddaję im swoją kasztankę pod opiekę. Sam pójdę pieszo.

Patrole poszły. Z nerwami, napiętymi do niemożliwości, nasłuchuję, czy nie usłyszę gdzie strzałów. Każda nieledwie minuta ciszy oznacza dla mnie swobodną przestrzeń dla manewru, dla ruchu. Minut tych przechodzi sporo, zaczynam oddychać. Jest jaka taka przestrzeń. I chociaż myślę gorzko: — Jest przestrzeń dosyć szeroka dla twej hekatomby! — jednak z ulgą każę podawać herbatę przed wymarszem.

Ba! ledwiem wypił trochę gorącej herbaty, rozlega się strzał jeden, potem drugi, i to gdzieś bardzo blisko, tak, jakgdyby we wsi. Z pasją myślę, że to pewnie ktoś z naszych wystrzelił przez nieostrożność przy rozładowywaniu karabinu. Nie! gdzie tam! wkrótce gra mi od zachodu muzyka tyralierskich strzałów, od czasu do czasu przerywana nierówną salwą. Szef skoczył, jak oparzony, z chaty. Strzały słychać z zachodu! — Jest! — myślę — i znowu wyłazi mi z pamięci ten przeklęty wiersz: *Tu l'as voulu, Georges Dandin!*

Po chwili zbiegają się raporty: «Kozacy wieś atakują, kilka sotni!» «Przyszli za Wieniawą, który z patrolem poszedł do Iwanowic». Wreszcie szef przybiega — już obejrzał położenie:

— Nie więcej, jak dwie sotnie! Kozacy kubańscy w czerkieskach. Dałem rozkaz, by kompania z III batalionu rozwi-

nęła się dla obrony, atakują słabo od zachodu. Ich patrole prawie wjechały do wsi, na Belinę.

Więc chłopi prawdę mówili! Wychodzę na tylny ganek, skąd doskonale widać zachodnią część wsi, rozłożoną trochę w dole. Już zmierzcha, więc widać bardzo niedokładnie. Przez podwórze z żałosnym jękiem idą zgórowane kule. Strzelanina to zamiera, to znowu trochę się ożywia, lecz z każdą chwilą stanowczo się zmniejsza. Nic, zdaje się, wielkiego nie będzie. Oby tylko te «wredne istoty» — jak mówi Belina — nie naprowadziły na nas większej masy, trzeba spieszyć z wymarszem. Jesteśmy już odkryci! A meldunków dotąd ani z Czapel, ani z Władysława ani śladu.

Pali mnie gorączka i niecierpliwość; w gardle wciąż zasycha, pomimo, że piję już trzecią szklankę herbaty. Strzelanina na zachodzie zacicha. Po głowie chodzą same wątpliwości, najczarniejsze przypuszczenia i supozycje.

Aha! kilka strzałów na południu. Wsłuchuję się; nic — cisza znowu zupełna. Po chwili meldunek: «Na południu, po drodze, idącej z Czapel na zachód, przeciągała jakaś kolumna z ciężkimi wozami, może artylerią, po zmierzchu w lesie nie rozpoznano, słychać było rosyjską rozmowę. Nasi ostrzelali oddział nieprzyjacielski, powstało jakieś duże zamieszanie w kolumnie, wszystko zaczęło się cofać z powrotem na wschód. Teraz droga wolna!»

— Tak więc — myślę — tłumaczy się zagadka, dlaczego nie ma meldunków; po prostu patrol południowy teraz jest od nas odcięty we Władysławie, może rozbity i rozproszony. Czapelski tak samo!

Przyspieszać wymarsz! Błyska mi myśl, by spiesznie wymaszerować i iść za cofającą się kolumną w stronę Czapel. Moskale są już i tak w strachu, gdy się cofają; gdyby się zatrzymali, to im ten strach powiększę. W każdy razie pierwsza walka z już zdemoralizowanym, cofającym się nieprzyjacielem.

— Czy gotowi tam do wymarszu? Posłać ordynansów z rozkazem o pośpiech. Zapowiedzieć Śmigłemu, że zaraz do niego przychodzę. Zaraz powinniśmy maszerować!

Rzucam rozkazy, pali mnie po prostu ziemia pod stopami, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Sztab w szacunku dla mego rozdrażnienia zachowuje się cicho, co jeszcze bardziej mnie drażni. Jestem tak zły, tak wściekły, że biłbym kogo z rozkoszą i zadowoleniem. I to piekielne pragnienie! Piłbym i piłbym bez końca, przeplatając picie papierosami.

Meldunek od Śmigłego — za chwilę będzie gotów. Za chwilę! Ach te marudy z III batalionu! Nigdy na czas, zawsze

się spóźnią! Słyszę na dworze chlupot nóg końskich i głosy: — Czy tu Komendant?

Wchodzi oficer ułanów. Zabłocony, trochę blady.

— Skąd?

— Z Czapel, Obywatelu Komendancie!

— Cóż tam?

— Moskale! Przyszli z Miechowa, musiałem się wycofać!

— Opowiadajcie!

Gdy dojeżdżał bez przeszkód do Czapel, słyszał za sobą strzelaninę, która się wzmagała. W Czaplach byli wtedy Moskale i, prawdopodobnie pod wpływem strzelaniny, wyszli w stronę Miechowa, bo wieś zastał pustą. Rozstawił straże u wylotów wsi, wysłał meldunek. Przed godziną, może trochę mniej, na drodze od Miechowa straż usłyszała kroki kupy ludzi i dała ognia; rozpoczęła się strzelanina. Wieś zaczęto widocznie otaczać. Było już ciemno, więc sądzić może o tym tylko z tego, że strzelano do wsi z różnych stron i że słyszał gwizdki i nawoływania się od północy i południa. Gdy Moskale wchodzili już do wsi od wschodu, wycofał się ze wsi, a że słyszał strzały i na tej drodze, skąd przybył, więc naprzełaj wziął kierunek na Ulinę. Wracając, znalazł swego żołnierza, posłanego poprzednio z meldunkiem, który zabłądził i dlatego w porę nie wręczył meldunku.

Nic więc z moich lisich zamiarów maszerowania za cofającą się kolumną! Ziemia się pode mną rozstępowała. Sądząc z opisu, musiała to być już piechota, więc nienajbardziej przednia straż rosyjska. Alarm już idzie dokoła — i na zachodzie, i na wschodzie, za chwilę może nam być bardzo ciepło! A te marudy jeszcze nie gotowe!

— Idę już do Śmigłego! — mówię z nagłą decyzją.

Sztab, milcząc, stoi dokoła. Słyszał raport ułana; czuję, że wisi na ustach u wszystkich pytanie — dokąd?

— Idziemy na Władysław! — mówię — nie można na Czaple, może się uda na Władysław.

Szef zwraca się do mnie z cichą prośbą, bym pozwolił mu iść obok siebie w szpicy.

— Nie! — odpowiadam prawie ze złością — zostaniecie tam, gdzie wskazałem, gdy ze mną co się stanie, obejmiecie komendę.

Szef, widząc moją niecierpliwość, prosi już tylko — zawsze jest metodyczny! — bym zaczekał z ostatecznym wymarszem, nim nie sprawi kolumny, żebyśmy w nocy się nie pogubili i nie rozerwali się na części. Zgoda — zamelduje mi przez Kasprzyckiego, że wszystko gotowe.

Wreszcie wychodzę. Owiewa mnie zimne powietrze i od razu zaczynam rozumieć, skąd ta zwłoka w wymarszu. Jest tak ciemno, że o dwa kroki nic nie widać. Liczyłem na to i chciałem jeszcze bez księżyca dojść do skrzyżowania drogi mojej do Władysława z drogą Czaple Małe—Iwanowice przy Wiktorce. Po tej drodze szedł na zachód z Czapel główny ruch wojsk rosyjskich. Tu spodziewałem się starcia i chciałem ciemności dla ukrycia swej słabości. Teraz jednak ta ciemność szalona, zwiększona jeszcze przez to, że na mój rozkaz zasłonięto wszędzie okna, istotnie przeszkadzała wymarszowi. Kazałem zaraz w domach, stojących przy zakrętach drogi, odsłonić okna i zapalić światło.

Wieś wyglądała, jak wymarła. Ludność ukryła się skrzętnie, oczekując bitwy w ich zagrodach lub na ich zagonach. Po bardzo ciężkim błocie dotarłem do kwatery Śmigłego. Już kolumna I batalionu stała na ulicy, narzekając na III, który jeszcze nie nadążył z wyjściem. Wpadłem odrazu na Śmigłego z narzekaniem na marudztwo. Śmigły i jego adiutant, Młodzianowski, tłumaczą się: jest tak ciemno, musieli parę płotów rozwalić, by łatwiej było wychodzić na ulicę, oprócz tego, idąc w awangardzie, chcą mieć przewodnika. Właśnie czekają na niego.

Panuje tu w tym ciepłym, jasno oświetlonym pokoju atmosfera wielkiego spokoju. W oczekiwaniu na przewodnika wypijam jeszcze szklankę mleka z doskonałą bułką. Już to sztab Śmigłego zawsze jest doskonale zagospodarowany! Młodzianowski żąda jeszcze koniecznie, bym na drogę wziął do kieszeni bułkę, i trochę cukierków. Zgoda, byle prędzej! Nie mam dotąd spokoju wewnętrznego, przebiegają po skórze dreszcze, mam po prostu dosyć tego czekania, tej wewnętrznej męki. Spieszno mi do rozdarcia tajemniczej zasłony, kryjącej naszą najbliższą przyszłość, którą, zgodnie z chłodną oceną sytuacji, uważam za tragiczną.

Przyprowadzono przewodnika — ma nas doprowadzić do Wiktorki. Wychodzimy. Zaczyna się ostatni akt naszej tragedii czy komedii, jeszcze nie wiem. Do głowy, jak wino, raz jeszcze rzuca mi się cały szereg wątpliwości, cały ciężar odpowiedzialności. W głowie mi się trochę mąci, chwieję się na nogach i muszę szukać oparcia na twardym, silnym ramieniu Śmigłego. Przygląda on mi się trochę zdziwionym wzrokiem, lecz natychmiast otacza mnie troskliwą opieką.

Jesteśmy na ulicy w błocie. Przed nami o kilkanaście kroków szpica z pięciu chłopców z 1-ej kadrowej kompanii, z oficerem na czele. U wyjścia ze wsi oczekuje mnie szef z 2 ofi-

cerami ordynansowymi. Jeszcze raz prosi, by zaczekać, nim cała kolumna nie wyciągnie się do marszu. Mamy przejść tysiąc kroków i zatrzymać się. Wystarczy to do wyprowadzenia kolumny ze wsi.

Przechodzimy ten tysiąc kroków i stajemy w oczekiwaniu meldunku szefa. Ogarnia mnie znowu ten cudowny stan, jaki odczuwałem przy wyjściu z Wolbromia. Jestem zupełnie panem siebie, myśl pracuje żywo i wyraziście. — Tak muszą się czuć — myślę sobie — wszyscy wielcy i mali awanturnicy, gdy przystępują do wykonania swych zamierzeń, gdy po przejściu Rubikonu wahań powiedzą sobie: Alea iacta est! Oglądam się. Na prawo — tj. na zachód — rozpala się na chmurnym niebie łuna pobliskiego pożaru. Słyszę, jak żołnierze szepcą do siebie: — Tam są kozacy!

— Ba, — chce mi się im powiedzieć — gdzie ich teraz w pobliżu nie ma?

Wschód zaalarmowany przez Czaple, zachód przez kozaków, z którymi mieliśmy potyczkę tutaj w Ulinie, południe prawdopodobnie przez patrol Dreszera, bo od niego nie ma słowa meldunku. Obliczam zimno i chłodno. Przed sobą aż do rozwidlenia dróg na Czaple i Wiktorkę mam zapewnioną drogę przez kompanię V batalionu. Żadnego niepokojącego meldunku od niej nie mam, więc ten kawałek drogi pewno da się przejść swobodnie. Prawdopodobnie też i dalszy kawałek drogi, idącej na południe od Wiktorki. Tam przecinamy drogę do Iwanowic. Tam będzie pierwsza próba. Druga — Władysław. Dalej nie chcę liczyć, bo gdy te dwie wypadną fatalnie, nie trzeba będzie już szukać trzeciej, wystarczą te dwie, a jeżeli nie, no, to będzie czas się zastanowić potem.

Jest Kasprzycki. — Czy już gotowe?

Nie, szef prosi, by jeszcze ruszyć naprzód o 500 kroków, koniec bowiem kolumny jeszcze jest pomieszany we wsi. Idziemy trochę dalej w las, gdzie na szczęście już błota nie ma— sucha, piaszczysta, lecz twarda po deszczach droga. Łuna na prawo zmniejsza się, natomiast na niebo wylazi niepożądany księżyc. Niebo, co prawda, zachmurzone, ale jednak światła jest dosyć, aż nadto dosyć na naszą imprezę. Łatwiej będzie maszerować, ale też i znikła osłona, która dawała nam zupełną ciemność.

Wypalamy tym czasem ostatnie papierosy, za chwilę w marszu, zgodnie z rozkazem, palić nie będziemy. Nareszcie Kasprzycki z meldunkiem,że wszystko gotowe. Ruszamy z opóźnieniem, co najmniej godzinnym. Idziemy lasem. Przed sobą widzę żwawo poruszającą się szpicę. Ale co to? Idąc tuż skra-

jem drogi, najbardziej ubitą ścieżką, zaczepiam o coś. Doprawdy nogi ludzkie! Uderzam po nich szpicrutą. Z krzaków wyskakuje naprzód jeden, potem drugi żołnierz— obaj zaspani.

— Co to jest? Skąd to, obywatele? — pytam.

— Z piątego batalionu — odpowiadają nieśmiało.

— Cóż tu robicie?

— My? Na straży.

Wpadam w pasję. — Kulą w łeb — syczę — za taką straż! Spać się im zachciało, gdy od nich zależy całość oddziału. Łajdaki! Precz, do swojej kompanii, będziecie surowo ukarani!

Ba, po kilkudziesięciu krokach spotykam to samo — nowa para, we śnie pogrążona. Nigdy nie biłem w ciągu wojny żołnierza. To był jedyny raz, którego się dotąd wstydzę. Budziłem chłopców uderzeniem silnym nogą, dusiłem się wprost z wściekłości.

Po obudzeniu już piątej pary spotykam komendanta kompanii.

— Co robicie, obywatelu? Wszyscy wasi ludzie śpią, jak zabici!

— Ach, Komendancie! — mówi — biegam ciągle i budzę, tak są zmęczeni, że ledwie zostawić, a za chwilę już wszystko śpi.

— To kazać im chodzić, do licha, a nie stać na miejscu! Nigdy z was nie będzie dobry oficer! Zebrać tę bandę i doczepić do końca kolumny V batalionu. Czy i tam u rozwidlenia tak samo śpią?

Oficer tłumaczy się jeszcze. — Nie, tam nie śpią. Kawalerzyści podjechali trochę dalej i w tej chwili meldowali, że nic nie słychać. — Wszystko spokojnie.

Dawno to było, a jednak dotąd nie mogę zapomnieć tego wrażenia i tej chwili. Dotąd na dnie duszy leży jakby żal jakiś do V batalionu, pomimo, że dziesiątki razy zmazał swą winę walecznością i doskonałem żołnierskim zachowaniem.

Mijamy rozwidlenie dróg, ostatnią placówkę z kilku konnych, i wkraczamy wreszcie na drogę niezabezpieczoną. Co do mnie, jestem zupełnie już spokojny, — wzburzenie wewnętrzne wyładowało się w ruchu. Pozostała tylko ta wewnętrzna gorączka, która każe żywiej bić sercu i jaśniej myślom pracować. Oglądam się za kolumną, co tuż za mną kroczy. Odczuwam jej psychę. Żołnierze wiedzą, w jakim są położeniu. Zresztą ostre zarządzenia marszowe, zakaz kładzenia się, obchodzenia błota, słowem — wszystkie te niezwykłe rozkazy musiały nawet w najciaśniejszym mózgu obudzić myśl, że się dzieje coś nadzwyczajnego. Cisza panuje w zwykle gwarnych szeregach,

słyszę nieraz, jak nieostrożne brzęknięcie bronią napotyka na szeptane wymyślania kolegów. Karabiny najeżone bagnetami. Idziemy, jak duchy, w przestrzeń. Czuję w kolumnie wolę bronienia się do ostatka.

Śmigły budzi mnie z rozważań, chwytając mię za rękę i podnosząc swoją na znak zatrzymania kolumny. Szpica coś dostrzegła. Podchodzi od niej jeden z meldunkiem, że na prawo od drogi jakieś zabudowania, dostrzeżono tam konie, poszedł patrol dla zbadania sprawy. Po chwili wracają z dwoma końmi. Konie osiodłane stały pod płotem bez jeźdźców koło siana. Nikt ich nie pilnował. Oglądam konie, nie wyglądają na kawaleryjskie, powiedziałbym raczej, że kozackie, lecz siodła kawalerii austriackiej. Czy nie z patrolu Dreszera? Każę je zaprowadzić na koniec kolumny do Beliny z rozkazem zameldowania, czy nie poznaje koni. My — marsz dalej!

Po paru minutach szpica podejmuje z ziemi parę przedmiotów, przynoszą mi je. Karabinki Manlichera. Teraz już jestem pewien. To z patrolu Dreszera. Była tu z pewnością potyczka, paru naszych legło czy zostało rannych. Oto więc rozwiązanie zagadki, dlaczego od Dreszera nie było meldunków. Ale gdzie nieprzyjaciel? Musi być gdzieś blisko. Te zabudowania to zapewne Wiktorka. Pytam o to przewodnika. Wymienia mi jakąś mną nazwę, której na mojej generalnej mapie 1:200.000 nie ma.

Już nie pierwszy raz się przekonuję, jak marną podstawą dla wojny była austriacka mapa generalna Królestwa. Zda się, że ją robiono co najmniej 20—30 lat temu, gdyż te zmiany, które na terenie w porównaniu z mapą znajdowałem, tylko przez dłuższy czas mogły powstać. Na kartach forma lasów inna, mnóstwa osiedli ludzkich nie ma, drogi często akurat inaczej chodzą, niż na mapie. Więc i teraz — według mapy pierwszym osiedlem, które mieliśmy napotkać na skrzyżowaniu dróg, powinna była być Wiktorka. Przewodnik zaś sypie nazwami, których wcale na mapie nie ma; ba, okazuje się, że i Wiktorka wcale na rozwidleniu dróg nie stoi, a tak się nazywa folwarczek, stojący nieco na uboczu. Do skrzyżowania dróg mamy jeszcze prawie dwie wiorsty. Tam dalej zaś w stronę Władysława droga, a znowu wbrew mapie. Zaczynam się obawiać, czy przewodnik mnie nie oszukuje. Ale nie! kierunek drogi jest dobry, no i skrzyżowania dróg dotąd nie było żadnego.

Naprzód, nie traćmy czasu! Mamy przed sobą jeszcze tyle drogi, tyle trudów! Cisza naokoło absolutna, cisza taka, jaka tylko bywa po długich jesiennych deszczach, gdy wszystko

w przyrodzie ciężko przemokłe zdaje się dumać nad ubiegłym, pełnym życia i zmian latem i przy dogorywującej jesieni cicho zasypiać drzemką przedzimową. Niebo lekko zachmurzone, obłoki przepuszczają mnóstwo bladego światła księżyca. Jest tak cicho i spokojnie w naturze, że się zapomina o nieprzyjacielu.

Maszerując, zaczynam już sobie układać w głowie swój raport o naszej eskapadzie i mam już ochotę przeklinać myśl szefa o zostawieniu kuchni w Ulinie.

Po pewnym przeciągu czasu las rzednie, przed oczami szeroka polana. Widzę białą taśmę drogi, która biegnie, by przeciąć naszą. To owa Wiktorka z mapy, nie istotna. Na samym skrzyżowaniu dróg na niewielkim pagórku stoi chata, od niej na zachód idzie niedługi zresztą szereg innych chałup. Dalej droga nasza jest osłonięta od wschodu lasem, na zachód jakaś szersza otwarta przestrzeń. Cicho i tutaj. Oczy biegną we wszystkich kierunkach, nic nie dostrzegając, uszy nic podejrzanego nie słyszą. Za mną miarowy chód kolumny piechoty. Gdyby tu był nieprzyjaciel, już musiałby być zaalarmowany! A jednak tą właśnie drogą ciągnęły wozy i armaty, tutaj niedaleko padały strzały.

Szpica posuwa się szybko ku chacie, jestem za nią ze Śmigłym o dwa, trzy kroki, kolumna o jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków za mną. Ubita, szeroka, prawie jak droga, ścieżka prowadzi na pagórek, tuż obok chaty. Idziemy po tej ścieżce i nagle, gdy szpica zbliża się do węgła chaty, słyszę grubym basowym głosem wypowiedziane sakramentalne słowa straży rosyjskiej: — *Stoj, kto idiot?*

Widzę, jak szpica zawahała się jedną sekundę i cofnęła o kilka kroków, tak, że musiałem też parę kroków zawrócić, schodząc z pagórka. W chacie usłyszałem jakiś gwałtowny ruch, parę krzyków. Śmigły już rzucił rozkaz: — Druga kompania naprzód, przeszukać domy! Po chwili szybki tętent koni w galopie, oddalający się w kierunku południowo-zachodnim, potem szereg strzałów, gwizd kul, idących gdzieś blisko. Szpica już była w chacie. Trochę za późno, nikogo już tam nie było.

Przez te krótkie chwile przez głowę przebiegły mi błyskawicą różne myśli co do dalszych mych kroków. Przebiegły, zostawiając tak głęboki i wyraźny ślad w mózgu, że dotąd z fotograficzną ścisłością ich przebieg powtórzyć jestem zdolen. Oto ich treść:

Jest to placówka nieprzyjacielska. Umyka w stronę oddziału, który zabezpiecza. Więc tam na południo-zachodzie jest

większa siła, która już przez strzały jest zaalarmowaną. Najbezpieczniej jest zejść z drogi temu oddziałowi, skręcić na lewo w stronę Czapel i potem w las na południe, w stronę Władysława. Tu zostawić kompanię w ariergardzie, tę, która teraz przeszukuje domy. I zaraz krytyka: — Stracę mnóstwo czasu, z kawalerią brnąć przez gęsty las trudno, a w nocy i piechota łatwo straci drogę. Niebezpieczeństwo wtedy z prawa od otwartej przestrzeni, gotowi nas ostrzelać. Będę miał rannych; niewiadomo, co z nimi robić — ani zostawić, ani ciągnąć za sobą. Wysłać na prawo osłonę czy patrole dla zbadania. I czekać? Nie! — I wreszcie krótka, ostra decyzja: — czasu nie tracić, maszerować wprost kolumną!

Byłem z decyzją gotów, gdy Trześniowski, dowódca drugiej kompanii, przyszedł z raportem, że nikogo nie ma, a wzięty tylko koń, widocznie kozacki, z długą grzywą i ogonem, z siodłem kozackim, uzdą, nabijaną posrebrzonymi gwoździami; pewno podoficerska szkapa.

— Maszerować dalej! — mówię do Śmiglego.

Śmigły prosi o pozwolenie zmienienia awangardy i szpicy. Nie podoba mu się, że chłopcy w szpicy zawahali się sekundę po okrzyku straży kozackiej. Drugie: wypuścili z rąk przewodnika, który zdążył się wymknąć.

— Gapy! Sentymentalne inteligenty! — mruczę. Nie wzięli przewodnika na sznurek.

Śmigły raportuje, że w awangardzie i szpicy pójdzie druga kompania. Chwilka zwłoki, bierzemy z tej samej chaty gospodarza jako przewodnika. Niemłody to już człowiek, stęka, gdy żołnierze wyprowadzają go na wpół ubranego z chaty. Ma na bieliźnie naciągnięty kożuch, żegna się kilka razy, gdy go paru żołnierzy bierze pod ręce. Ruszamy.

Te parę minut, spędzonych na rozstaju dróg przy chacie, zostaną mi w pamięci na zawsze. Nigdy nie byłem tak blisko nieprzyjaciela, by słyszeć wyraźnie jego słowa, nigdy, zdaje się, nie myślałem tak szybko, jak wówczas. Dlatego też nieraz potem, gdym przemyśliwał raz jeszcze tę chwilę, zastanawiałem się, czy istotnie miałem rację, wydając rozkaz maszerowania dalej, bez zmiany kierunku. Że tym razem postanowienie moje nie wyszło nam na złe, to wcale nie dowód, by rozkaz mój był racjonalnym. Niewątpliwie było to najryzykowniejsze wyjście ze wszystkich możliwych kombinacyj, jakie się nasuwały, i gdybyśmy mieli przeciw sobie silniejszego wolą nieprzyjaciela, to moja decyzja kosztowałaby nas bardzo drogo. Miała ona za sobą to, że była najprostszą i wymagała najmniej czasu dla wykonania. Było to, jak mi się zdaje teraz, główną

i, dodam, niemało ważną jej zaletą. Istotnie bowiem czasu wiele do stracenia nie mieliśmy.

Od naszego przewodnika dowiedziałem się o opowiadaniach kozaków, że za godzinę miała tu nadejść większa siła, prawdopodobnie z powodu alarmu, zrobionego przez nas. Bardzo więc być może, że przy skręcie na lewo wpadłbym właśnie na zbliżających się wrogów. Ale także prawdą jest, że gdyśmy odmaszerowali, to naszą ariergardę — kawalerię — prawie że najechała zaalarmowana sotnia kozaków. Że kozacy zamiast być dzielnymi żołnierzami i otworzyć na nas ogień, któryby zmusił mnie do zatrzymania, uszanowali ciszę jesiennej nocy i rozminęli się spokojnie z naszymi ułanami, to wcale nie dowód, że moja decyzja nie była najryzykowniejszą w tym położeniu. Powtarzam, na chłodno rozstrzygnąłbym prawdopodobnie tak samo, właśnie dla uniknięcia straty czasu.

Miałem przed sobą jeszcze opętanych trzydzieści kilka kilometrów, które przejść mogłem jedynie w nocy. W perspektywie zaś nad ranem — bój z Moskalami, którzy, jak przewidywałem, muszą gdzieś stanowić osłonę przed fortami Krakowa. Musiałem więc spieszyć.

Gdyśmy ruszyli od Wiktorki, kazałem dla ostrożności iść pod samym lasem, tak, by być w cieniu drzew, zasłaniających nas od blasku księżyca. Drżało we mnie serce, oczekiwałem wciąż strzałów z prawej, odkrytej strony. Lecz minuty szły za minutą, strzałów nie było. Zacząłem się uspakajać i myśleć o następnym etapie — Władysławie. Pierwszy — Wiktorkę i drogę z Czapel do Iwanowic — minęliśmy szczęśliwie. Mam teraz dowód, że jesteśmy istotnie w kraju, obsadzonym przez nieprzyjaciela. Jest noc, drogi więc są wolne, lecz wsie? Te pewno są zajęte przez rozkwaterowane na noc wojsko. Dajmy na to, że droga, po której idziemy, nie jest drogą marszową dla wojska, idącego na zachód; my się poruszamy na południe i Władysław nie stoi na skrzyżowaniu dróg, jak Wiktorka, ale zawsze jakaś boczna kolumna, tabor, czy kawaleria, dla zaszanowania koni i podstawienia ich pod dach na noc, może zajmować Władysław. Dreszcz ze swym patrolem nie dojechał pewno do Władysława, znaleźliśmy przecie po drodze konie i karabinki z jego patrolu. Męczyły mnie te myśli w drodze do Władysława. Nie dałem sobie jeszcze z nimi rady, gdyśmy wyszli z lasu, i wkrótce z daleka ujrzałem pierwsze domy wsi.

Tu podskoczył do mnie szef z propozycją, aby Władysław obejść wprost polami. Zapytałem przewodnika, czy da się to zrobić. W lot zrozumiał on naszą myśl i odrzekł, że obejść

Władysław można doskonale. Za tamtym pagórkiem z prawa jest długi wąwóz, który otacza wieś dokoła i wyprowadza na drogę, idącą do Słomniczek. Kazałem iść w tamtą stronę, porzucając drogę do Władysława. (Nie wiedziałem, że Dreszer stał wówczas we Władysławie. Historia jego jest ciekawa. Jeszcze za ciemna zajął on Władysław, wziąwszy taborek rosyjski z chlebem, mąką i owsem. Było tam tak ciemno, że parę razy kozacy wjeżdżali do wsi, zajętej przez niego. Padały strzały. Meldunki dojść do mnie nie mogły, bo za każdym razem jadący z meldunkiem znajdował drogę przy Wiktorce zajętą przez Moskali. Dwa konie i karabinki istotnie należały do ludzi z jego patrolu. Byli to rekruci, którzy nie umieli jeździć konno i spadli ze swych rumaków. Dreszer samodzielnie, nie doczekawszy się naszego przyjścia, cofnął się do Krakowa. Dwaj nieszczęśliwi rekruci także nie zginęli. Przebrali się za chłopów i zostali przez przemytników doprowadzeni szczęśliwie też do Krakowa. Usłuchawszy szefa, straciłem, jak teraz sądzę, jakie półtorej godziny. Niewątpliwie jego rada czyniła odwrót pewniejszym i mniej ryzykownym, chociaż bardziej uciążliwym).

Skręcamy z drogi na prawo, na świeżo zorane pole, i zaczynamy zwolna wchodzić na pagórek. Jakaż to wściekła różnica maszerować po drodze, a iść bezdrożem po zoranych polach. Nogi grzęzną gdzieś w bruzdach, miękka ziemia oblepia buty. Doprawdy, gdyby nie ta konieczność spieszenia, gdyby nie te nerwy naprężone, nie dałbym ani ja, ani moi żołnierze rady w tym dzikim marszu po bezdrożu. Odpoczywalibyśmy z pewnością co 10 minut. Teraz szło się bez wytchnienia prawie. Gdy mi serce od zmęczenia trochę dokuczac zaczynało, stawałem na chwilę, nie zatrzymując kolumny, by odetchnąć głębiej i spokojniej. Dało mi to możność obejrzenia parę razy kolumny, wciągającej się na pagórek. Cudowny widok! Ledwie dostrzegalny szary wąż pełznął po równie szarej ziemi do góry. Cisza była absolutna. Trochę w dole, na lewo od nas, tonęła w szaro-srebrnej mgle, również w ciszę pogrążona wieś Władysław. Widziałem, że żołnierze, równie jak ja, zezowali na lewo, na wieś, gdzie się spodziewano, że są Moskale. Każdy starał się stąpać jak najciszej, nieledwie szedł na palcach. Nie spostrzegałem nikogo, ktoby występował z szeregów na bok — rzecz tak zwykła w każdym marszu. Kolumna zdawała się nie być zbiorem jednostek-atomów, lecz jednolitą masą, wyginającą się w ładnych skrętach.

Z pagórka zaczęliśmy się spuszczać po bardzo spadzistej ścianie do głębokiego wąwozu. Nie mając laski ani karabinu

do oparcia się, już miałem zamiar poprostu stoczyć się na dół, gdy poczułem obok siebie podtrzymującą mnie rękę Śmigłego.

— Jezus, Maria! — przemknęło mi przez głowę — jak tu przejdzie kawaleria. Kasztanka mi na pewno nogi połamie w tym wertepie. — A jednak przeszła i jazda, i kasztanka. Wiele ten może, kto musi.

Tu, na dnie wąwozu, postanowiłem na chwilę zatrzymać kolumnę. Przy schodzeniu z tak spadzistego zbocza, podczas którego każdy musiał pomagać sobie nieledwie rękami, by się nie przewrócić, kolumna musiała się rozluźnić. Trzeba dać czas, by się ona uporządkowała. Zresztą drżałem o konie i chciałem doczekać się meldunku, czy nie było jakiego wypadku. Skorzystałem z tego czasu, by rozejrzeć się na mapie. Okryto mnie zewsząd płaszczami i przy latarce elektrycznej przejrzałem i zmierzyłem drogę przebytą i tę, która jeszcze była przed nami. Pozwoliłem sobie na wypalenie dwóch papierosów w tym ukryciu. Co za niewypowiedziana przyjemność! Przypomniały mi się młode studenckie lata, gdy się również tak chyłkiem i na schowanego zaciągało dymkiem.

Jakże ciężko jednak było potem wstać i ruszać. Nogi jakby nalane ołowiem, głowa ciężka, twarz i oczy jakieś rozpalone. Jedyne uczucie, jedyna myśl — to wyciągnąć się tu, w tym parowie, i leżeć, niech się co chce dzieje! Z przerażeniem pomyślałem, że tak prawdopodobnie czuje cała kolumna, a do odpoczynku jeszcze daleko, i kto wie, co nas jeszcze po drodze czeka!

Manewrowaliśmy tym wąwozem długo; sądzę, nie mniej, niż dwa i pół kilometra. Orientowałem się, iż pomimo zakrętów idziemy w dobrym kierunku: równolegle do wsi Władysław, w kierunku południowo-wschodnim. Była to najbardziej romantyczna część naszej romantycznej drogi. Wciśnięci w ciasny, o stromych, spadzistych brzegach wąwóz, mogliśmy sobie wyobrażać, że jesteśmy gdzieś w górach, nie na polskiej równinie. Było tu trochę ciemniej, bardziej tajemniczo, a zatem jakgdyby bezpieczniej. Śmiałem się sam z siebie, z tego dziwnego uczucia bezpieczeństwa w ciasnym wąwozie, gdy rozum mój mówił mi akurat co innego, że właśnie w tym głupim parowie najmniejszy oddział nieprzyjacielski może nam zadać jak największe straty. Spieszyłem więc, by wyjść co prędzej na teren bardziej otwarty.

Przewodnik nasz stękał i narzekał, że dalszej drogi nie jest bardzo pewien. Nawinęły się nam po drodze dwie chaty, stojące w rozszerzeniu wąwozu. Kazałem je obejść i, jeżeli są ludzie, ściągnąć stamtąd nowych przewodników. Sam wsze-

dłem do jednej z chałup. Czekając na gospodarza, który się ubierał, wypaliłem z rozkoszą raz jeszcze papierosa. Tu wreszcie rozstrzygnąłem ostatecznie kierunek naszego dalszego marszu.

Po kilku pytaniach przekonałem się, że gospodarze są zawodowymi przemytnikami. Cała ta awantura przeprowadzania nas przez linie rosyjskie niezwykle im się podobała. Opowiedzieli mi, że po drodze Słomniki-Skała przeciągnęło dużo wojska na zachód. Bojów większych nigdzie w tych okolicach nie było. Trochę strzelano dzisiaj wieczór koło Władysława, co to było jednak — nie wiedzą, bo do Władysława nie chodzili.

Wybrałem sobie na mapie lasek, niedaleko od szosy Kraków—Miechów, koło Widomej. Postanowiłem tam dotrzeć. Trzeba było przedtem przeciąć drogę Słomniki—Skała. Kazałem przewodnikowi prowadzić przez pola tak, aby przeciąć tę drogę akurat pośrodku, pomiędzy dwoma wsiami, które, jak przypuszczałem, musiały być zajęte przez maszerujące na zachód wojsko rosyjskie. Na podstawie dotychczasowego doświadczenia z Moskalami przypuszczałem, że uda mi się to zrobić, o ile tam dotrzemy jeszcze w nocy. Co da lasek, do którego dążyłem, aby dać spocząć ludziom, to już rzecz szczęścia. Albo wpadnę tam na przypuszczalną osłonę rosyjską od Krakowa i wtedy pójdę od razu na bagnety na zaskoczonych i niespodziewających się niczego z tyłu nieprzyjaciół, by drogę do Krakowa sobie otworzyć, albo, gdy będę szczęśliwszy, spocznę w lesie na godzinę lub półtorej po tak piekielnie nużącym marszu.

Przewodnicy w lot zrozumieli moje polecenie i obiecali sprawnie nas doprowadzić. Starego przewodnika z Wiktorki, pomimo, iż błagał, abym go zostawił, wziąłem ze sobą. Bałem się, by nie spotkał gdzie kręcących się kozaków i nie naprowadził ich na nas. A teraz marsz! E! jeszcze jednego papierosa, tym przyjemniejszego, że jakby skradzionego od siebie samego, wypalonego z pośpiechem. Wyznaję otwarcie, że w tej chwili nie miałem nadziei zapalenia nazajutrz spokojnie papierosa w Krakowie. Wydawało mi się to prawie niepodobieństwem.

Nasz wąwóz znacznie się rozszerza, na prawo z dala migocą jakieś światełka, od wąwozu idą na lewo rozgałęzienia. Przewodnik wskazuje na prawo i mówi, że takbyśmy szli na Iwanowice, ale my musimy teraz wyjść z wąwozu na górę, na drogę, prowadzącą z Władysława do Celiny, gdzie, jak mnie zapewniają, nocuje kawaleria rosyjska, i stamtąd przez pola, wprost na drogę od Słomnik do Skały.

Wyjście z wąwozu jest jeszcze bardziej strome, niż zejście do niego. Drapię się w górę rękami i nogami, serce mi się

tłucze gwałtownie w piersiach, myślę z przerażeniem o kasztance, która ma tę samą drogę odbywać, wreszcie staję zasapany na górze. Rzucam okiem na wszystkie strony. Na lewo w mgle widzę koniec wsi Władysław, przed sobą o sto kroków szereg drzew, stojących prawdopodobnie na miedzy, na prawo rozgałęzienie wąwozu, a za nim szeroka przestrzeń szarego, zoranego pola. Posuwamy się naprzód. Z wąwozu z trudem wyłazi za mną kompania za kompanią. I nagle gdzieś na lewo od nas padają strzały. Jeden, drugi, potem kilka naraz. Kule nie gwiżdżą nad nami, więc nie w naszym kierunku strzelają. Wszystko zamarło. Bezwiednie podniosłem rękę, by zatrzymać kolumnę; słyszę szeptem dany rozkaz Śmigłego: — Padnij! — Żołnierze i przewodnicy znikli, przywarli do ziemi.

Wysunąłem się ze Śmigłym przed szpicę ku drzewom, tam położyłem się i zacząłem uważnie wpatrywać się w szaro-srebrną przestrzeń. Całą duszę włożyłem w oczy, by przebić nimi zasłonę mgiełki, a na dnie duszy dręczące pytanie — czyżby już? Nie. Strzałów więcej nie ma. Na lewo, w stronę Władysława, nic nie widzę, wprost przed sobą także. Zwracam oczy na prawo i... widzę jasno o paręset kroków od siebie kilku konnych. Jadą stępa, jeden na przedzie, o kilka kroków za nim trzech innych. Odróżniam, że nie są to nasi; nad nimi, we mgle, widzę coś jakby długą kreskę, wznoszącą się ku niebu — piki, w które uzbrojona jest cała kawaleria rosyjska, nasi zaś ułani i kawaleria austriacka ich nie posiadają. W głowie przemyka mi się znowu tysiąc myśli, będących odpowiedzią na ciężkie pytanie: co robić?

Od nawału myśli zamykam oczy, by lepiej zastanowić się nad rozkazem, który mam wydać w tej chwili i... o, przerażenie, a zarazem ulga! Przez zamknięte oczy widzę ten sam obraz: szaro-srebrną równinę, a na niej, jak duchy bezszelestne, konne postacie, zbliżające się ku nam.

— Do licha! Tego brakowało! Mam halucynacje!

Zbieram całą siłę woli, szczypię siebie i otwieram oczy. Nie, nic nie ma, nie widzę nic. Zastanawiam się chwilę i uderzam się w czoło.

— Ośle! — powiadam sobie — przecież przy tym oświetleniu, gdybyś widział piki, tobyś na pewno słyszał też tupot koni! A przecież jest cicho! Nie marnować czasu!

— Nic nie ma — szepce mi w tym samym czasie Śmigły — chyba można ruszać? Co, Komendancie?

— Naturalnie, ruszać! — mówię już głośno, żeby przerwać tę niesamowitą atmosferę.

Ruszamy. Wychodzimy na drogę, po której, niestety,

idziemy bardzo niewielki kawałek, i gdy na lewo od nas zamigotały światełka z Celiny, skręcamy na prawo — na szerokie, zaorane pole. Znowu zmęczone nogi toną w jakiejś miękkiej masie, niezgrabnie zaczepiają o bruzdy, znowu serce od czasu do czasu wyrabia jakieś głupie brewerie w piersiach. Słyszę raz po raz, gdzieś daleko w tyle, strzały. Dla wyjaśnienia sprawy posyłam do ariergardy z zapytaniem, co się dzieje? — Nic, u nich spokojnie, strzelają gdzieś dalej na północy.

Zaczynam opadać z sił. Przemagam się, lecz czuję, że wkrótce padnę. Zjadłem już całą bułkę i wszystkie cukierki, gościnnie mi wpakowane w Ulinie przez Młodzianowskiego, — nie pomaga! W głowie kręci się wciąż głupia myśl.

— Mój ty mocny Boże! I po co pozwoliłeś, by ci ludzie tyle tego pola zaorali, nogi poprostu tęsknią do jakiejś zmiany. Niechby była nawet mokra łąka, byle nie to jakieś głupie, niedopieczone ciasto, z którego tak ciężko wyciągać nogi!

Może dać spokój? Oddać komendę szefowi, samemu odejść na tyły i siąść na kasztankę; niech ta, jak umie, wyciąga nogi z tej monotonnej, zoranej ziemi. Nie, nie mogę! Przypomina mi się znowu: *Tu l'as voulu George Dandin!* Tyś tę awanturę wymyślił. Tyś naraził wszystkich na to szalone ryzyko dla romantycznej hekatomby w Krakowie czy na Podhalu, nie wolno ci przed końcem, gdy ludzie tak samo, jak ty, są zmęczeni, zrzucać z siebie odpowiedzialności. Muszę jednak szukać pomocy. Biorę pod rękę Śmigłego, opieram się mocno — jest lepiej! Dla ulżenia sobie zaczynam myśleć o Moskalach, których zostawiłem za sobą. Zaalarmowani ze wszystkich stron, zbiorą się szukać nas w Ulinie. Będą mieli głupie miny, gdy się okaże, że ptaszek wyfrunął. A te strzały za nami. Pewnikiem teraz po nocy z «nerwów» nie poznają jeden drugiego i strzelają do siebie wzajemnie. Te myśli robią mi znaczną ulgę. Taką psotę wyprawić nieprzyjacielowi!

Patrzę na zegarek — zbliża się piąta. Oho! Zaraz już świt. Jak tam jest z naszą drogą? — Przewodnicy! Czy daleko?

— Już jesteśmy prawie przy drodze Słomniki—Skała — szepczą mi w odpowiedzi. — Za chwilę będziemy widzieć domy.

Istotnie. Srebrne blaski księżyca już znikły, zastąpione przez jednostajną szarość świtu. W tym szarym półmroku odróżniam na prawo i lewo domy obu wsi, pomiędzy którymi mamy przeciąć duży gościniec.

Zapomniane zmęczenie! Porzucam opiekuńcze ramię Śmigłego, znowu mam siebie w garści, a oczy skwapliwie badają przestrzeń. Zwalniamy kroku, by lepiej się rozejrzeć. Na gościńcu, w tym miejscu, gdzie mamy go przeciąć, nie ma ni-

kogo — pusto. W najbliższych domach, we wsi na prawo jest jakiś ruch. W różnych kierunkach posuwają się ogniki latarń. To jest wojsko! Chłopi u nas po wsiach latarń, by trafić do swej stodoły, nie używają. Ba! Widzę w najbliższym domu, jak błyska ogień od zapałki i potem we mgle, od czasu do czasu, żarzy się ogień od papierosa. Ogień błyska wprost w oczy, więc twarz palącego jest skierowana ku nam. Ciekaw jestem, czy widzi on naszą kolumnę, — przecie jest taka widoczna już przy tym świcie. Latarń jest dużo, musi to być albo tabor, albo artyleria.

Błyska mi szalona myśl. Skierować kolumnę wprost na wieś. Nagłym napadem zakłócić spokój tam panujący, zabrać co się da i hajda do Krakowa! Opanowuję się. Do Krakowa jeszcze szmat drogi, jeszcze po drodze do niego muszą być gdzieś Moskale. Niech śpi licho! Napad by się udał, lecz potem będzie zbyt trudno. Zdążą obskoczyć i zatrzymać. Marsz więc dalej, gdy szczęśliwie nas nie dostrzega ta «wredna istota» z widocznym papierosem w niewidzialnej gębie.

Wchodzimy na ubity gościniec, przekraczamy go, by wejść znowu na zorane pole. Skręcamy ku wschodowi. Oglądamy się parę razy, czy nie ma we wsi alarmu. Nie, cicho i spokojnie. Cała kolumna długości kilometrowej prześlizgnęła się przez gościniec. Ba! z daleka widzę zieloną ścianę lasu — cel najbliższy mego marszu. Czas już, bardzo czas: jest prawie zupełnie jasno, tym bardziej, że chmury się rozeszły, niebo jest czyste. Wzdłuż traktu krakowskiego, jak go nazywają w Królestwie, a warszawskiego — w Krakowie, biegną słupy telegraficzne. Na gościńcu nie widać żadnego ruchu. Przeskakuję przez rów, wdrapuję się na szosę, zapuszczam ciekawy wzrok w gęstwinę pobliskiego lasu i oczekuję jakiegoś zawołania lub strzału. Nie! nic nie ma i cała kolumna szybkim, żwawym krokiem wkrótce kryje się w lesie.

Ach, jakaż ulga! Co będzie, to będzie! Awantura nie skończona, do Krakowa mam jeszcze 16 kilometrów i nie wiem, co spotkam po drodze. Ale odpoczynek pewny. Nie jest tak źle na świecie!

Rzucam rozkazy o osłonie lasu ze wszystkich stron, zapowiadam odpoczynek z bronią przy sobie, każę nabijać karabiny i wreszcie odpocząć, odpocząć, wypalić papierosa! Widzę na twarzach wszystkich radosne uśmiechy. Znajduje się u kogoś w manierce zimna herbata, oficerowie rzucają mi płaszcze na ziemię. Kładę się na nie, piję herbatę, palę, uśmiecham się równie radośnie, jak inni, do wschodzącego na czyste niebo słońca. Zapomniane są ciężary, zapomniana męka decyzyj i zwątpień. Tak dobrze żyć na tym bożym świecie...

Po chwili zasypiam, każąc przedtem obudzić się za pół godziny. Zasypiam z rozkoszną myślą, że dalej już poniosą mnie nie własne nogi lecz nogi mojej kasztanki, która tuż niedaleko szczypie jesienną, zwiędłą trawę.

Budzę się od huku wystrzału, budzę się, nie będąc pewnym, czy to mi się przyśniło, czy tu istotnie ktoś strzelił. Zrywam się i siadam, sięgając bezwiednie po brauning na pasie. Już oficerowie pobiegli sprawdzić, co się dzieje. Słucham, a las rozbrzmiewa brzękiem wesołych, młodych szmerów i głosów. Miałem wrażenie, że jestem na majówce z jakąś szkołą. Słońce świeciło, napełniając las blaskiem, poprzecinanym wesołymi plamami. Żołnierze zachowują się, jak miłe dzieci.

Było to ogólne odetchnięcie po przebytych trudach i wrażeniach. Ten las wydawał się końcem naszych niebezpieczeństw, jakimś pewnym, niewzruszalnym ukryciem. Wszyscy byli zachwyceni, że jesteśmy tak blisko od Krakowa, nikt nie chciał rozumieć, że kto wie, czy i teraz nie jesteśmy wśród nieprzyjaciół. Zerwałem się, by przerwać ten majówkowy nastrój.

Nakazałem zbiórkę batalionom. Obszedłem wszystkie, z piątym rozprawiłem się ostro za spanie na forpocztach pod Uliną. Kazałem wszystkim być na pogotowiu do marszu, nie czynić żadnych hałasów, nie rozpalać ogni, oficerom być przy swoich oddziałach.

Bezwiednie jednak i sam poddawałem się poczuciu względnego bezpieczeństwa. Dotąd straże, wystawione na skraju lasu, nie doniosły o niczym podejrzanym, na razie nie spostrzeżono żadnego ruchu. Doprawdy, czy nie sen to był cały dzień wczorajszy z tą piekielnie nużącą nocą?

Zaczynam myśleć, co mam robić dalej. Przede wszystkim pójdzie naprzód patrol ułanów, wprost drogą na Michałowice, do Krakowa. Jeśli nie spotka Moskali, to ostrzeże najbliższe forpoczty, by nie strzelano do nas, gdy ujrzą kolumnę piechoty, zbliżającą się do fortecy. W dziesięć minut potem awangarda — kompania piechoty, a gdy do niej nikt strzelać nie będzie — reszta w kolumnie szosą do Krakowa. Tak będzie najlepiej.

Dałem odpowiednie rozkazy, pomimo, że wydawały mi się one trochę ryzykownymi.

Przewodnicy zaczęli błagać, bym ich puścił do domu. Zapłaciłem im sowicie, jeden z nich wyprosił nawet starego, siwego konia od kuchni, który zaczął kuleć w drodze. Zapowiedziałem, że pójdą sobie wtedy, gdy my ruszymy dalej, do tego czasu pozostaną pod strażą, pod którą byli dotychczas.

Wreszcie przyszła chwila, którą oznaczyłem z góry, i plu-

ton kawalerii wyskoczył na szosę, ruszając od razu ostrym kłusem ku Krakowowi. Strzałów nie ma. Rzucam dalej kompanię awangardy, a w lesie wyciągam kolumnę. Czas! Na kasztankę i z lasu! Klacz lekko przeskakuje rów przy szosie, jestem na niej i — w tej chwili gwiżdże mi nad głową kula, gdzieś z tyłu za mną wystrzelona. Rzucam okiem na prawo i lewo i, doprawdy, śmiech mnie bierze.

Po szosie tam, na górze, gna mój pluton ułański już gdzieś w początkach Michałowic. Widzę, jak migają wśród domów wiejskich ich czapki, a z obu stron szosy umykają pędem na otaczające wzgórza grupy konnych. To Moskale. Moja kompania awangardowa wysunęła się trochę naprzód, lecz jej gros zatrzymało się przy pierwszych domach, wykonując koło nich jakieś niezrozumiałe dla mnie ewolucje. Z lasu za mną już się wysuwał wąż kolumny moich batalionów. Od czasu do czasu, gdzieś z tyłu za nami, ze strony Słomniczek, jakiś uparty i niewidzialny Moskalik strzelał i kula z jękiem pędziła nad nami w przestworza. Nad tym wszystkim słońce napełnia świat wesołym blaskiem.

— Ruszać! Na wszelki wypadek, po ominięciu pierwszych domów, rozwinąć dwie kompanie na boki, w ślad za uciekającymi kawalerzystami, by nie dać im się zatrzymać i nie pozwolić im ostrzeliwać kolumny. Kompania jedna zostanie w ariergardzie o dobrych kilkaset kroków, przy tych właśnie domach.

Sam spieszę naprzód, by poznać przyczynę zatrzymania się awangardy. Nie potrzebuję pytać: z domów wywlekają moi chłopcy jeńców. Jak się okazało, przy pierwszym ruszeniu plutonu ułanów ukryli się niektórzy z Moskali w domach, reszta z innych chałup umknęła na prawo i lewo od drogi.

Krótkie badanie. Jest ich ośmiu. Trzech z nich z 21-ej dywizji III korpusu kaukazkiego zabłądziło, doganiając swoją dywizję, i przenocowało u kolegów z gwardii. Reszta to gwardziści z finlandzkiego pułku gwardii, z t. zw. «myśliwskiej», raczej wywiadowczej, kompanii, wysłanej naprzód ku Krakowowi na wywiad i osłonę pułku, który został pod Słomniczkami. Ci, co uciekali, są tak samo gwardziści, tylko z «konno-myśliwskiego» oddziału.

— Dalej! Wziąć ich w szeregi! — Naprzód! bo tam przed nami słychać znowu strzały. Tam musi mieć potyczkę mój pluton kawalerii.

Przyspieszonym, żwawym krokiem ruszamy naprzód, kompanie rozwinęły się na boki, i widzę, jak ich łańcuchy tyralierskie zbliżają się ku wzgórzom. Mamy się wszyscy zejść

tam na górze, przy dawnej granicy. W środku wsi Michałowic zastaję paru kawalerzystów, którzy też wzięli jeńców z gwardii, z tegoż finlandzkiego pułku. Zabrano do niewoli dwunastu, z nich jeden ranny, poza tym dwóch zabitych. Było tu więcej Moskali, lecz zaskoczeni z tyłu znienacka, poszli w rozsypkę. U nas strat nie ma. Podporucznik z resztą plutonu popędził dalej do fortecy, wypełnić zlecone mu zadanie. Mam więc dwudziestu jeńców i kilka koni, wziętych pod samym Krakowem.

Była to ta osłona od Krakowa, której się tak bałem poprzednio w swoich rozważaniach. Najzabawniejszym jednak było to, że wkradłem się do lasu niepostrzeżenie pomiędzy przednią straż pułku i sam pułk. Ba! Spędziłem w tym lesie półtorej godziny o kilkaset kroków od noclegu finlandzkich gwardzistów, od miejsca, skąd wyszli na wywiad ku fortecy! Trzeba istotnie mieć z jednej strony szczęście, z drugiej tak źle pełniących służbę wrogów, aby podobny kawał mógł się udać!

Na górze, przy dawnym rosyjskim urzędzie cłowym, spędziłem dobre pół godziny, nim się doczekałem zbiórki całego oddziału. Niebezpieczeństwo minęło, byłem tutaj pod osłoną armat krakowskich. Ogarniało mnie rozleniwienie i jakieś wewnętrzne roztkliwienie na widok moich kochanych chłopców, których na tak straszne przejścia naraziłem i szczęśliwie z matni wyprowadziłem. Gdzieś z pamięci wypływały wspomnienia o tym, jak przed laty z Sulkiewiczem przez tę samą «tamożnię» (urząd cłowy) przejeżdżałem z Krakowa pod obcym nazwiskiem do Królestwa. Jakże to inaczej teraz wyglądało! Przechodziłem tę samą granicę nie jak dawniej ukradkiem, lecz gwałtem, na czele wojska polskiego, niosąc, według swych dawnych marzeń, na ostrzu bagnetów upragnioną swobodę.

Lecz z chwilą, gdy z głowy spadło poczucie odpowiedzialności, brało górę nad wszystkim zmęczenie, zmęczenie fizyczne i nerwowe. Widziałem wszystko, jak we mgle jakiejś, i gdy przyszło ruszać, z trudem dosiadłem konia. Więc we mgle spostrzegłem, że ładna z wiekowych drzew aleja, idąca z Michałowic do Krakowa, znikła, a olbrzymy drzewa, jak trupy po boju, leżały ścięte. Jak we mgle spostrzegłem pierwszy fort krakowski, najeżony zewsząd drutami, spoza których żołnierze przyglądali się nam ciekawie. Jak we mgle widziałem kwiaty, które mi wpychały krakowianki, i jakieś pudełko z ciastkami, w ręce mi wsunięte. Wszystko tonęło mi we mgle.

Obudziła mnie kasztanka, która, nagle chrapiąc, zaczęła zwijać się pode mną i przysiadać na zadzie. Z wielkim hałasem i dudnieniem szedł naprzeciw nas automobil ciężarowy i kasztanka, wychowanica wolnej wsi, protestowała przeciw

takiemu monstrum. A ja, dumny i szczęśliwy, głaszcząc ją po błyskającej złotem w słońcu szyi, uspakajałem ją słowami:

— Głupia, w twoich Czaplach nie byłaś, ale za to jesteś w Krakowie, rozumiesz? W kochanym, cudnym, polskim Krakowie, gdzie żołnierz polski z honorem umrzeć może, rozumiesz? Ty czapelska istoto! Na tobie, na tobie wjadę, głuptasku, do Wilna!

Kasztanka cudów Krakowa przy samochodach zrozumieć nie chciała i drżała jeszcze na całym ciele, choć automobil dawno nas minął. Jego głuche dudnienie i warczenie, dochodzące nas z oddali, nie pozwalało się jej uspokoić.

Zawołałem Śmigłego. Kazałem mu zameldować w komendzie fortecy, że jestem chory. Poleciłem rozkwaterować ludzi i zapowiedzieć w komendzie, że piśmienny raport z wywiadów dzisiaj jeszcze nadeślę. Sam ruszyłem do domu. Rozkaz, jaki dałem służącej, gdym tam ku jej zdumieniu się zjawił, brzmiał:

— Dużo, bardzo dużo herbaty i jeść, a najwięcej spać! — Spać jednak nie udało się! Przyszedł Śmigły z raportem, że go przyjęto kwaśno, że nas tu wcale nie potrzebują i że mamy się co najprędzej wynosić. Kwater mu dać nie chciano, ledwo wytargował pałac Spiski, gdzie przedtem kwaterowali legioniści. Posłałem go na nowe targi i wieczorem otrzymałem pozwolenie pozostania w Krakowie, by ludzi wykąpać i pozwolić im zmienić bieliznę. Musiałem napisać swój raport. Nadszedł wieczór, wykąpałem się i dopiero o godzinie 12 w nocy zasnąłem, rozebrany po raz pierwszy od nieledwie tygodnia. Trzy doby nie spałem, bo godzinki podczas biwaku w Krzywopłotach i kwadransu w lasku przy Widomej liczyć niepodobna. Pamiętam, gdym ruszał na wojnę, wahałem się, czy brać na siebie komendę, gdy mam tak słabe i skłonne do nerwów serce. Gdyby mi wówczas kto powiedział, że nie będę spał trzy dni, że wytrzymam przy tym 30 kilometrowy marsz pieszy po zoranym polu, nie mówiąc o moralnych przejściach, które przeżyłem — nigdybym temu nie uwierzył.

Czekała mnie jednak w Krakowie przyjemna niespodzianka. Oto, zaraz prawie po przyjściu do domu, zameldował mi się Dreszer, którego uważałem za straconego, a gdy i dwaj niefortunni jeźdźcy z jego patrolu przyszli nazajutrz do Krakowa, nie brakowało nikogo z oddziału. Cała szalona nasza eskapada z przemarszem w poprzek jednego nieprzyjacielskiego korpusu i przedniej straży drugiego obeszła się bez strat z naszej strony.

* * *

Teraz, gdy parę lat upłynęło i myślę na zimno o przejściu przez Ulinę, nie mogę się oswobodzić od poczucia, żem przeżył jak gdyby bajkę z tysiąca i jednej nocy. Pomimo woli zawsze zadaję sobie pytanie, jak to było możliwym, gdy wydaje się nieprawdopodobnym.

Przede wszystkim więc decyzję swoją, jak to zaznaczyłem, najzupełniej polityczną, oparłem na fałszywej podstawie pod względem wojennym, na istnieniu korytarza pomiędzy armiami nieprzyjacielskimi i to korytarza, idącego w kierunku południowo-wschodnim, z oparciem o forty Krakowa. Okazało się, że III kaukaski korpus już 9., tego dnia, gdy byłem w Strzegowej, swoją awangardą przemaszerował przez ten korytarz drogami Czaple—Iwanowice i Słomniki—Skała. Jakie były powody tego wyskoczenia naprzód III kaukaskiego korpusu — nie wiem. Marsz ten był tym śmielszym, że na południu flankowała go nie wstrząśnięta niczym forteca — Kraków. Osłona bowiem od tej fortecy, a raczej awangarda tej osłony — pułk finlandzki gwardii — stanął około Słomnik i wysłał swe forpoczty — «myśliwskie kompanie» — ku fortecy dopiero 10 pod wieczór. Stwierdziłem to przy badaniu jeńców, wziętych pod Widomą i w Michałowicach. Jeśli mi wolno postawić hipotezę, to będzie ona następująca: ruch mas rosyjskich był południowo-wschodni, forteca krakowska zmuszała do wystawiania przeciwko niej i zatrzymania zatem pewnej części wojska — w tym wypadku korpusu gwardii — i III korpus kaukaski, zmuszony zrobić miejsce gwardii, wyskoczył naprzód przed inne korpusy.

Faktem jest jednak, że zrobił mi on nadzwyczaj przykrą niespodziankę w Ulinie. Zaznaczę otwarcie, że gdybym choć na chwilę przypuszczał, że wpadnę w taką pułapkę, nie powziąłbym swej decyzji, gdyż wydawałaby mi się ona wprost niemożliwą do przeprowadzenia. Dodam zaś, że wiele, bardzo wiele świetnych czynów wojennych zawdzięcza swe powstanie jedynie fałszywym, nieodpowiadającym istocie rzeczy przypuszczeniom co do nieprzyjaciela, przypuszczeniom, które ułatwiają wykonania decyzji. No, a potem, gdy, «le vin est tiré», następuje konieczność — «il faut le boire» [1]).

W każdym razie, jeśli III kaukaski korpus, wśród którego znalazłem się rano dnia 10 listopada, sprawił mi przykrą niespodziankę i mógł mnie po prostu zdmuchnąć z powierzchni ziemi, to muszę mu przyznać, że uczynił wszystko, aby tego nie dokonać. Dotąd, wyznaję, nie mogę wyjść z podziwu,

[1]) Wino utoczone — trzeba je wypić.

że oddział dwutysięczny mógł spokojnie spędzić dzień cały i przemaszerować noc całą w poprzek korpusu armii, będącego w marszu w bliskości nieprzyjaciela. Jakaś po prostu nadzwyczajna lekkomyślność wojenna ze źle funkcjonującą służbą patroli i osłony. To właściwie było naszym zbawieniem.

Naprzód w Ulinie spędzamy cały dzień, gdy obok nas o parę kilometrów z jednej i drugiej strony maszeruje wojsko, idą transporty wojskowe. Gdybym był nie wysyłał patrolu Wieniawy na zachód, nie zostałbym nawet w przeciągu dnia zaczepiony. Lecz wreszcie jestem odkryty. Dwie sotnie kozaków otrzymuje od nas należyty odpór, więc powinno być jasnym dla Moskali, że nie jest to jakaś banda marudująca lub szukająca nieprzyjaciela, by mu się poddać. Zdawałoby się, że dla uniknięcia możliwego bigosu w dalszym swoim marszu naprzód powinni byliby Rosjanie natychmiast skoncentrować jakąś siłę dla zgniecenia śmiałków. Tymczasem nic się nie dzieje! Dalej na drodze Czaple—Iwanowice ostrzeliwujemy jakiś transport, wreszcie stykamy się z nieprzyjacielem w Czaplach samych. I znowu nic! Potem za Wiktorką sotnia nie ośmiela się zaczepić mojej ariergardy, gdy na nią prawie że najeżdża w nocy. Przez drogę Słomniki—Skała przechodzę kolumną kilometrowej długości tuż obok jakiejś nocującej części wojska rosyjskiego. Wreszcie w Widomej wślizguję się, już o dobrym świcie, pomiędzy pułk i jego osłonę od fortecy. Ba! Półtorej godziny siedzę w lesie o paręset kroków od głównej drogi w tej okolicy i o tyleż kroków od nocujących wywiadowców rosyjskich!

Każde z tych poszczególnych zetknięć z nieprzyjacielem mogło być w tym położeniu początkiem naszej zguby, w najlepszym wypadku — powodem wielkich strat. Każde z nich kończyło się albo niczym, albo nawet naszym tryumfem. Być może, że takie zachowanie się Rosjan było wynikiem ich przekonania o zupełnym rozbiciu armii austriackiej, w każdym razie nasze ocalenie w tej ryzykownej awanturze zawdzięczamy przede wszystkim złemu funkcjonowaniu maszyny wojskowej u Rosjan. Dodać muszę, że gdyby nie decyzja wyjścia do Krakowa, tobym narobił tam w środku maszerującego korpusu bardzo dużo bigosu i przykrości.

Drugą przyczyną udania się wyprawy było niewątpliwie zachowanie się ludności okolicznej. Nie mówię tu o doskonałych przewodnikach-przemytnikach, którzy bez pudła prowadzili po bezdrożach. Ale w samej Ulinie nie przebyliśmy nigdy tak szczęśliwie dnia 10 listopada, gdyby otaczała nas ludność wroga i obca. Nie mówię o mieszkańcach samej Uliny Małej,

bo ta była w moim ręku i stamtąd nie wypuszczałem nikogo. Ale otoczenie! W tak gęsto zaludnionej okolicy wsie leżą bardzo blisko od siebie. Więc Buk, więc Ulina Wielka wiedziały przecież o naszym pobycie w ich sąsiedztwie. Tam władza moja, mój bagnet nie sięgał i w każdej chwili każdy z mieszkańców tych wsi mógł zawiadomić kręcące się patrole nieprzyjacielskie o naszej kryjówce w Ulinie Małej. Nic podobnego się nie stało, zostaliśmy nietknięci i nieodnalezieni aż do spotkania patrolu Wieniawy z kozakami.

Trzecią przyczyną szczęśliwego wyjścia z matni — to my sami, ja i moi drodzy strzelcy. Ze złym wojskiem nigdybym nie zdołał przeprowadzić swego zamiaru. Nie idzie tu o samą technikę przeprowadzenia sprawy i o ciężary pracy fizycznej żołnierza, chociaż one odegrały w tej akcji nie małą, ważną rolę. Myślę przede wszystkim o «morale» wojska. Zaczynając od wymarszu z Wolbromia w kierunku Miechowa, gdym się oddalał od armii austriackiej i szedł ku nieprzyjacielowi, narażałem nerwy swoich podwładnych na niezwykłą próbę. Ja wiedziałem o celu tej próby, oni nie mieli o tym, jak się mówi, zielonego wyobrażenia. Wciągnąłem ich w Ulinę z nocnym wymarszem stamtąd. Wtedy już każdy czuł jakąś niesamowitą atmosferę dokoła i przynajmniej rozwiniętej wyobraźni niepodobna było nie odczuwać oddechu śmierci i zagłady na twarzy. A jednak przez cały czas nie było ani jednej chwili zawahania się «morale» żołnierskiej, braku dyscypliny, czy objawów depresji. Spokojnie, nawet, zgodnie z naszym charakterem narodowym i żołnierskim stylem, trochę lekkomyślnie pełniono służbę nakazaną, bez szemrania i skargi. W ciągu całego marszu nie miałem wcale maruderów, pomimo, że marsz był bardzo uciążliwy, nawet dla wtrenowanego wojska. Po niespanej nocy, po uciążliwym odwrocie z Dęblina, przemaszerowaliśmy nocnym marszem z Uliny do Widomej 25 km [1]) bez odpoczynku w bardzo ciężkich warunkach taktycznych, szliśmy większą część marszu po zoranym polu, nie po gładkiej drodze. Dla najlepszego wojska jest to próba nielada! To też na głębokim moim zaufaniu do żołnierza i jego sił moralnych polegała duża część powodzenia. Z innym żołnierzem niebardzobym się odważył na takie ryzyko. Przypuszczam, że ta równowaga ducha żołnierskiego musiała polegać w pewnej mierze na odwrotnym uczuciu u żołnierzy — na zaufaniu do mnie.

[1]) W dotychczasowych wydaniach «Moich pierwszych bojów» wydrukowane zostało 75 klm., co jest niewątpliwie omyłką; odległość z Uliny do Widomej wynosi faktycznie 15, po uwzględnieniu marszu na przełaj, kluczeń i błądzeń mogła wynieść 25 klm.

Sam oglądam się na eskapadę ulińską zawsze z uczuciem dumy i radości. Radości dlatego, że rzadko podczas wojny przeżyłem tyle wrażeń i że nigdy już nie postawiłem na kartę dla osiągnięcia celu tak dużo, jakem zaryzykował 9 listopada. Nie chcę być źle zrozumianym. Nie idzie tu o ryzyko dla ryzyka, o rozkoszowanie się ryzykanctwem, idzie o to, że wojna i wszystkie zjawiska wojenne są połączone z ryzykiem nie fizycznym jedynie, związanym ze śmiercią — jest to ryzyko żołnierskie — lecz ryzykiem przegranej, ryzykiem nieosiągnięcia zamierzonego celu — jest to ryzyko każdego dowódcy. I jeżeli nie sądzono mi zaznać ryzyka wielkich przedsięwzięć wojennych, to na swoją skalę zaryzykowałem podczas Uliny prawie wszystkim. Dla celu, który uznałem za godny tego, postawiłem na kartę swej umiejętności, zdolności, jednym słowem na siebie, prawie wszystko, co miałem najdroższego — to, co uważałem za zawiązek wojska polskiego.

Z dumą zaś patrzę na Ulinę dlatego, że powziąwszy postanowienie zupełnie samodzielnie, bez odpowiedzialności przed kimkolwiek, nie cofnąłem się do końca przed jego przeprowadzeniem, pomimo, iż trudności spiętrzały mi się na każdym kroku, a ryzyko z każdą chwilą zwiększało się do niemożliwości. Otwarcie też wyznaję, że dopiero po Ulinie zacząłem sobie ufać i wierzyć w swoje siły. I być może właśnie dlatego słyszałem nieraz potem słowa moich żołnierzy: — Teraz za Komendantem pójdziemy wszędzie! Jeżeli on nas wyprowadził z Uliny, to już jesteśmy spokojni!

Był to więc jakby mój egzamin, który złożyłem zarówno przed sobą, jak przed żołnierzami.

Skończono w Magdeburgu, w więzieniu, dnia 7 września 1917 r.

LIMANOWA — MARCINKOWICE

Wielka, historyczna bitwa pod Limanową zaczyna się dla świata coś koło 8 grudnia, dla mnie i dla mego oddziału rozpoczyna się daleko wcześniej, mianowicie — od 20 listopada. W ogólnym położeniu bowiem militarnym olbrzymich frontów i milionowych zapasów początki tej bitwy względnie niewielkie miały znaczenie dla obu stron walczących. Niewielkie też ilości wojska brały tam udział — parę dywizji kawalerii, trochę armat, wreszcie dziwna mieszanina wszelkiego rodzaju drugorzędnych formacji, które to zjawiały się na froncie, to znów znikały, ustępując miejsca innym. Ja z mymi trzema batalionami, kawalerią, w końcu artylerią walczyłem cały czas mniej więcej w tej samej okolicy — pomiędzy Dobrą—Jurkowem, Dunajcem, od Nowego Sącza do Marcinkowic; osłaniałem z jednej strony kolej Sucha—Mszana Dolna, po której szły raz wraz nowe transporty wojskowe, austriackie i niemieckie, z drugiej strony stanowiłem osłonę od wschodu, od Rosjan, flankujących wojska, idące frontem na północ, na Bochnię—Tarnów.

Oryginalnym był wówczas ten front, w schody wyłamany! Pod Krakowem Austriacy starali się złamać południowe skrzydło Rosjan, walczących pod Pilicą i Krzywopłotami, z frontem na zachód. Moskale od Bochni znowu napierali na wschodnią flankę swych nieprzyjaciół, na tych zaś znowu od południa robiły nacisk mieszane austriacko-niemieckie wojska. Moskale od Dunajca szukali ich skrzydła przez nacisk na Limanową i Dobrą i znowu armia gen. Boroewica od Węgier parła na północ ku Nowemu Sączowi, by oskrzydlić ruch Rosjan na wschód pod Limanową. Ostatecznie, jak wiadomo, pod Limanową i Nowym Sączem te wszystkie wzajemne oskrzydlania się skończyły się porażką Rosjan i front ich w Królestwie i Galicji cofnął się na wschód, na linię Dunajca i Nidy.

Historia wielkiej wojny nazywa więc bitwą pod Limanową te ostatnie zmagania się dobrych paru setek tysięcy wojaków wśród podhalańskich gór koło Limanowej i Nowego

Sącza. Dla nas zaś, powtarzam, bitwą pod Limanową rozpoczęła się wtedy, gdy teren przyszłych wielkich bojów był prawie pustym i gdy w grę z jednej i z drugiej strony wchodziła prawie sama kawaleria. Jedyną piechotą przez dłuższy czas były w tym miejscu moje trzy, bardzo zresztą liczebnie słabe, bataliony.

Nie mając obecnie w swym posiadaniu żadnych źródeł, któreby mi pozwoliły przedstawić nasz udział w całej bitwie limanowskiej, nie będę się kusił o jakikolwiek ścisły tych bojów opis. Traktować je będę tylko epizodycznie, jako wstęp do właściwego tematu, do boju naszego 6 grudnia pod Marcinkowicami, który to bój jest najjaskrawszym epizodem naszego, jak go nazywam, tańca koło Limanowej.

Dnia tego byliśmy sami — niewielka garstka — wobec ogromnej przemocy nieprzyjacieli. Osobiście zaliczam dzień ten do najcięższej przeżytych w ciągu wojny. Wspominać takie dnie jest najprzyjemniej, analizować ich przeżycia najużyteczniej. Nasz bój pod Marcinkowicami z posuwającym się na wschód VIII korpusem rosyjskim był właściwie wstępem do ostatecznych bojów pod Limanową. Po raz pierwszy wtedy na to pole bitwy wystąpiły do boju wielkie masy wojskowe.

Po wyjściu z Uliny do Krakowa, jak to już opisywałem, okazaliśmy się całkiem zbytecznymi dla obrony prastarej stolicy. Uznano, zdaje się, że nasz pobyt w Krakowie byłby nawet po prostu szkodliwym. Pozbyto się więc nas stamtąd możliwie prędko, bez wielkich formalności i ceremonii. Zresztą pobyt w Krakowie istotnie byłby przykry. Stosunki wojskowe mniej więcej przypominałyby stosunki w I korpusie, a masowa ewakuacja z fortecy doprowadziła miasto do zupełnej jakiejś prostracji. Ani śladu nie znalazłem tego żywego tętna życia, które biło w początku wojny. Polacy dali się po prostu wykopać ze swej stolicy i miasto miało jakiś charakter niepolski — raczej czesko-niemiecki — wobec ogromnego napływu wojska i jego instytucyj. Użyłem więc wszystkich możliwych wybiegów, aby zostać na Podhalu, gdzie według swego zasadniczego planu chciałem umrzeć ze swoim oddziałem, broniąc zarówno honoru żołnierza polskiego, jak i ostatniej piędzi ziemi polskiej przed najazdem.

Starania o pozostawienie mnie na Podhalu poszły mi nadspodziewanie łatwo. Po pobycie w głównej kwaterze pojechałem jeszcze do Zagłębia, by tam dać raz jeszcze instrukcje pozostałym batalionom i artylerii. Zawiadomiłem je, że idę gdzieś pod Mszanę Dolną, uważam jednak jako swoje tyły Nowy Targ, gdzie postaram się ostać i gdzie musi nastąpić zbiórka

całego mego oddziału. Popędziłem potem automobilem do Makowa, gdzie zebrały się moje trzy bataliony i kawaleria po tygodniowym odpoczynku w Zawoi. Oddział był w stanie ciężkim pod względem gospodarczym. Mundury poszarpane, bez taborów i kuchni. Rozpoczęto dopiero teraz starania o usunięcie tych braków, a tu czas naglił. Z głównej kwatery zjawił się kapitan sztabu, który zapowiedział, że natychmiast ma nastąpić wyjazd koleją do Mszany Dolnej, a stamtąd marsz na Dobrą, na pomoc korpusowi kawalerii gen. Nagy, który znajdował się wobec przemożnego jakoby nieprzyjaciela. Korpus ten składał się z dwóch dywizji kawalerii: — 6. i 2. honwedzkiej.

Piechotę wyprawiłem koleją, kawaleria ruszyła konno, a ja z Szefem wyjechaliśmy automobilem. Jechaliśmy wzdłuż tak dobrze mi znanej drogi do Zakopanego, na Jordanów, Chabówkę. Po drodze, gdziekolwiek się zatrzymywałem, spotykałem panikę z powodu zbliżającego się nieprzyjaciela. Jakieś dziwaczne niewiarygodne pogłoski o jego posuwaniu się naprzód wywoływały wszędzie atmosferę nerwową i naprężoną. Te same «nerwy», skłonne dać wiarę wszystkiemu, co tchnie pesymistyczną oceną sytuacji, spotykałem u wojskowych, u kolejarzy, u t. zw. inteligencji. Wzruszano ramionami, gdyśmy mówili, że idziemy do Dobrej, która, jak przecie z pewnością wiadomo, jest w rękach Moskali. Spodziewano się Rosjan lada chwila w Jordanowie, widziano ich jakoby pod Nowym Targiem. Panował jakiś nastrój, pełny paniki i przerażenia, jakaś dziwna skłonność do dawania wiary pogłoskom najmniej prawdopodobnym. Co do mnie, «nerwów» na wojnie nie znoszę i starałem się zawsze, zarówno siebie, jak i swoich podwładnych, wychować w «spokoju», chociażby niekiedy przesadnym. Ale niewątpliwie cała ta atmosfera paniki nie mogła zmienić mej pesymistycznej oceny sytuacji ogólnej, oceny, z którą wyszedłem z ostatniej bitwy pod Dęblinem i z odwrotu pod Kraków. Tym mocniej, tym silniej układałem w głowie plany «hekatomby» podhalańskiej.

Tym razem jednak nasz pierwszy występ na nowym teatrze wojny miał być tryumfem, który na długo zapewnił nam szacunek otoczenia. Rzecz się tak miała.

Wraz z wcześnie zapadającym wieczorem chwytał mróz coraz silniejszy. Kawaleria, mając konie lekko podkute, posuwała się bardzo powoli po śliskiej do niemożliwości szosie. Patrol jeden skierowałem na Nowy Targ wobec dzikich pogłosek, że tam jakoby mają być Moskale. Gdym przyjechał do Mszany Dolnej, piechota moja już dawno stamtąd ruszyła do Dobrej, popędzana mrozem. W Mszanej dowiedziałem się, że

w Dobrej stoi już część 6 dywizji kawalerii austriackiej, lecz gdzie są generałowie 6 i 2 dywizji, u których miałem się meldować, nikt mi tego wyjaśnić nie był w stanie. Pojechałem do Dobrej. Dopędziłem swoją piechotę u początku wsi, w miejscu, gdzie od szosy odchodzi droga na południe do Jurkowa. Wojsko stało na mrozie, nie wiedząc, co czynić. Miałem kwaterować w Dobrej, lecz kwatermistrze już stamtąd wrócili, zapewniając, że cała wieś jest zajęta i chyba gwałtem da się jakąś część oddziału wcisnąć. Wiedziałem z góry z doświadczeń z I korpusem, co to znaczy! Grubiańskie kłótnie o każdą chatę, obojętny albo wręcz wrogi stosunek w tych wypadkach władzy. Do tego w tej chwili musiałbym mieć do czynienia z kawalerią, która, mając konie, rozkwaterowuje się szeroko. — Dziękuję za taką przyjemność! — pomyślałem.

Wszedłem do karczmy, aby się rozmówić z oficerami i na mapie rozejrzeć się, jak zaradzić złemu. Nie mogliśmy przecież stać całą noc na mrozie, który dochodził do 20 stopni, od górskich zaś dolin szedł zimny przenikliwy ciąg, co jeszcze bardziej powiększało chłód. Chłopcy rozpalili ognie i gwałtownie tupali nogami, skakali, uderzali rękami o biodra na rozgrzewkę.

W karczmie było pełno ludzi, duszno i gwarno. Górale, żołnierze, oficerowie, wszystko to paliło, rozprawiało, wchodziło i wychodziło. Od razu dowiedziałem się, że Jurków nie jest przez wojsko zajęty, dalej, że w Chyżówkach pokazali się dzisiaj pod wieczór Moskale. O sile ich nikt nie mógł mnie dokładnie poinformować, ale z ogółu danych wywnioskowałem, że ilość ich jest względnie niewielka. Zresztą i przypuszczać nie mogłem, by do tak zapadłej dziury, osobliwie, gdy Dobra była zajęta, wtłoczono większą ilość wojska. W każdym razie dla wojska w Dobrej nie było to wygodnym mieć tuż obok Moskali. Zdecydowałem więc od razu, że V i I bataliony rozlokują się w Jurkowie, III i II*) w Chyżówkach. Uprzedziłem obu dowódców batalionów, by byli ostrożnymi, i idąc do Chyżówek, wzięli z sobą przewodników miejscowych, a Śmigłemu, doganiającemu swój batalion, wypowiedziałem swoje przeczucia, że o nocleg będzie musiał pewnie walczyć z Moskalami.

Istotnie. Okazało się, że w Chyżówkach nocuje cały szwa-

*) Batalion II wrócił świeżo z nadzwyczaj nużącej eskapady z 79-tą dywizją jazdy austriackiej pod Modlin i Warszawę. Miał tak małe liczebnie stany i tak był przemęczony, żem go odesłał po Chyżówkach jak najprędzej jako chorych do Nowego Targu, gdzie i sam spodziewałem się wkrótce znaleźć.

dron ułański. Ułani rosyjscy źle pełnili służbę forpocztową; moi chłopcy, prowadzeni przez górali, bardzo zręcznie obstawili wieś tak, że w nocy wzięto do niewoli cały szwadron z pięcioma oficerami. Straty nasze tej nocy były minimalne — jeden żołnierz zabity, drugi ranny, dziwnym trafem dwaj bracia. Ułani rosyjscy też mieli strat mało, coś kilku zabitych i rannych. Zaskoczeni znienacka, po bardzo krótkim oporze, gromadnie się poddali. Uciekło tylko zaledwie kilkunastu żołnierzy i dwóch oficerów; jednego z nich zresztą w dwa dni potem ujęto.

Przy ówczesnym nerwowym nastroju tego frontu sukces nasz był tryumfem nielada, zwłaszcza, że wypadki wzięcia do niewoli całych jednostek jazdy zdarzają się w ogóle rzadko, a dokonaliśmy tego właśnie na oczach korpusu kawalerii. Tryumf nasz był tym większy, że — jak się okazało z badań jeńców — szwadron ten był specjalnie dobrany z całego pułku ułanów rosyjskich. Dano mu najlepsze konie, względnie dużą liczbę oficerów, wreszcie doborowy materiał ludzki. Szwadron wysłano naprzód z rozkazem, by dotarł do Mszany albo i dalej, sprawdził niejasne wiadomosci, które doszły gen. Dragomirowa, dowodzącego dywizją jazdy rosyjskiej, o ruchu wojsk austriackich, i by wreszcie zepsuł kolej Sucha—Mszana Dolna.

Nie brałem osobistego, bezpośredniego udziału w tym epizodzie zagarnięcia szwadronu do niewoli. Nie będę więc wchodził w szczegóły tej akcji, gdyż zgodnie z planem swojej pracy chcę trzymać się metody czysto pamiętnikowej, mając na usługi, przy braku źródeł pod ręką, jedynie swą pamięć.

Dowodzili pod Chyżówkami z początku Wieczorkiewicz i Wilczyński, w końcu Śmigły. Utkwił mi w pamięci jeden szczegół tej akcji, gdyż był przedmiotem rozlicznych rozmów moich żołnierzy i oficerów. Jeden z oficerów rosyjskich, zaskoczony znienacka u progu swej kwatery, poddał się, lecz nie został przez chłopców ani zrewidowany, ani odprowadzony do miejsca zbiórki jeńców. Gdy inni żołnierze nadeszli, wyjął rewolwer i strzelił kilka razy do napadających. Jednego z nich zabił, drugiego ranił — byli to owi dwaj bracia, o których, mówiąc o stratach, już wspomniałem — i, korzystając z ciemności, uciekł z innym oficerem, pomimo, że posypały się za nim gęsto kule. Żołnierze, idąc przy świcie za śladami po śniegu, znaleźli obu w jakimś górskim wąwozie, z którego jeden z uciekających — otyły sztabs-rotmistrz — nie mógł się wydostać. Niektórzy żołnierze prosili mnie, abym kazał rozstrzelać oficera, który zabił ich kolegę, gdyż użył on broni już po poddaniu się. Naturalnie, ani przez głowę nie przeszła mi myśl podobna, gdyż każdy z nas postąpiłby tak samo, wyko-

rzystując gapiostwo jednych, którzy oficera, nie odebrawszy mu broni, zostawili bez opieki, i brak sprytu drugich, którzy jeńca z rąk wypuścili. Ba, każdy właściwie musiałby pochwalić takiego oficera za mężne zachowanie się wobec przemocy nieprzyjacielskiej i za próbę połączenia się ze swoimi, gdy dokoła inni jego koledzy masowo się poddawali.

Gdym stanął rano kwaterą na plebanii w Jurkowie, miałem od razu mnóstwo roboty. Naprzód musiałem zbadać jeńców. Wśród nich była spora garstka Polaków, którzy chętnie rozwiązywali języki w otoczeniu rodaków. Zresztą nie potrzebowałem się uciekać do ich patriotycznych uczuć, żołnierz bowiem rosyjski w ogóle rzadko nie mówi prawdy, będąc pytany przy badaniu. Jest w nim jakby bezwiedne posłuszeństwo dla każdej danej władzy, a gdy się do niego mówi jego własnym językiem i formułami wojskowymi, do których jego ucho jest przyzwyczajone, zapomina on o tym, że nie mówi przed własną komendą. Najczęściej jednak żołnierze rosyjscy mało są rozgarnięci i niewiele interesują się sprawami wojny, tak, że bardzo mało można się od nich dowiedzieć poza ciasnym kołem ich wiadomości o własnym pułku czy batalionie. Już znacznie sprytniejsi i znacznie więcej z tego powodu wiedzą Polacy, najbardziej zaś Żydzi, którzy z przyzwyczajenia zawsze wszędzie węszą i mają ciekawe oczy i uszy. I teraz więc, badając jeńców, bardzo szybko wyciągnąłem od nich te wiadomości, których mogli mi dostarczyć. Kwestii zaś najbardziej interesującej, czy poza dywizją Dragomirowa jest i piechota przed nami, nikt z nich, gdyby nawet chciał, nie mógł mi wyświetlić.

Po Chyżówkach nie potrzebowałem się meldować u swoich generałów. Ciekawość ich paliła. Już rano przyjechał do mnie komendant dywizji 6-ej. Tego brała trochę zazdrość. Jego oficer sztabu chciał nawet część zasługi wzięcia szwadronu do niewoli przypisać swojej dywizji, powołując się na raport jakiegoś patrolu austriackiego, nadeszły jakoby do Dobrej, a mówiący o tym, że nieprzyjaciel znajduje się w Chyżówkach. Oficer ten chciał wmówić we mnie, że od tego patrolu dowiedziałem się jakoby o Moskalach i dlatego właśnie skierowałem swój batalion do Chyżówek. Zaprzeczyłem temu najstaranniej. Wysłałem swe oddziały do Chyżówek jedynie dlatego, że wydawało mi się rzeczą nieco nieostrożną nocować spokojnie w Dobrej bez zabezpieczenia się od równolegle biegnącej górami drogi, prowadzącej od Limanowej przez Chyżówki do Jurkowa. Co prawda, była to dzika górska droga, ale jednak, jak się okazało, możliwa nawet dla kawalerii. Zaraz potem zjawił się u mnie generał Nagy, dowódca całego frontu pod

Limanową. Powinszował mi powodzenia i zaczął rozpytywać o stan wojska. Okazał się człowiekiem bardzo miłym i, co rzadko dotąd spotykałem, zupełnie nieuprzedzonym do takiej formacji, jak Legiony. Bardzo być może, że był to wpływ jego węgierskiego pochodzenia. Wzruszał ramionami, gdy się dowiedział, że nie posiadamy karabinów maszynowych, telefonów, ani dostatecznego wyekwipowania. Obiecał o wszystko się postarać, tymczasem zaś miał nam przykomenderować karabiny maszynowe i artylerię ze swojej węgierskiej dywizji. Zawsze dotąd wspominam ze szczerą wdzięcznością tego generała, którego stosunek był poprostu odetchnięciem od zupełnie nienormalnych stosunków dotychczasowych z Austriakami. Zarówno karabiny maszynowe, jak górskie armaty, przyszły nazajutrz, ale o tym potem. Natomiast zgodnie ze zwyczajem austriackim została zachowana absolutna tajemnica co do celu działania tak mego oddziału, jak i innych wojsk. Pozostawiono to zupełnie memu własnemu domysłowi i samodzielnym hipotezom. Od tego czasu datuje się zwyczaj, który wprowadziłem u siebie w wojsku, że poza wywiadami na nieprzyjaciela prowadziło się stale i systematycznie patrolowanie i w stosunku do otoczenia. Był to często jedyny sposób zorientowania się w tym, co się dzieje naokoło.

Wieczorem tego dnia wobec tego, że jedynym na razie moim zadaniem było pilnowanie «defilé» górskiego w Chyżówkach, zaprosiłem do siebie na kolację pięciu wziętych do niewoli oficerów rosyjskich. Żal mi było, jako żołnierza, rotmistrza, dowodzącego szwadronem. Musiał być porządnym człowiekiem, gdyż żołnierze jego bardzo się cieszyli, że mu się nic złego tej nocy nie stało. Był przygnębiony trochę, chociaż starał się tego nie pokazywać po sobie. Miał jakieś polskie nazwisko, choć był Rosjaninem, i stał kiedyś dłuższy czas z pułkiem w Królestwie, we Włocławku. Oficerowie jego byli mniej sympatyczni, ot — zwyczajni oficerowie rosyjscy. Sztab mój składał się z samych Królewiaków, więc — choć z obrzydliwym akcentem — mówili po rosyjsku. Powoli, gdy pierwsze lody po kilku wódkach stopniały, zaczepiłem o przykry temat, o nocny wypadek w Chyżówkach. Chciałem znaleźć wytłumaczenie, jak to mogło się stać, że szwadron cały tak od razu dał się opanować i bez strat prawie zagarnąć. Rotmistrz dał mi mniej więcej następujące wyjaśnienie:

Był wysłany jako szwadron wywiadowczy, szedł szosą przez Limanową na Dobrą, tu znalazł drogę zajętą: chcąc ominąć przeszkodę, wciągnął się do Chyżówek górską drogą, nie przypuszczając, by na niej mógł spotkać kawalerię austriacką,

gdyż droga nie była wcale dla jazdy stworzona. Noc była bardzo zimna i ciemna, tym mniej przypuszczał, by go zaskoczono. Wiedział przecie, że ma przed sobą jedynie kawalerię austriacką, o której nie miał dobrej opinii i nie sądził, by się zdobyła na inicjatywę. Gdyby był wiedział, że może spotkać piechotę, byłby ostrożniejszy. Wobec tego, że górskie wsie są rozrzucone, nocował w kilku grupach, które samodzielnie wystawiły po kilka posterunków. W nocy nagle usłyszał strzały, żołnierze zaalarmowani zaczęli strzelać po ciemku, nie mając żadnego widocznego celu. I wtedy z kilku stron usłyszał rosyjskie połajanki, wymawiane tak bez zarzutu dobrze, że w tej grupie, gdzie on był, wszyscy osądzili, że to są swoi — Rosjanie. Wobec tego zaprzestano strzelać i nagle spadła na nich nawała, idąca na bagnety. Działo się to tak szybko, że nim się obejrzał, już żołnierze jego się poddali i on sam nie miał nic innego też do zrobienia.

— «Wot bieda — dodał poważnie — bolno artisticzeski waszi riebiata rugajutsia»! (W tym bieda, że pańscy chłopcy zanadto artystycznie klną!)

Myślałem, że umrę od wewnętrznego śmiechu, gdym usłyszał, czemu właściwie zawdzięczam powodzenie! Niesłychany i całkiem nowy pomysł dla taktyki!

Najzabawniejszym było jeszcze to, że przy tej całkiem rosyjskiej kolacji jednym z usługujących ordynansów był też Rosjanin — niejaki Chmielow. Był on wzięty przez nas pod Krakowem do niewoli i razem z kilku innymi prosił, by go pozostawiono u nas i nie odsyłano do obozu jeńców, gdzie, jak słyszał, warunki życia są nadzwyczaj ciężkie. U nas zaś strasznie mu się spodobało, bo — jak mówił — takiego generała jeszcze nie widział, który nigdy nie łaje i nie bije i z którym każdy żołnierz swobodnie, bez obawy mówić może. Sądziłem, że teraz, gdy zobaczy swoich żołnierzy i oficerów, zechce dzielić już dalej losy z nimi. Nie! Poprosił, by go pozostawiono i by przy oficerach z wziętego szwadronu nie mówiono do niego po rosyjsku. Sam zaś przy usługiwaniu starał się wplatać parę słów polskich, których się już zdążył nauczyć. Nazajutrz odesłałem jeńców na tyły.

Z pomiędzy siedmiu oficerów z szwadronu wziętego do niewoli, pięciu ujęto, dwóch uciekło. Jednego z nich złapano na trzeci dzień w oryginalnych okolicznościach. Ruszyliśmy już byli naprzód i, przeszedłszy Chyżówki, długą górską wioszczynę na przełęczy pomiędzy górami Łopień i Mogilnica, spuściliśmy się na dół do Słopnic Królewskich. Tam rano na krzyk jakiejś baby, że jest u niej Moskal, złapano młodego

człowieka i przyprowadzono go do mnie. Był to ładny, młody dwudziestoletni chłopak, o dużych czarnych oczach, miał na sobie cywilne palto i kapelusz, jakąś kurtkę, a obok tego ułańskie spodnie i buty. Przy rewizji znaleziono u niego notatnik z zapisami, świadczącymi o tym, że przez cały czas od nocy w Chyżówkach śledził ruch na szosie i notował każdy oddział. Przy badaniu okazało się, że wdarł się on na górę, gdzie znalazł jakiś szałas i przesiedział tam o głodzie i chłodzie cały dzień, robiąc notatki i pilnie śledząc wszystko, co się naokoło działo. Teraz przedzierał się do swoich ze swymi spostrzeżeniami. Zaszedł zaś do chaty, bo był głodny, i dawał trzy ruble babie za posiłek, lecz ta narobiła wrzasku i biedny trafił do niewoli. Podobała mi się ta brawura i to spełnienie obowiązku aż do końca, nawet wtedy, gdy oficerek został sam i to po ciężkiej porażce swoich. Nie pytałem go więc już o to, skąd wziął ubranie cywilne, i chcąc go uchronić od rozstrzelania, jako szpiega, bo przyłapanego w cywilnym odzieniu, kazałem wyszukać u chłopców szynel żołnierski i czapkę, umundurowałem go z powrotem i odesłałem na tyły. Wychodząc, dziękował mi za to, dodał jednak: — Ale za to, że mnie pan wziął do niewoli, nie dziękuję, nie! Byłbym na pewno miał order świętego Jerzego!

Ten order pewno otrzymał siódmy oficer szwadronu, jakiś Kaukazczyk, który uciekł i przedarł się do generała Dragomirowa z przykrą wiadomością, że jego wyborowy szwadron został w całości wzięty do niewoli. Po kilku dniach zostało wziętych znowu kilku, tym razem dla odmiany, huzarów z dywizji tegoż generała. Ci opowiadali mi, że Dragomirow, wściekły z powodu wypadku w Chyżówkach, miał powiedzieć: — «Jeżeli moi oficerowie nie umieją prowadzić szwadronów, to — niestety — ja, komendant dywizji, muszę jeździć na patrole!»

I jakoby istotnie ruszył z pierwszym patrolem ku nieprzyjacielowi.

Żałuję doprawdy, że nie prowadził on właśnie tego huzarskiego patrolu, z którego wzięliśmy jeńców, miałby sposobność przekonać się, czy dowodziłby nim mądrzej, niż ten oficer, który przypłacił życiem swą nieostrożność. Było to w kilka dni po wzięciu w Chyżówkach szwadronu ułanów. Zdążyliśmy przez ten czas przetańczyć swego kontredansa: byliśmy pod Limanową, cofnęliśmy się do Jurkowa i znowu miałem pilnować przejść przez góry na południe od szosy Dobra—Limanowa. W Chyżówkach stał powtórnie III batalion, zajmując pół wsi, zbliżonej do Jurkowa, mając po obu stronach wsi okopy. Chyżówki dalej ku przełęczy i przełęcz sama nie były

przez nas zajęte, tylko od czasu do czasu chodziły tam patrole. Przy wyjściu doliny Chyżówek do poprzecznej szerszej doliny, w której leżał Jurków, miałem postawione cztery górskie działa. Pod wieczór żołnierze spostrzegli, że po spadzistej drodze od przełęczy zbliżają się jacyś konni. Był to ów patrol huzarski, prowadzony przez oficera.

Teren tamtejszy górzysty z raptownymi spadami, z mnóstwem stromych wąwozów, z górami, silnie zalesionymi, nie nadaje się w ogóle dla działania jazdy, teraz zaś jeszcze listopadowa gruda lub gołoledź czyniła działania kawalerii jeszcze trudniejszymi.

Patrol, liczący 7 koni, szedł wprost do Chyżówek, wsi z mnóstwem płotów, drogą wąziutką, ograniczoną zabudowaniami, mającą w dodatku z jednej strony urwisko, po którym poruszać się konno było niepodobieństwem. Była to lekkomyślność szalona — prowadzić tak patrol. Moi chłopcy wpuścili patrol do wsi bez strzału, chcąc wziąć wszystkich żywcem. Lecz na nieszczęście patrol naskoczył już we wsi na paru kręcących się tam żołnierzy i, spostrzegłszy ich, zawrócił konie i zaczął uciekać w górę ku przełęczy. Wówczas dopiero zaczęto strzelać. Konie ubito, huzarów trzech padło, dwóch wzięto jako jeńców; jeden z nich był ranny, dwóch zaledwie uciekło, stoczywszy się wprzód do parowu obok wsi. Pomiędzy uciekającymi był i oficer, ranny w nogę. Pomimo pościgu nie został ujęty, lecz, jak dowiedziałem się później, dopadł do swoich. Tegoż dnia jednak umarł z upływu krwi i wycieńczenia.

Słyszałem od jeńców, że Dragomirow należał do tej szkoły, jak zresztą niejeden z generałów jazdy w początku wojny, która nie chciała uznawać żadnych przeszkód dla kawalerii, żadnych ograniczeń przy jej użyciu. Zabawnym wtedy było, że właśnie na tym najzupełniej dla jazdy nieodpowiednim terenie walczyła wówczas tylko kawaleria. Moje trzy słabe bataliony przez długi czas były jedyną piechotą na tym odcinku. Z tym samym niestosownym użyciem kawalerii miałem sposobność spotkać się jesienią następnego roku na Polesiu, gdzie na terenie nadzwyczajnie zalesionym, z mnóstwem mokradeł i bagien, również wystąpiły do walki korpusy jazdy, względnie mało użytecznej w tych warunkach.

Wracam jednak do huzarskiego patrolu, którego historia zakończyła się dla mnie bardzo przykrą sceną. Do plebanii jurkowskiej przyprowadzono mi wziętych jeńców na przesłuchanie. Jeden z nich był całkiem zdrów, drugi leżał na wozie, napełnionym słomą, z przestrzeloną piersią. Podoficer, który ich przyprowadził, zameldował mi przy tym:

— Obaj są z Litwy, tak, jak Obywatel Komendant!

Istotnie! Ten, który wyszedł cało, był chłopem z pod Grodna. Na razie przy badaniu próbował żołnierskich sakramentalnych słów: «toczno tak, nikak niet, Wasze Prewoschoditelstwo». Lecz wkrótce, gdym zaczął mówić z polska po białorusku, stopniała na nim ta powłoka, zaczął mi mówić po swojemu, kłaniając się i tytułując, jak Pan Bóg kazał na wsi litewskiej: Panoczku. Dowiedziałem się od niego, że za przełęczą stoi cały pułk huzarów, na który natychmiast kazałem otworzyć ogień z moich dział.

Na pożegnanie mój rodak dostał herbaty i papierosów i, żegnając się już po swojemu: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — dodał:

— «Panoczku! a ten druhi, unteroficyr, znaczy się także hradnieński, ale z obywatelów, nie prosty».

Wyszedłem przed plebanię. Koło wozu stał doktor, który, salutując mi, zameldował:

— Ranny w piersi, już opatrzony, gotów do wysłania dalej.

Zbliżyłem się do rannego. Na wozie leżał młody, przystojny chłopiec o kulturalnych rysach twarzy. Twarz trochę kurczyła się od bólu, oddychał ciężko, oczy zaś jego utkwione były we mnie z jakimś pytającym wyrazem.

— Możecie mówić? — spytałem.

— Mogę, — odpowiedział — a czy mogę zapytać?

— O co idzie?

— Żołnierze mi mówili, że pan także z Litwy, czy prawda?

— Tak, jestem z Litwy, z Wileńskiego.

— Ja z Grodzieńskiego, nazwisko moje Stetkiewicz; wolno wiedzieć, jak pan się nazywa?

— Piłsudski. Miałem w gimnazjum w Wilnie kolegów Stetkiewiczów.

— Krewni — odrzekł z cicha. Łzy mu się zakręciły w oczach, szarpnął swój płaszcz i zakrył nim twarz całą.

Nie chciałem rozmawiać dalej. Było i mnie strasznie przykro, niedaleki byłem od łez. Odwróciłem się i odszedłem, pytając doktora o ranę. Rana nie była lekką, ranny trochę już gorączkował. Kazałem go natychmiast wyprawić do szpitala na tyły. Jeszcze przykrzej mi się zrobiło, gdym przejrzał papiery, znalezione przy rannym podoficerze. Był tam list od matki, świeżo otrzymany. List tchnął głęboką miłością matczyną i wielkim niepokojem o syna. Zarazem jednak zawierał parę rzeczy, które dla mnie były zupełną nowością w moich pojęciach o Litwie. Matka pisała, że wie z gazet, iż jest już pod Krakowem, więc prawdopodobnie dowodzi nim albo generał Ruz-

ski, albo Brusiłow, obaj bohaterowie, za których co dzień modli się w kościele za to, że obronili Litwę. Z pasją rzuciłem list na stół. Jeszczem dotąd żadnej dewotki na Litwie nie widział, modlącej się za Rosjan! Ale ta młoda twarz mego rodaka, ustrzelonego przez moich żołnierzy, dotąd mi stoi w oczach, jak żywe świadectwo ciężaru moralnego, który spadł wraz z wojną na Polskę i Polaków. Przeklęte skutki niewoli! Był to na szczęście jedyny wypadek tzw. bratobójstwa, widziany przeze mnie bezpośrednio. Może z tego powodu, a może dlatego, że dotknął mnie osobiście, jako Litwina i nieledwie znajomego ofiary, utkwił mi ten przykry epizod tak żywo w pamięci.

Mieliśmy podczas całej wojny pod tym względem szczęście, że Polaków wśród nieprzyjaciół bezpośrednio przed sobą nie spotykaliśmy wcale.

Znam z opowiadań tylko jeszcze jeden wypadek zetknięcia się naszego z Polakami, ubranymi we wrogie nam mundury. Wypadek nie tragiczny tym razem. Gdyśmy maszerowali jeszcze na Dęblin, gdzieś koło Radomia prowadzono kolumnę jeńców rosyjskich. Moi chłopcy stali przy drodze i gapili się na nich, czyniąc mniej czy więcej dowcipne uwagi. I nagle z kolumny rozległ się głos do nich:

— Stasiu, smarkaczu jeden, co ty tu robisz?!

Okazało się, że jednym z jeńców był rodzony ojciec mego młodocianego żołnierza.

Poza tym spotykałem Polaków z wojska rosyjskiego, ale jako jeńców, najczęściej dobrowolnie oddających się do niewoli.

Generał Nagy dotrzymał słowa. Nazajutrz po jego wizycie u mnie zameldowali się w Jurkowie por. Besermeny z dwoma karabinami maszynowymi, por. Meisner z czterema górskimi armatami i wreszcie, jako dodatek, rotmistrz honwedów Ulas ze szwadronem spieszonych — «speszonych», jak u nas mówiono — huzarów. Było to przykomenderowanie dla mnie i dla całego oddziałku całkiem nowym i nieznanym zjawiskiem. Obce wojsko, oddane do mego rozporządzenia, — to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie mogę powiedzieć, że mi to nie pochlebiło, choć na razie zrobiło dużo kłopotów. O ile względnie łatwym mi było dowodzić swoim wojskiem, gdzie prawie połowa podwładnych oficerów była moimi uczniami, a całe już wojsko moimi wychowankami wojennymi, których urabiałem według swojej woli i poglądów, o tyle teraz miałem mieć do czynienia, jako z podwładnymi, z oficerami, których urobiła inna szkoła. Uważała ona siebie za wyższą i lepszą i usposabiała swych wy-

chowanków do bardzo krytycznego nastroju względem takich parweniuszów wojskowych, jakimi dla niej byliśmy my wszyscy. W dodatku przyszła konieczność używania obcego języka, którym się źle włada! Postanowiłem być na baczności. Z natury litewskiej, będąc podejrzliwym i nieufnym, wietrzyłem tarcia, skargi, chęć pozowania na nauczycieli, wreszcie, nauczony doświadczeniem w I korpusie, oczekiwałem nietaktownego i niekoleżeńskiego wykorzystywania swych przywilejów. Zdecydowany byłem stanowczo oprzeć się wszystkim próbom tego rodzaju i dlatego od razu bez ceremonii odkomenderowałem karabiny maszynowe pod dowództwo Śmigłego, rotmistrza Ulasa ze «speszonymi» huzarami pod komendę Bojarskiego, zostawiając sobie dowództwo bezpośrednie nad artylerią.

Obawy moje okazały się płonnymi. Trafiłem szczęśliwie na nadzwyczaj przyzwoitych ludzi, z którymi wkrótce ułożyły się stosunki bardzo dobrze. Obaj młodsi oficerowie, Besermeny i Meisner, okazali się bardzo dzielnymi żołnierzami i prędko nauczyli się cenić męstwo i spokój moich żołnierzy, a z oficerami mymi żyć w koleżeńskich stosunkach. Starszy zaś, rotmistrz Ulas, był to tak dobroduszny Węgier, nie wymawiający, z powodu serdecznych wspomnień z czasów 1848 r., inaczej nazwisk Bema i Dembińskiego, jak z wojskowym ukłonem, że Bojarski miał w nim serdecznego przyjaciela.

Z początku, naturalnie, istniała wzajemna nieufność. Zarówno Besermeny, jak Meisner poprostu obawiali się, z czego potem już nie robili sekretu, że przy takiej piechocie jeden straci łatwo swe armaty, a drugi karabiny maszynowe. Istotnie doniesiono mi, że w nocy w obu przydzielonych oddziałach konie są posiodłane i większość ludzi na nogach. Gdy się to powtórzyło, rozgniewałem się. Są dwie rzeczy, których na wojnie nie znoszę. Jedno to «nerwy», drugie zaś — to wynikające zresztą z tych «nerwów» nieznośne dla ludzi i koni alarmy i trzymanie oddziałów w ciągłym naprężeniu pogotowia. Napatrzyłem się tego na wojnie tyle razy. Zawsze przekonywałem się, że dowódcy zamiast w niepewnych wypadkach wziąć na siebie i na swój sztab ciężar pogotowia, zwalają go po prostu na barki swych podwładnych najzupełniej bezcelowo. Nawet w poważnych istotnie chwilach walczyłem ze sobą długo, nim wydusiłem z siebie rozkaz o zwiększonej ostrożności i zarządzeniu alarmowego pogotowia.

Zirytowany więc, zwołałem oficerów na odprawę i poza zwykłymi rozkazami i oceną sytuacji zapowiedziałem, że obowiązkiem oficerów nie jest tylko umiejętnie i odważnie prowadzić swych podkomendnych podczas bitwy, lecz i dbać o to,

by ich żołnierze byli możliwie silni fizycznie i wypoczęci przed bojem. Dlatego też zakazuję urządzać jakiegokolwiek pogotowia bez mego rozkazu. Zwróciwszy się zaś do obcych oficerów, dodałem:

— Na noc konie mają być rozsiodłane, ludzie, oprócz tych, co mają nocną służbę, powinni spać. Ja odpowiadam za bezpieczeństwo i całość oddziału i proszę panów być spokojnymi o to, że w razie istotnego niebezpieczeństwa będziecie na czas zaalarmowani i uprzedzeni.

Widziałem po ich minach, że byli trochę zdziwieni i zaniepokojeni, nie wypowiedzieli jednak ani słowa i, jak się dowiedziałem nazajutrz, zastosowali się bez szemrania do rozkazu.

Po tygodniu, gdyśmy już przebyli parę ryzykownych sytuacyj, spotkała mnie przyjemna satysfakcja. Jeden z przydzielonych oficerów dziękował mi za admonicję, twierdząc, że po raz pierwszy nieledwie na wojnie on, jego ludzie i konie są wypoczęci należycie pomimo odbytej pracy.

— Nauczyłem się, — dodał — jak pańscy oficerowie, zrzucać buty na noc i nawet odważam się rozbierać się spokojnie do snu.

Inny oficer, przykomenderowany do mnie, jako oficer łącznikowy, bardzo miły i przyzwoity Węgier, dziękował mi w jeszcze zabawniejszy sposób.

— Od czasu, jak przy panu jestem, ani razu nie dosiadłem konia niepotrzebnie. Doprawdy, to bardzo jest przyjemne!

Nie chcę twierdzić, by i w kampanii limanowskiej nie zdarzały się przykre wypadki niekoleżeńskiego zachowania się wobec nas Austriaków. Owszem, lecz na ogół wytworzyły się przyjazne i poprawne z nimi stosunki, tak, że wydawały się one po tym, co się przeżyło w początkach wojny, po prostu rajem. Specjalnie przyzwoitymi byli Węgrzy, którym nigdy ani się śniło widzieć w naszej odrębności organizacyjnej i w innym, niż u nich, układzie wewnętrznych stosunków jakiego przestępstwa, godnego kary lub tematu dla szykan czy lekceważenia. Węgrzy byli dla mnie przyjemnymi kolegami i dlatego, że mogłem się z nimi porozumieć bardzo łatwo przy ich nadzwyczaj powolnej i wyraźnej wymowie, gdy mówili językiem niemieckim.

Warunki wojny na Podhalu okazały się i pod innym względem nadzwyczaj przyjemne. Mówię tu o stosunkach z ludnością. Nie było tu, jak w Królestwie, gwałtownego i najczęściej daremnego szukania oparcia i zrozumienia wśród ludności cywilnej. Nie trzeba było tu niczego szukać, bo wszystko, czego dusza żołnierza, walczącego dla szczęścia ojczyzny, pra-

gnie, było mu dane. Tu czułem się w ojczyźnie, czułem się potrzebnym dla niej, jako jej obrońca. Od góry do dołu — ksiądz, gazda góralski, czy jego gaździna, mieszczanin, czy robotnik — wszyscy szukali po prostu okazji, aby w czemkolwiek dopomóc lub przynajmniej okazać swą sympatię dla nas. Młodzi chłopcy chodzili na wywiady przed wojskiem. Robiono to za zgodą wsi, która wprost wyznaczała, kto ma iść. Więcej! By chłopak nie mógł skłamać, że był tam, gdzie go posłano, musiał wrócić z pieczęcią gminną, wyciśniętą na portkach, jako namacalne świadectwo swej sprawności. W żadnej chacie czy domu nie odczuło się, że jesteśmy ciężarem, pomimo, że przecież wojsko nie należy do najprzyjemniejszych gości.

Żywo pamiętam jeden wypadek w zapadłej górskiej wsi, w której po jednej z nocnych wycieczek szukałem z wojskiem na pewien czas ukrycia. Stanąłem kwaterą w chacie góralskiej, która, jak zwykle, miała dwie izby. Jedną na zimę — zamkniętą — czystą, drugą, codzienną, że tak powiem, gdzie obok ludzi przechowują się cielęta, kury, prosięta itp. pożyteczne, lecz brudne i cuchnące stworzenia. Pomimo zimna stanąłem w czystej połowie. Zastanowiła mnie gaździna, wysoka o kształtnych rysach i dziwnie melancholijnych, szarych oczach. Była po prostu niestrudzoną w okazywaniu swej gościnności. Sama przybiegała często, proponując to lub owo, potem przysyłała dzieci, które wpadały z ciekawymi buziami, by zapytać raz jeszcze, czy nie trzeba czego, lub by przynieść jeszcze więcej drew do pieca. Byłem strasznie zmęczony po niespanej nocy, więc nużyła mnie nawet trochę ta nadzwyczajna gościnność. Gdy dałem wkrótce rozkaz do wymarszu, gaździna płakała rzewnymi łzami, patrząc swymi melancholinymi oczami na odchodzące wojsko. Przypuszczałem, że obawia się ona nadejścia Moskali po naszym wyjściu i począłem ją uspokajać. Wtedy odpowiedziała mi:

— Biedne wy, wojoki polskie! Tego płaczę!

Nie chciała wziąć ani grosza za gościnę, nawet gdym chciał to zrobić pod pozorem zostawienia pieniędzy na cukierki dla dzieci. Dotąd za te serdeczne łzy tej Podhalanki czuję szczerą wdzięczność, a do całego Podhala ogromną sympatię za to odczucie ojczyzny, które tam miałem.

Wspomnienia z tego okresu walk są i dlatego wreszcie dla mnie bardzo miłe, że prowadziliśmy tam wojnę bardzo oryginalną, bez całego przepychu techniki nowoczesnej. Tego nie było tam wcale! Nie mieliśmy ani taborów, ani telefonów i dla łączności posługiwaliśmy się według starej tradycji adiutantami i ordynansami. A gdy przypomnę sobie ówczesne

okopy, śmiech mnie bierze. Nie mówię już o przeszkodach z drutu, których wcale nie było, ale same okopy — pożal się, Boże! Po prostu każdy żołnierz wykopywał sobie na prędce jamkę, do której przynosił trochę słomy, i fortyfikacja była gotowa. Najkomiczniejszymi byli w takich okopach kawalerzyści austriaccy w swych czerwonych spodniach, osobliwie na tle śniegu, który w końcu listopada leżał najmniej co drugi dzień. Każdy, kto czytał lub słyszał o pustych i bezbarwnych polach bitew nowoczesnych, uznałby to za blagę, gdyby tych «wojoków» spostrzegł o dobrych parę kilometrów, jako czerwone plamy na białym śniegu, leżących pod sznur w równej linii z równymi odstępami w swych płytkich jamkach z filozoficznym wyrazem twarzy i fajką w gębie.

Z jednej i z drugiej strony w tej górzystej okolicy występowała do boju kawaleria, dumnie jeszcze szukająca szarży i mająca w pogardzie kopanie się, jak kret, w ziemi. Za to było dużo przestrzeni i ruchu. Nie zastygaliśmy na długo w jednym miejscu, codziennie była zmiana sytuacji, zmuszająca myśleć, odgadywać przeciwnika. Wojna była trochę nużąca wobec ciągłych marszów i wstrętnej jesienno-zimowej pogody, która nam drogi zmieniała albo w błoto, albo pokrywała je twardą grudą czy śliską gołoledzią. Chłopcy byli tak poprzeziębiani, że gdym przejeżdżał koło kolumny, wyciągającej się do marszu, słyszałem nieustanny głuchy kaszel. Sam również wypoczynku miałem mało. Mimo to ta wojna w ruchu, z wielkimi przestrzeniami, w górach, z ciągłymi zagadkami i łamigłówkami była przyjemną, bo dawała dużo swobody i samodzielności.

Choć warunki, w których walczyliśmy, były miłe, nie mogłem się pozbyć swych pesymistycznych myśli i dlatego ani przez chwilę w owe czasy nie zapominałem o swym zasadniczym planie cofnięcia się przy dalszych niepowodzeniach do Nowego Targu. Tam byłem zdecydowany podnieść do wojny górali, prowadzić akcję zaczepno-odporną, a w ostateczności skończyć nasz los jakąś uwieczniającą strzelców hekatombą. Nie było dnia, w którymbym paru godzin nie przemyślał nad tym planem. Wypracowywałem w duchu szczegóły organizacji obrony i przebiegałem myślą drogi, które miałem dla swego odwrotu w stronę Nowego Targu. Tam też ściągałem zewsząd wszystkie moje organizacje tyłowe, rozsypane po różnych kątach od czasów kieleckich.

Tymczasem tańczyłem swego, jak nazywałem kontredansa, koło Limanowej. To zbliżaliśmy się do niej, to znowu odchodziliśmy. To byliśmy pewni, że właściwie przed nami

są tylko nieliczne grupy kawalerii, to znowu drżeliśmy przed przemocą nieprzyjacielską. Nie mówię tu o sobie, gdyż mając zasadniczy swój plan już zdecydowany, niewiele robiłem sobie z tej przemocy; mówię tu o ogólnym nastroju, który przeważnie był bardzo nerwowy, z ciągłymi obawami o skrzydła i tyły. Wojska, będące przed nami, ciągle się zmieniały. Po dywizji Dragomirowa ukazały się dywizje kozackie i 10 dywizja kawalerii z dzikim i okrutnym gen. Kellerem na czele. I te formacje zresztą to ukazywały się w wielkiej liczbie, to znowu mieliśmy przed sobą tylko jakieś patrole, w które się wchodziło, jak w masło, bez przeszkód prawie. Ja ze swymi batalionami miałem jako bazę Jurków i drogę marszową, idącą doliną Chyżowek, ale doprawdy z pięć razy w tym czasie byłem u proboszcza w Słopnicach Królewskich, po tamtej stronie przełęczy w Chyżówkach, w pobliżu Limanowej. Biedny proboszcz musiał, zdaje się, co parę dni zmieniać swych gości — to my, to Moskale.

Wreszcie przełamało się. Pewnej nocy, dowiedziawszy się, że Rosjan w Słopnicy mało, przeszedłem Chyżówki, wyrzuciłem trochę kozaków ze wsi i posłałem na tyły Tymbarku, zajętego jeszcze przez Rosjan, jeden batalion z karabinami maszynowymi. I nazajutrz byliśmy już w Limanowej. Było to 4 grudnia.

Moskale widocznie cofali się ku Dunajcowi i Nowemu Sączowi. Na horyzoncie, na górach, ukazywały się patrole konne, które spiesznie wycofywały się, a gdzieś spoza Wysokiej od czasu do czasu grzmiał strzał armatni. Austriacy posuwali się ostrożnie za nieprzyjacielem. W Limanowej zatrzymałem się na chwilę, by się ostrzyc. Dowiedziałem się, że Rosjanie jakoby mnóstwo zarekwirowanych i nagrabionych rzeczy zgromadzili w Nowym Sączu. Mówiono nawet, że jakoby zaczęto je stamtąd wywozić. Gdym w Kaninie, na szosie do Nowego Sącza, dogonił sztab 2 dywizji, dowiedziałem się, że na Wysokiej stoją Moskale, a bateria ich strzela z Trzetrzewiny. Przez lornetkę obejrzałem Wysoką i stwierdziłem, że obsada jest mała, więc łatwa do przepłoszenia. Komendant dywizji zaproponował mi, bym spędził Moskali, tym bardziej, że jego żołnierze zaczęli się trochę cofać. Rzuciłem jeden batalion i kawalerię na prawo od szosy. Kawaleria poszła naprzód i, zsiadłszy z koni, pieszo zaatakowała nieprzyjaciela od skrzydła. Moskale opuścili Wysoką, bateria z Trzetrzewiny zwiała, wszystko cofało się na Nowy Sącz.

Gdym noc tę spędzał w zapadłej wioszczynie, w góralskiej chatce, byłem pod wrażeniem łatwości, z jaką Moskali

zmusza się do cofania przed względnie małymi siłami. Czyżbym się mylił? Czyżby istotnie zwycięstwo uśmiechało się tej stronie, po której jestem? Cóż znaczy bowiem to nagłe i łatwe cofanie się? Co znaczą te gawędy w Limanowej o rozpoczęciu ewakuacji w Nowym Sączu? Rano patrole doniosły mi, że Trzetrzewina jest wolna. Moskali tam nie ma, a Trzetrzewina odległą jest od Nowego Sącza zaledwie o kilka kilometrów!

Tegoż dnia otrzymałem zaproszenie na naradę do sztabu dywizji. Byłem strasznie zmęczony i zaziębiony, przeprosiłem więc, że nie mogę być osobiście, i posłałem Szefa. Po paru godzinach Szef wrócił. W komendzie dywizji dziękowano mu za przepłoszenie Moskali z Wysokiej i zaproponowano plan działań następujący. Dywizja ma całkowicie nieosłoniętą lewą flankę i dlatego dalej po szosie ku Nowemu Sączowi posuwać się nie może. Gdybyśmy więc poszli na drogę Limanowa—Marcinkowice i zabezpieczyli lewe skrzydło, możeby można było razem podsunąć się ku Nowemu Sączowi, co wobec słabych, jak się zdaje, sił nieprzyjacielskich byłoby niezbyt ryzykownym. Niezbyt mi się ten plan podobał, bo w ten sposób na wypadek niepowodzeń odsuwałem się od wymarzonej mej drogi do Nowego Targu. Wolałbym zostać na prawym skrzydle dywizji, ale z drugiej strony ta nadzwyczajna skłonność Rosjan do cofania się była pokusą nielada. Błyskała jakąś nadzieją zwycięstwa. Wreszcie zgodziłem się.

Miałem przy sobie wówczas tylko dwa słabe bataliony. Jeden (V) musiałem detaszować na północ. Poza tym niecałe dwa szwadrony kawalerii, oddział karabinów maszynowych i 4 górskie armaty. Na wzmocnienie oddziału mego na szczęście przyszła jeszcze moja własna artyleria — «werndle na kółkach»*) — 8 armat starego typu o niedalekiej «portée» i strzelające, jak na śmiech w tej wojnie, dymnym prochem. Dąbkowski przyprowadził jeszcze małą kompanię saperów. Ta pomoc przyszła po zwolnieniu reszty mego oddziału z I korpusu, po bitwie pod Krzywopłotami. Dwa bataliony poszły stamtąd, zgodnie z moim rozkazem, do Nowego Targu, artyleria i saperzy przyszli do mnie pod Limanowę.

Z tym słabym oddziałem ruszyłem żwawo na północ. Gdym doszedł potem do drogi Limanowa—Marcinkowice, skręciłem prosto na wschód ku Dunajcowi. Jak zawsze, gdy jestem w marszu ku nieprzyjacielowi, byłem w stanie trochę podnie-

*) Werndlami nazywano karabiny systemu Werndla, jednostrzałową, nierepetierową broń o wielkim kalibrze, którą otrzymaliśmy w początku wojny.

conym, z przyjemnym uczuciem jakiegoś tryumfu, zmieszanego z oczekiwaniem nowych silnych wrażeń, nowych zagadnień. Kawaleria, rzucona naprzód, słała mi wciąż raporty o cofaniu się przed nią zewsząd słabych patroli nieprzyjacielskich. Nigdzie żadnego oporu, ani żadnych większych sił nie spotkano. Wszędzie ludność opowiadała, że Moskale byli tu przed godziną, przed pół godziną, i poszli do Nowego Sącza czy Dąbrowy za Dunajec. Nieprzyjaciel cofał się najwidoczniej, nie stawiając żadnego oporu. Moja radość, a zarazem śmiałość coraz bardziej się zwiększała.

Już na dłuższym postoju, gdzieś koło Pisarzowej, po otrzymaniu pierwszych meldunków od kawalerii, zaczęła mi się kręcić po głowie myśl dojścia do Nowego Sącza. Przewidywałem, że posuwanie się 2 dywizji będzie bardzo powolne. Czuć było to z ostrożnej atmosfery, panującej w sztabie dywizji. Tymczasem wydawało mi się rzeczą konieczną wykorzystanie sytuacji, dodanie nieprzyjacielowi ognia w cofaniu się i utrudnienie mu tak zawsze trudnej operacji odwrotu. Bez względu nawet, jak na całym froncie sprawa stoi — myślałem sobie — nigdy taki nacisk nie zaszkodzi, zawsze pomoże.

Przed zapadnięciem wieczora doszedłem z piechotą i artylerią do Klęczan i tam otrzymałem od Beliny raport, datowany z Marcinkowic, więc z nad samego Dunajca. Raport przynosił dane, przekraczające moje najśmielsze nadzieje. Jeden patrol ułanów przeprawił się przez Dunajec koło Marcinkowic i wypatrzył słabe posterunki kozackie w okolicy Dąbrowy, inne patrole zajęły Rdziostów i górę Rdziostowską po tej stronie Dunajca, spędzając z niej równie słabe patrole kozackie, które w pośpiechu cofnęły się brzegiem Dunajca ku Nowemu Sączowi. Z góry Rdziostowskiej, oddalonej o jakie 3—3½ km od Nowego Sącza, miasto widać nieledwie, jak na dłoni.

Pierwszy wniosek, jaki wyciągnąłem z tych danych, był taki, że Rosjanie mają bardzo małą siłę w Nowym Sączu. Trudno bowiem przypuszczać, aby większy oddział mógł tak blisko podpuszczać ku sobie nieprzyjaciela i pozwalał, by ten nieledwie zaglądał mu do garnka. Stąd niedalekim był mój wniosek drugi: przeszkodzić Moskalom, ile możności, w spokojnym posiadaniu tak ważnego punktu, jakim jest Nowy Sącz. Przypuszczałem, że muszą się czuć bezpiecznymi za poważną przeszkodą, jaką jest Dunajec, wiedząc, że i nasza strona ma bardzo słabe siły po tej stronie rzeki. Trzeba więc właśnie wykorzystać to ich poczucie bezpieczeństwa za osłoną Dunajca i spróbować zaatakować nieprzyjaciela po tamtej stronie

rzeki. Ważną rolę do tego w mych rozważaniach odgrywała myśl, że przeszkodzę Rosjanom w ewakuacji miasta ze składów, o których okoliczna ludność ciągle mi mówiła.

Po późnym obiedzie, rozważywszy raz jeszcze położenie, byłem prawie zdecydowany co do planu. Kawaleria idzie od razu na wypatrzone posterunki koło Dąbrowy, żeby je zagarnąć. Saperzy budują kładki przez Dunajec koło Marcinkowic. Na górę Rdziostowską pod osłoną jednej lub dwóch kompanij piechoty idzie artyleria, by poprzeć atak piechoty na Nowy Sącz, albo też przykryć jej odwrót w razie niepowodzenia. Ja z piechotą przeprawiam się pod Marcinkowicami na wschodni brzeg Dunajca i próbuję nad ranem ataku na Moskali i w Nowym Sączu.

Miałem stanowczo za mało sił na takie przedsięwzięcie. Niepokoiło mnie to. Nowy Sącz — względnie duże miasto, niewiadomo, jak obsadzone przez Rosjan: w mieście nieznanym tak łatwo błądzić i tak trudno małymi siłami je obsadzić rozumnie. Liczyłem na to, że po drodze od tak przyjaźnie dla nas usposobionych chłopów zdobędę ściślejsze wiadomości i dobrych przewodników, znających miasto. Zresztą u siebie w batalionach miałem chłopców, którzy je znali. Kazałem się o nich dowiedzieć. Okazało się, że nie zabraknie mi ich w batalionach. Wyznaczyłem wobec tego osłonę do artylerii na nasz brzeg z III batalionu i kazałem chłopców, znających Nowy Sącz, podzielić tak, aby każda kompania miała jednego takiego przewodnika.

Szef — to sumienie moich szaleństw — kiwał na ten plan głową. Przedstawiał mi tyle słusznych zresztą argumentów przeciwko memu planowi, że zawahałem się trochę i zdecydowałem się ostateczną decyzję odłożyć do chwili, gdy most będzie zbudowany i otrzymam dodatkowe dane od kawalerii. Swoją jednak drogą kazałem artylerii i jednej kompanii z III batalionu po kolacji maszerować do Marcinkowic, oficerom zaś artylerii zrekognoskować wzgórze Rdziostowskie, tak, aby na zajęcie pozycji poszło możliwie mało czasu. Sam z szefem i paru oficerami ruszyłem do Beliny, do Marcinkowic, na kolację i dla powzięcia ostatecznej decyzji.

Gdym tej grudniowej nocy na kasztance jechał do Marcinkowic, przekładałem sobie jeszcze raz argumenty, przemawiające za wyprawą za Dunajec i przeciw niej. Położenie mego oddziału i tak było ogromnie eksponowane. Byłem zupełnie sam, najbliższe wojsko austriackie stało w Kaninie, o 12 kilometrów w tyle poza mną. Wszystkie działania Moskali wskazywały, że nieprzyjaciel nie rozporządza większą siłą. Chodziło

jednak o to, jak dalece jest słabym. Nie ulegało wątpliwości, że jest silniejszy ode mnie, trudno bowiem było przypuszczać, aby na tym froncie miał wszystkiego niespełna 2 tysiące ludzi, których ja miałem wtedy w swoim oddziale. Oprócz tego nie mogę prawie na pewno spodziewać się znikąd pomocy, gdy nieprzyjaciel będzie mógł łatwo ściągnąć niewielką pomoc dla obrony i przejść potem do ataku. Jedyną szansą mego planu jest jego niezwykła śmiałość i liczenie na efekt niespodzianki. Jeśli ona się uda, to wszystko będzie dobrze. Przypomniałem sobie Ulinę i moje ówczesne doświadczenia o źle zorganizowanej służbie ochronnej u Rosjan. Wreszcie myślałem sobie — przecie nie ma dwóch zdań, że Moskale znajdują się w odwrocie, a cofającemu się niewiele trzeba, aby go zmusić do opuszczenia tego czy innego punktu. Nie miałem jeszcze ostatecznej decyzji, gdym dojechał do dworku w Marcinkowicach i wpadł w objęcia zawsze gościnnej, zawsze serdecznej i zawsze bardzo gwarnej braci ułańskiej.

Opowiadano tu sobie przejścia dzisiejsze, żartowano z pospiesznego odwrotu patroli rosyjskich, które prawie bez strzału uciekały przy zbliżeniu się do nich, pito zdrowia wszystkich po kolei uczestników kolacji i rozwodzono się «per longum et latum» nad cnotami każdego z rumaków, nie omieszkując skrytykować wszystkie inne konie, oprócz swego. Jednym słowem, było bardzo huczno i bardzo wesoło. Wkrótce wrócił spod Dąbrowy Grzmot-Skotnicki. Całą placówkę kozacką rozpędzono, wzięto 13 koni i kilku kozaków. Naturalnie, jak zwykle, Moskale bardzo źle się ochraniali.

Przystąpiłem do badania jeńców. Twierdzili oni, że placówka ich czekała na zluzowanie przez piechotę z Nowego Sącza i mieli odejść tegoż jeszcze wieczora na północ do swego pułku. Dalej, że do Nowego Sącza przyszedł cały VIII korpus z Karpat i że jego dowódca na pewno już jest w mieście. Pomimo, że zwykle wydawały mi się zeznania jeńców rosyjskich wiarygodnymi, tym razem odrzuciłem je. Jak to? Korpus ma być w Nowym Sączu, a ja stoję ze swymi patrolami na górze Rdziostowskiej i ten korpus nie przeszkadza mi wcale oglądać siebie. Niemożliwe! Przecież nawet te patrole, które zmykały przed moimi ułanami, byłyby śmielsze, czując za sobą oparcie tak poważne, jak korpus wojska. A to umykanie i skwapliwe cofanie się trwa już drugi dzień. Najbardziej dziwnym jest jednak posiadanie przeze mnie Rdziostowa. Jakiż, u licha, korpus nie osłoni swego noclegu i pola swego jutrzejszego marszu na odległość paru kilometrów? Niewiarygodne! Pozostaje jednak fakt, że placówka miała być zluzowana przez piechotę. Nie ma

wątpliwości, że rozproszona placówka już narobiła alarmu i wobec tego z głównej szansy mego planu — z niespodzianki nic nie będzie. Chybaby maszerować zaraz tu w ślad za alarmującymi. Ale do tego nie jestem gotów, piechota moja jeszcze o kilka kilometrów od Dunajca je kolację. Szef przystępuje i jeszcze raz wysuwa argumenty, przemawiające za odrzuceniem planu ataku na Nowy Sącz.

Zgoda! — zdecydowałem — trzeba się poddać racjom i być rozsądnym. Nie wyrzeknę się jednak części przynajmniej swego pierwotnego planu. Artyleria już przemaszerowała, więc trzeba ją wykorzystać. Pójdę z nią na Rdziostów i ostrzelam wszystkie wyjścia z Nowego Sącza. Jeśli nieprzyjaciel się cofa, to doda mu to ochoty do szybkiego, a może bezładnego wymarszu. Jeśli zaś istotnie, jak mówią kozacy, przygotowuje się on do ataku na nas, to moja akcja powstrzyma na czas pewien ten napad i popsuje jego porządek. Na wszelki wypadek most przez Dunajec budować dalej i saperzy, którzy wszystko jedno jutro będą odpoczywać, mają go osłonić i zabezpieczyć. Piechota, oprócz kompanii. osłaniającej artylerię, i jazda — spać i odpocząć. Ja idę z artylerią do Rdziostowa.

Rozkazy wydane, wiadomość do Kaniny, do sztabu dywizji, o jeńcach i ich zeznaniach przesłana, jeszcze szklanka herbaty na rozgrzewkę i na kasztankę! Noc jest dosyć jasna, trochę mrozi, szosa dudni pod podkowami koni. Artyleria i jej osłona już pomaszerowała, więc trochę mi spieszno, gdyż kazałem czekać z rozpoczęciem ognia na moje przybycie. Ciekaw jestem ogromnie tego widoku z Rdziostowa, a jeszcze bardziej tego, co się dzieje tam za Dunajcem, u nieprzyjaciela. Szosa idzie pod górą prawie nad samym Dunajcem. W dzień byłaby to bardzo ryzykowna wyprawa iść tu z artylerią, nie mając w ręku tamtego brzegu; kilkudziesięciu ludzi by wystarczyło, by mi wystrzelać wszystkie konie i obsługę armat. Postanawiam w myśli względnie wcześnie przerwać ostrzeliwanie Nowego Sącza, aby zdążyć jeszcze nocą wycofać artylerię.

Kasztanka wesoło prycha i mnie też bardzo jest wesoło. Wygląda to wszystko na nadzwyczajną awanturę. Nie jest ona tak wspaniałą, jak mój poprzedni plan napadu na Nowy Sącz, ale i tak jest ładnie, gdy pomyślę, że jestem o 12 kilometrów oddalony od najbliższego oddziału swego i że z tak śmiesznie małą siłą idę ogniem w paszczę tego, któremu wystarczyłoby tylko ją zamknąć, by mnie razem z moimi armatkami połknąć. No, i nasze «werndle na kółkach» użyją; w nocy, gdy się nie widzi ich śmiesznych skoków przy każdym strzale i dymu, mogą ujść za przyzwoite nowoczesne armaty.

Ale co to? Im bardziej wjeżdżam na górę, tym wyraźniej słyszę dudnienie wozów po tamtym brzegu Dunajca. Dudnienie jest bardzo silne, jakby ciężkich wozów, jest ono zupełnie nieprzerwane, jakby jechał długi szereg wehikułów. Mimo pilnego wsłuchiwania się trudno doprawdy było odróżnić, w którym kierunku wozy się poruszają, na północ czy na południe, bo że ruch szedł równolegle do Dunajca, to było wyraźne. Lecz turkot ciężkich kół był tak równomierny i tak, że się tak wyrażę, długi, że złapać kierunek ruchu było rzeczą bardzo trudną. Po dłuższym wsłuchiwaniu się wydawało mi się, że turkot posuwa się na północ.

Jakie to dziwne wrażenie — takie fizyczne wyczuwanie nieprzyjaciela. Jakże szczęśliwi byli nasi przodkowie na wojnie, gdy nie mieli tylu męczących zagadek do rozwiązywania, gdy mogli wobec niewielkiej dalekonośności broni tak często już nie wyczuć, lecz po prostu policzyć nieprzyjaciela. Dziś stało się to fizyczne zbliżenie do przeciwnika względnie rzadkim, najczęściej jest ono końcowym ustępem dłuższego epizodu. To też chwil takich, jakie miałem na górze Rdziostowskiej, gdym się po prostu ocierał o nieprzyjaciela, nie zapomina się nigdy. Co to być może? Umysł pracował szalenie, by tę zagadkę rozwiązać. Pytam Szefa o jego wrażenie. Nie umie sobie tego zjawiska wytłumaczyć. Gdy stawiam hipotezę, że to jest ewakuacja Nowego Sącza, odpowiada mi, że niezrozumiałym jest, dlaczego idzie ona na północ, nie na wschód, co byłoby logiczniej.

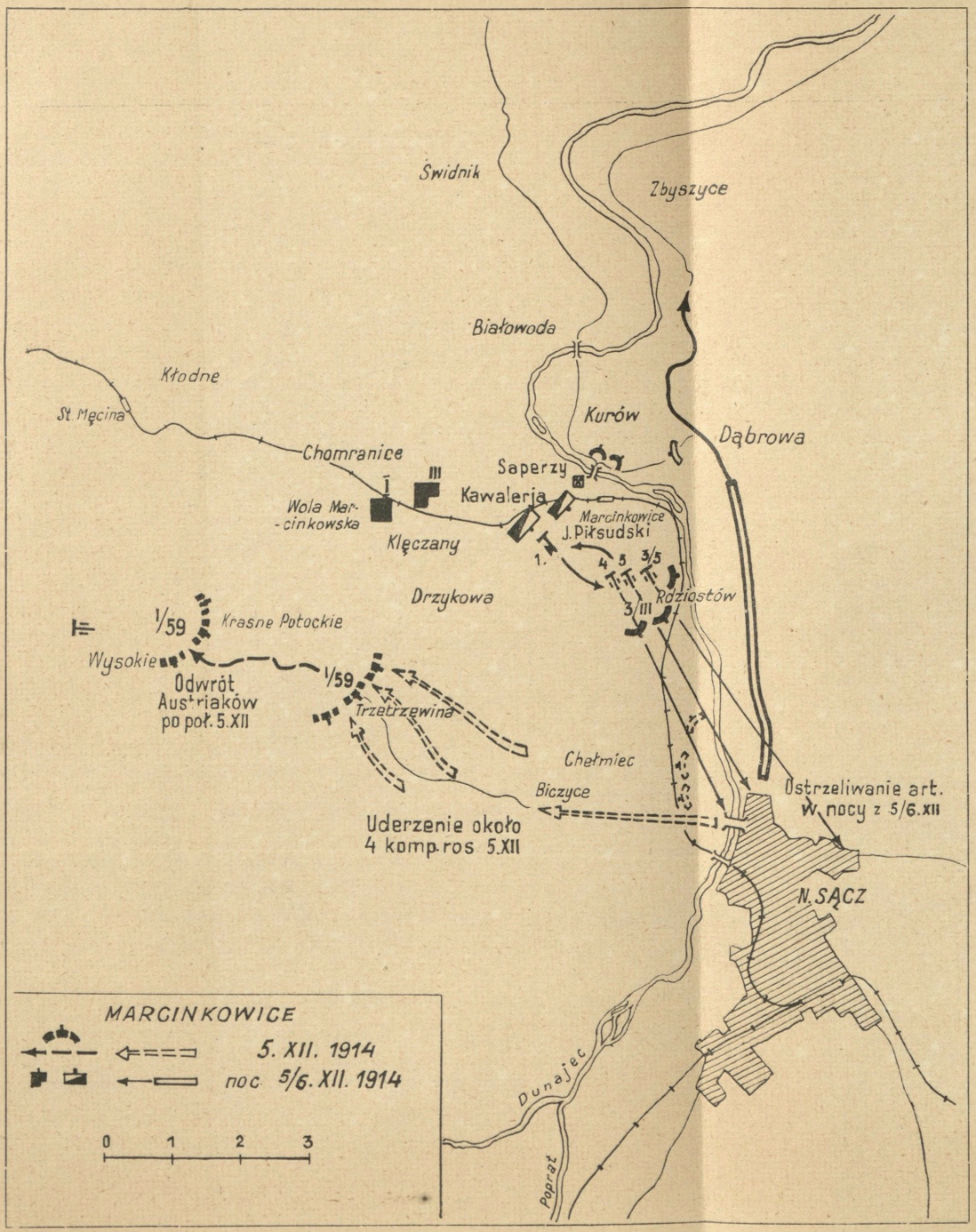
Wreszcie jesteśmy na górze. Dwie chaty z dużą stodołą przy drodze — to początki Rdziostowa. Tutaj oczekują mnie artylerzyści, Brzoza i por. Meisner. Obaj raportują, że armaty stoją na pozycjach gotowe do strzału. Pytam ich od razu, czy dawno słyszą ten ruch kołowy po tamtej stronie Dunajca. Odpowiadają, że od czasu, jak tu są, tzn. od pół godziny. Jeden z nich dodaje, że to dudnienie przypomina mu marsz wielkiej kolumny z armatami i jaszczykami. Wzruszam ramionami. Jakże to? Puścić nas na górę Rdziostowską, by potem paradować przed nią w odległości kilometra, a więc pod strzałami karabinowymi. Ależ to nonsens!

Tymczasem należy nie tracić czasu, gdyż w każdym razie nie chcę za dnia odbywać powrotnej drogi do Marcinkowic. Więc jeszcze raz przypominam cele ostrzeliwania. Miasta samego nie ruszać! Teraz, gdy nic w nim oprócz świateł i światełek nie widać, przyczynilibyśmy więcej szkody mieszkańcom, niż nieprzyjacielowi. Ogień skierować na wyjścia z miasta — na zachód, zatem na mosty na Dunajcu, i na północ, ażeby

przeszkodzić posuwaniu się tej tam kolumny wozowej, maszerującej po tamtej stronie rzeki. Rozpoczynać ogień zaraz.

Meisner ma swoje armaty na lewo od drogi, bliżej Dunajca. Brzoza swe osiem niebożątek ustawił na prawo, na górze. Naturalnie, strzelać będą według mapy, więc niedokładnie, bez żadnej możności korektury. Idzie przecież przede wszystkim o moralny efekt i o wzniecenie nieporządku u nieprzyjaciela. Patrzę przed siebie na liczne drobne światełka Nowego Sącza, błyszczące tam w dole. Prócz nich widać jeszcze tylko kilka większych lamp i parę ognisk, rozpalonych gdzieś koło Dunajca. Wszystko to tam takie spokojne, nikomu tam ani się nie śni, co za chwilę się stanie. Wreszcie — bb...um! — pada strzał od Meisnera i... zaczyna się muzyka! Górskie armaty Meisnera mają błysk mniejszy i mają głos głębszy, nasze huczą, jakby pęknąć miały, i dają błysk tak duży, jakby nie były małymi pieskami, a olbrzymimi potworami. Słyszę na prawo i na lewo spokojne komendy. Strzelamy przeważnie granatami, od czasu do czasu szrapnelami. Widok na miasto jest cudowny z błyskawicami pękających szrapneli i ognistymi wybuchami granatów. Światełka w mieście nagle przestały migotać, ognie na brzegu Dunajca widocznie pospiesznie gaszono, gdyż wkrótce z wesołego widoku miasta z wiankiem ogników nic nie zostało — gdzieniegdzie tylko smutno i melancholijnie błyska jakieś światełko, tak, jakby to nie Nowy Sącz był przede mną, a jakaś zapadła wioszczyna. — To musiał być tam rejwach! — myślę sobie z zadowoleniem.

Ten wieczny jednak łoskot tam na szosie za Dunajcem zaczyna mnie po prostu irytować. Nasza strzelanina nie robi nań żadnego wrażenia; głucho i ponuro dudnią dalej nieprzerwanym ciągiem jakieś głupie ciężkie woziska. Patrzę się w tym kierunku i wsłuchuję się w ten monotonny grzechot kół. Spostrzegam od czasu do czasu ruszające się światła — widocznie latarnie. Gdyby to nie były tabory — myślę — to przecie wzięłaby ich też ochota posłać nam parę kul, jako odpowiedź śmiałkom. Przecież widzą, że są tu armaty, więc muszą rozumieć, że jest i jakaś osłona z żywych ludzi, od których przecie trzeba zabezpieczyć tę głupią defiladę. Chyba zmykają i nie chcą zatrzymać się ani chwili. Bierze mię ochota sprowokować tych nieznośnych dudniarzy zza Dunajca. Chcę przez chwilę skierować tam ogień jednej z bateryj, ale przychodzi mi na myśl, że mam przecie piechotę — jeden pluton stoi prawie tuż przy mnie, jako rezerwa osłony, wysłanej naprzód i na boki. Wołam do siebie dowódcę kompanii, Wieczorkiewicza,


Świdnik
Zbyszyce
Białowoda
Kłodne
St. Męcina
Kurów
Dąbrowa
Chomranice
Saperzy
Kawalerja
Wola Mar-cinkowska
Marcinkowice
J. Piłsudski
Klęczany
Drzykowa
Roziostów
1/59
Krasne Potockie
Wysokie
Odwrót Austriaków po poł. 5.XII
Trzetrzewina
Chełmiec
Biczyce
Uderzenie około 4 komp. ros 5.XII
Ostrzeliwanie art. w nocy z 5/6.XII
N. SĄCZ
Dunajec
Poprad
MARCINKOWICE
5. XII. 1914
noc 5/6. XII. 1914
0 1 2 3


Świdnik
Zbyszyce
Zawadka
Białowoda
Przeprawa Bellinu
Przeprawa Dreszera
Kurów
Dąbrowa
Pisarzowa
Kłodne
St Męcina
Chomranice
Męcina
Wola Mar-cinkowska
Kleczany
Marcinkowice
14 d.p ros
Kanina
Drzykowa
Rdziostów
Krasne Potockie
Wysokie
Trzetrzewina
Chełmiec
15 d.p.ros.
Biczyce
N.SĄCZ
Dunajec
Poprad
MARCINKOWICE - PISARZOWA
WALKI DN. 6. XII. 1914
0 1 2 3

i każę mu dać parę salw w kierunku szosy na tamtym brzegu Dunajca.

Wieczorkiewicz idzie naprzód, by zbadać trochę sytuację, potem pluton staje i wkrótce bas armat jest przerwany raptownym suchym trzaskiem salwy karabinowej. Aha! poskutkowało! Turkot się zatrzymał. Widać żywo poruszające się światełka tam przy wozach. Czekam z naprężeniem, czy nie zagrzmi też jaka salwa w odpowiedzi. Nie! Przechodzi jakaś jedna czy druga minuta i znowu ten sam ponury turkot porusza się dalej.

— Strzelać dalej! — wołam do Wieczorkiewicza. Grzmi znowu salwa — turkot zamiera na chwilę, potem jakby nieśmiało zaczyna się ruszać, by wpaść dalej w swój monotonny miarowy odgłos poruszającego się kolosa na kołach. Byłem i rozśmieszony, i wściekły. Szła więc salwa jedna za drugą zawsze z tym samym skutkiem, zawsze bez żadnej odpowiedzi z tamtej strony, która jakby się uparła milczkiem defilować w nocy przed nami.

Stawiałem sobie dla wyjaśnienia sprawy różne hipotezy i zawsze odrzucałem wszystkie, związane z przypuszczeniem, że mam przed sobą maszerujący oddział wojska. Przemawiało bardzo silnie przeciw takiej hipotezie po pierwsze zajęcie przeze mnie bez przeszkód Rdziostowa z widokiem na Nowy Sącz i na wszystkie drogi, zeń wychodzące, po drugie to milczenie absolutne z tamtej strony Dunajca pomimo mojej strzelaniny z armat i karabinów. Żadnego strzału, żadnej próby przeszkodzenia mi w czemkolwiek. Po odrzuceniu zaś hipotez o marszu wojska ku mnie pozostawało jedno przypuszczenie, które wypowiadałem poprzednio, że jest to ewakuacja przeładowanego Nowego Sącza, marsz licznych ciężkich taborów po tamtej stronie Dunajca. Na zarzut Szefa, że logiczniejszym byłoby dla Rosjan wycofanie wszystkiego na wschód, nie na północ, odpowiadałem w myśli, że przy nagłej masowej ewakuacji stało się koniecznością wykorzystanie wszystkich dróg, jakie były w rozporządzeniu. A zresztą — dodawałem — czyż dotychczas w ciągu wszystkich tańców koło Limanowej nie było zawsze to samo — przesuwanie się nieprzyjaciela, któregośmy mieli przed sobą, właśnie na północ. Może kolej, którą Moskale mają za sobą w kierunku Grybowa i Jasła, nie jest jeszcze zdolna do użytku, gdy odwrotnie północne koleje od Tarnowa na wschód są puszczone w ruch, i dlatego ewakuacja idzie w kierunku północnym do tych właśnie kolei. W każdym razie wydawało mi się wówczas — trochę pijanemu tryumfem swej własnej śmiałości — że jedynym racjonalnym wytłumaczeniem ogromnego ruchu po tamtej stronie Dunajca jest hi-

poteza o ewakuacji składów nowo-sądeckich. Ona jedynie tłumaczyła to nagłe cofanie się bez walki wszystkich patroli i oddziałów rosyjskich przed naszymi słabymi siłami, ona jedynie wyjaśniała, dlaczego Moskale puścili mnie bez oporu do Rdziostowa, ona wreszcie pozwalała zrozumieć tajemnicze milczenie tak bliskiego nieprzyjaciela. Nawet Szef, który w ogóle w stosunku do całej operacji był pesymistą, wzruszał ramionami, co prawda, gdym mu moje rozumowanie wykładał, lecz nie mógł znaleźć argumentów «contra» dostatecznie silnych.

Upewniwszy się w swej hipotezie, zdecydowałem od razu, że jak tylko szary świt wstanie na niebie, ruszy Belina za Dunajec po łatwą zdobycz, tabory. Wznieci popłoch i zamieszanie — to przecie idealne dla jazdy. Jako pomoc dam mu na razie jeden batalion, który zarazem przykryje Rdziostów od jakichś drobnych patroli, mogących się ukazać z południa. Z III batalionem i artylerią — która musi wypocząć po nocnej pracy — zostanę w rezerwie aż do lepszego wyjaśnienia sprawy. A nuż będę mógł odbyć jeszcze tego dnia tryumfalne wejście do Nowego Sącza i być z polskim żołnierzem pierwszym w murach oswobodzonego od najazdu miasta. Dumne marzenia!

Tym czasem strzelanina trwała dalej. Ten sam duet moich armat i salw karabinowych z tym samym brakiem jakiegokolwiek dopełnienia muzyką z naprzeciwka. Żadnego strzału, żadnego odgłosu, oprócz monotonnego dudnienia wozów na tamtym brzegu Dunajca. Wreszcie Meisner złożył raport, że wystrzelał wszystkie naboje, wzięte ze sobą na jukach, i jeżeli nie ma dla niego innych rozkazów, będzie się gotował do wymarszu. Brzoza nie chciał zaprzestać strzelania, ponosił go zapał artylerzysty. Ze zwykłym sobie optymizmem twierdził, że parę granatów musiało trafić w mosty na Dunajcu. Świt się zbliżał, podpędzałem go więc, by zakończył swe fajerwerki, on zaś wciąż prosił, aby mógł jeszcze parę razy wystrzelić. Nareszcie skończone! Artyleria wyciąga swą kolumnę na drodze, kompania Wieczorkiewicza ściąga powoli swe posterunki. Siadam na kasztankę i daję rozkaz artylerii cofnąć się do III batalionu i pod jego osłoną odpocząć i nakarmić konie. Wyprzedzam kolumnę i wraz z szarzejącym świtem jestem z powrotem w Marcinkowicach.

Cała kawaleria jest już na nogach, konie posiodłane, ułani przy koniach pospiesznie kończą przygotowania do wymarszu. Nie schodząc z konia, wołam do Beliny:

— Belina! Przyszedł wasz wielki dzień! Na koń i jazda za Dunajec! Tam, drogą od Sącza na północ, ciągną jakieś wielkie i długie tabory. Użyć możecie, ile dusza zapragnie! Wy-

marsz natychmiast. Jeden pluton dla bezpieczeństwa na Rdziostów. Zluzuję go piechotą, gdy nadejdzie. Za wami pójdzie I batalion. Meldunki jak najszybciej do mnie, tutaj do Marcinkowic!

— Tabory, Komendancie! — jęknął prawie Belina, siadając na konia.

Za chwilę sto kilkadziesiąt jeźdźców tęgim kłusem ruszyło ku Dunajcowi na mostek, rzucony przez saperów. Artyleria już szła mimo Marcinkowic, widziałem, że z góry Rdziostowskiej spuszcza się ku mnie piechota, a na jej spotkanie posuwa się ku górze garstka ułanów, odkomenderowana na Rdziostów. Posłałem po I batalion, a sam ze sztabem udałem się na posiłek, na który gościnni gospodarze zapraszali. Poprosiłem o szklankę mleka i kawałek chleba jeszcze przed śniadaniem, byłem bowiem bardzo głodny.

Pamiętam tę rozkoszną chwilę, gdy zmęczony i niewyspany wyciągnąłem na całą długość znużone nogi i z rozczuleniem głodnego oglądałem szklankę zimnego mleka z cudownym, smacznym chlebem, myśląc na pół o gorącym śniadaniu, które zaraz podadzą, na pół o tym, co też zawierają te wozy, które za chwilę może, wraz ze śniadaniem, będę oglądać. Wypiłem już pół szklanki mleka i sięgnąłem po papierosa. Ba! Nie sądzono mi już było ani zjeść śniadania, ani nawet skończyć tej szklanki mleka, która stała przede mną. Rozpoczęła się tragedia marcinkowicka!

Do pokoju wpadł, jak bomba, Brzoza.

— Komendancie! — wołał — Moskale okopują się tam na górze za Dunajcem!

— Co za głupstwo! — odpowiadam — to być nie może!

— A jednak tak jest! Ze strychu doskonale widać!

Zrywam się, chwytam za czapkę i futerko. Biegniemy po jakichś stromych schodach i przez okienko na strychu oglądamy ową górę, która wznosiła się tuż nad zbudowanym przez saperów mostem. Szare ołowiane niebo nie pozwala dokładnie przekonać się nawet przez silną lornetkę, kto właściwie tam na górze stoi. Widać jednak wyraźnie, że ludzie w liczbie może trzydziestu kopią tam, a jeden z nich stoi i przez lornetkę bada okolicę.

— Dlaczego sądzicie, że to Moskale? — pytam Brzozę — to muszą być nasi saperzy. Mają rozkaz zabezpieczyć most i przecież nie uczynili tego, jak policjanci, stojąc przy moście, ale postawili, bo postawić musieli, posterunek na górze. Tylko przecież w ten sposób mogli most zabezpieczyć. A teraz na rozgrzewkę i dla wprawy saperskiej kopią okop.

— Może być — odpowiada Brzoza, trochę przekonany, — tylko mnie się wydaje, że oni wysypują ziemię w naszym kierunku, saperzy zaś wyrzucaliby ziemię z rowu w tamtą stronę.

Przypatrywałem się długo i nie mogłem dojrzeć, czy istotnie tak jest, jak Brzoza mówi. — Et! — pomyślałem — dla uspokojenia poślę kogokolwiek do saperów. Nie może przecież być, by byli oni tak nierozsądni i nie obsadzili choć posterunkiem obserwacyjnym tej góry nad swoim mostem. A zresztą, gdyby to byli Moskale, musieliby już dostrzec jazdę Beliny i teraz jużbym słyszał strzały.

Uspokojony schodzę, by wrócić do swej szklanki mleka *). Gdy jestem na podwórzu, słyszę zbliżający się silny tętent koni w galopie. Na podwórze wpadają ułani, a oficer, spostrzegłszy mnie z daleka, woła:

— Komendancie! Moskale są w Rdziostowie. Piechota, silny oddział, rozwiniętą tyralierą idzie ku nam. W tyralierze najmniej dwie kompanie.

I w tej chwili przez podwórze zaczynają bzykać pierwsze kule. Idą istotnie od strony Rdziostowa. Stoję chwilę zupełnie bezradny — całe dotychczasowe moje pojęcie o sytuacji runęło w jednej chwili. Teraz zaczyna grać za Dunajcem muzyka. Naprzód bezładne strzały karabinowe, parę salw — i w ten grzechot karabinowy wpada suchy, bezmyślny, równomierny trzask karabinów maszynowych. Włosy mi stają na głowie! Coś chwyciło mnie za serce.

Zgubiłem swoją kawalerię!

Na podwórze wypadli oficerowie i ordynansi. Szef schwycił mnie pod rękę i gwałtem wyciągnął za stodołę z podwórza, przez które gęsto już szły kule. Ordynansi spiesznie siodłali konie, wyprowadzając je potem za stodołę. Wkrótce zaczęły grzmieć nasze karabiny. Wieczorkiewicz rozwinął swoją kompanię przeciw Rdziostowowi. Od mostu, również ku Marcinkowicom, grupkami ściągali się saperzy, a za Dunajcem coraz silniej trajkotały karabiny maszynowe. Każdy strzał odbijał mi się na sercu. W głowie była tylko jedna myśl: «Jezus, Maria, zgubiłem Beliniaków!» Raz po raz wysuwałem się z poza stodoły, patrząc, jak na górze Rdziostowskiej rozwija się nieprzyjaciel. Szukałem po prostu, by jakakolwiek kula mnie zaczepiła. Byle nie mieć tej ciężkiej myśli w głowie, byle nie czuć tego ołowianego ciężaru w sercu!

*) Już jako Naczelnik Państwa pojechałem rozmyślnie do Rdziostowa i Marcinkowic. W Marcinkowicach kazałem przygotować sobie na spotkanie szklankę mleka. Nie mogłem znieść na sobie tego, żem taki głodny, jak wtedy byłem, nie dopił mleka.

— Na łatwe zwycięstwo nad taborami — myślałem — posłałeś ich! Na śmierć ich posłałeś, ot co jest, i to na śmierć bez potrzeby i pożytku, dlatego jedynie, żeś się omylił w ocenie sytuacji!

Lecz i kula mnie nie trafiała, i Szef za każdym razem wciągał mnie z powrotem za stodołę. Wreszcie ujął mnie silnie pod ramię i stanowczym głosem powiedział:

— Komendancie! Nic tu nie wystoimy, musimy odchodzić do piechoty!

Na razie z wściekłością ruszyłem ramionami. Przyszło mi na myśl, by odesłać cały sztab, a zostać samemu. Była to jakby potrzeba serca. Może jakaś resztka tej jazdy wróci. Potem znowu przyszła myśl o ratunku: mam przecie jeszcze piechotę; pójść z nią na pomoc? Ale nie! Ta wąziutka dolina, w której staliśmy, była pod strzałami i z prawa, i z frontu. Gdzież tu rozwinąć się i jak w dodatku forsować pod takim ogniem Dunajec i drapać się tam na górę, gdy z prawa w każdej chwili możemy być odcięci od drogi odwrotowej.

A Szef, jakby odgadując moją mękę, dodał:

— Komendancie! Nic tu nie zrobimy. Pomagając kawalerii, zgubimy i piechotę. Trzeba się cofać!

Istotnie nie było innej rady. Machnąłem ręką, by prowadzono naprzód konie i odjeżdżali konni. Sam z Szefem szedłem pieszo. Na razie posunęliśmy się drogą wgłębioną, potem drzewa osłaniały nas od Rdziostowa. Byliśmy jednak zupełnie odkryci dla nieprzyjaciela zza Dunajca. Jakoż, gdyśmy uszli paręset kroków, gwizdnęły za nami stamtąd dalekie kule, a po chwili rozległ się nad głowami suchy trzask, w koło na drzewa i na szosę posypały się liczne kule, a po szosie tuż koło naszych nóg, brzęcząc, podskakiwała szklanka szrapnelowa. Jest i artyleria! Więc to dudnienie na szosie, to nie były tabory, lecz armaty i jaszczyki! Po chwili znowu posłano ku nam parę szrapneli. Wzięli naszą grupę na oko! Konni i ordynansi z wystraszonymi luzakami ruszyli pędem ku najbliższemu zagłębieniu. Ja z szefem stanęliśmy na chwilę za drzewami. Artyleria przeniosła ogień w inną stronę, ku kompanii Wieczorkiewicza. Ruszyliśmy z Szefem dalej i wkrótce w osłoniętej kotlince spotkaliśmy batalion Bojarskiego. Kazałem mu rozwinąć jedną kompanię — gdyż dla większego oddziału w tej dolince, po której szła droga, nie było miejsca — tak, by mógł zapewnić odwrót Wieczorkiewicza. Na prawo i lewo ma wysłać na pagórki silne patrole i czekać rozkazu o prawdopodobnym odwrocie.

Nad nami od czasu do czasu pękały szrapnele, nie czyniąc

zresztą szkody nikomu wobec doskonałego ukrycia, jakie ta kotlinka z dosyć stromymi brzegami dawała od ognia polowych armat.

Wreszcie doszedłem do tego miejsca, skąd poprzedniego dnia wieczorem wyruszyłem do Marcinkowic i na Rdziostów. Sztab był już zupełnie spakowany i cofnął się dalej wobec tego, że i tu już zawitały szrapnele rosyjskie. Niedaleko w ukryciu stał III batalion, artyleria i karabiny maszynowe. Przyszedłem tam rozbity na ciele i duszy. Duszę rozdzierał ból z powodu ułanów, ciało było strasznie zmęczone. I nagle błysk nadziei! Od dywizji, która została w tyle w Kaninie, przyszło krótkie zawiadomienie, że «alles soll vorgehen» [1]).

— Może otrzymali — pomyślałem sobie — posiłki, że są tak odważni! Ja mam tu przed sobą znaczną przewagę nieprzyjacielską, ale jeśli już w s z y s t k o ma iść naprzód, trzeba zrobić też wszystko, aby dopomóc do zwycięstwa, chociażby to nas miało dużo kosztować. A może tu dopomożemy trochę kawalerii. Więc naprzód!

Szef wyrażał swe wątpliwości i twierdził, że będziemy postawieni w sztychu. Nie chciałem słuchać tych zgryźliwych uwag. Zatrzymamy na sobie tę przemoc nieprzyjacielską i ułatwimy w ten sposób rozwijanie się i postęp tych, co tam szosą Limanowa—Nowy Sącz będą parli naprzód.

Więc tak! Front mamy wiąziutki i dla osłony drogi samej wystarczy kompania. Reszta I batalionu i Wieczorkiewicz rozwiną się ku Rdziostowowi. Artyleria Meisnera, karabiny maszynowe i dwie kompanie pójdą na lewe skrzydło. Muszą się wdrapać na górę, przejdą lasem prawie niepostrzeżenie i staną do boju tak, by zatrzymać przeprawę Rosjan przez Dunajec. Jedna kompania w rezerwie przy mnie. Nasza artyleria jest na razie zupełnie nieużyteczna. Wobec niewielkiej «portée» musiałaby stanąć bardzo blisko za swoją piechotą, by przy strzelaniu nie razić swoich zamiast nieprzyjaciela. Tutaj, nimby wyjechała na pozycję, jużby była w ogniu karabinowym Rosjan. Trzeba tę zabawę z «werndlami na kółkach» odłożyć. Rozkazy poszły, wszystko ruszyło na wskazane miejsca i wkrótce już słychać było wzmożony ogień naszych karabinów na naszym prawym skrzydle. Widzę, jak nad naszą piechotą, gdy się rozwijała, nisko pękają szrapnele. Zaczynają napływać ranni, — jest ich na razie niewielu. Artyleria i karabiny maszynowe kazały na siebie czekać dłużej — miały dłuższą i przykrą drogę raczej po zboczu góry. Przyszły jednak jeszcze na

[1]) Wszystko ma iść naprzód.

czas, by rozpocząć ogień akurat na przeprawiających się przez Dunajec Rosjan. Bój rozpoczął się na całej linii. Moskale wobec wzmożonego ognia nawet nie próbowali zająć opuszczonych przez nas Marcinkowic. Posłałem natychmiast do dywizji zawiadomienie, że mam przed sobą nieprzyjaciela w znacznej przewadze: wróg pokazał co najmniej dwie baterie, a piechotę można obliczać na 3—4 bataliony z względnie wielką ilością karabinów maszynowych, które trajkotały, jak wściekłe, w różnych stronach. Prosiłem o możliwie szybkie posunięcie się naprzód oddziałów austriackich, gdyż długo tego boju nie będę mógł wytrzymać.

Nierówny bój ogniowy trwał, z widoczną jednak przewagą ognia nieprzyjacielskiego. Artyleria rosyjska, która ostrzeliwała wzdłuż całe moje prawe skrzydło, sypała szrapnelami, jak z rękawa. Chłopcy moi jednak trwali i odparli parę prób rosyjskich zbliżenia się do nich od Rdziostowa. O próbach tych mówiły mi fale nagle wzmagającego się ognia naszych karabinów. Każda taka krótsza nawałnica ogniowa napinała mi nerwy w trwożnym oczekiwaniu. Nie miałem przecie nic już prawie w ręku, aby na dłużej zatrzymać nieprzyjaciela, a przy przełamaniu mego prawego skrzydła Rosjanie od razu odcinali drogę odwrotu dla artylerii na lewym skrzydle. Ale nic! Po kilku chwilach słychać było znowu wolny ogień naszych chłopców, jakby mszczący się za niepowodzenie swoich, i ogień armatni zza Dunajca. Armaty musiały stać gdzieś bardzo blisko, gdyż huk strzału i wybuch pocisku słychać było prawie jednocześnie.

Lewe skrzydło też pracowało — kilka prób rosyjskich przeprawy przez Dunajec utknęło pod silnym ogniem Meisnera, Besermeny'ego i mojej piechoty. Trzymaliśmy się, pomimo, iż oba skrzydła właściwie wisiały w powietrzu i że mieliśmy przed sobą widoczną przewagę nieprzyjaciela. Lecz czuło się, że tak długo trwać nie może. I ja, i Szef — obaj z różnymi myślami — oglądaliśmy się wciąż na prawo, na góry, pomiędzy którymi przechodzi szosa Limanowa—Sącz. Ja oczekiwałem, że usłyszę tam nareszcie karabiny i armaty austriackie. Szef patrzył z obawą, czy stamtąd nieprzyjaciel nie obejdzie naszego prawego skrzydła. Pesymista, niestety — miał — rację.

Nasz bój trwał już może ze trzy kwandranse, gdy nagle od prawego skrzydła doniesiono mi, że nieprzyjaciel wychodzi z lasów już na tyły. I istotnie po chwili usłyszeliśmy już prawie za sobą trzask karabinów maszynowych, a tryumfująca artyleria rosyjska wzmocniła swój ogień na prawe skrzydło, zaginające się mocno ku szosie, na której stałem. Nastą-

piła najkrytyczniejsza chwila dnia. Dalej trwać w tym położeniu było niepodobieństwem.

Wąska, czwartorzędna szosa Limanowa—Marcinkowice była naszą jedyną drogą, która nas łączyła z naszym światem. Biegła ona w wąskiej dolince, wśród prawie nieprzerwanych zabudowań wiejskich. Z prawa, o jakie paręset kroków, wznosił się niewysoki wał, który opadał łagodnie ku południowi, formując znowu wąską dolinę. Za nią były już wyższe wzniesienia, zalesione góry, wśród których szła szosa Limanowa—Nowy Sącz. Pierwszy wał chronił od strzałów karabinów z prawa, od skraju lasów, tylko szosę, sam wał był pod ogniem karabinów i karabinów maszynowych. Szosę samą zaś już nic nie chroniło od widoku z gór zalesionych. Stamtąd można było przez dobrą lornetkę policzyć każdy wóz, każdego konia i człowieka na szosie i, naturalnie, wystarczało postawić tam baterię, aby ruch na szosie uniemożliwić.

Na lewo od szosy teren spadał w dół, formując coś w rodzaju parowu, a potem podnosił się silnie, formując górę, dosyć grubo zalesioną, lecz, jak mnie się zdawało, zupełnie zdatną dla manewrów nawet kawalerii.

Gdyśmy więc z prawa, zamiast spodziewanej pomocy, otrzymali przywitanie w postaci ognia karabinowego, oczekiwałem stamtąd, jako dalszego ciągu, ognia artylerii, a zarazem zajęcia pierwszego wału w tyle poza końcem mego prawego skrzydła, które już i tak walczyło na tym samym wale z frontem na południe, ku lasom na wysokich górach. Przede wszystkim więc trzeba było przedłużyć skrzydło. Poszła na to rezerwowa kompania, poszli saperzy. Jak tylko ukazali się na wale, spotkał ich gęsty ogień karabinowy.

Teraz nie było już innego wyboru. Trzeba się cofać. Przede wszystkim wyprowadzić artylerię z lewego skrzydła na tyły, tak, by ją postawić przeciwko najgroźniejszemu niebezpieczeństwu z prawa. Nie mogę tracić obcych armat. Trzeba wytrzymać, dopóki lewe skrzydło nie cofnie się z daleko wyrzuconego naprzód stanowiska. Posłałem rozkazy odpowiednie, na front zaś i prawe skrzydło polecenie, że muszą wytrwać, aż lewe skrzydło i artyleria się nie wycofa. Wtedy, lecz dopiero wtedy, stopniowo ściągać mają prawe skrzydło z wału, przerzucając je po szosie na przedłużenie skrzydła ku Limanowej.

Szło teraz o to, kto prędzej dokona swego manewru. Czy my zdążymy wycofać swoje lewe skrzydło i wzmocnić się na swoim skrajnym prawym skrzydle, czy Moskale zdążą nas obejść zupełnie i zająć wał koło szosy, na naszych tyłach. Je-

żeli wyprzedzą nas Moskale, mamy drogę odwrotu odciętą. Zepchnięci jesteśmy z szosy do parowu i pod strzałami drapać się musimy na bezdrożną górę, na lewo od nas. Przy rozciągniętym do niemożliwości froncie nie może się to odbyć w porządku, więc muszą być wielkie straty albo po prostu zniszczenie całego oddziału.

I w tej właśnie krytycznej chwili otrzymałem odpowiedź od dywizji na mój ostatni raport. Odpowiedź była oryginalna. Brzmiała ona, że oddział austriacki, tam na górze się znajdujący, może tylko wówczas ruszyć naprzód, jeśli ja wpadnę na skrzydło i tyły nieprzyjaciela! Masz, babo, placek! Nieprzyjaciel mi się pakuje właśnie na skrzydło i tyły, a ja mam szukać jego skrzydeł i tyłów. Akurat w porę rada! Komunikat dodawał, że z powodu przejścia mego oddziału pod inną komendę mam natychmiast odesłać karabiny maszynowe.

Byłem przygotowany teraz na najgorsze. Dotąd jeszcze nie przebolałem straty kawalerii, gdzieś w głębi duszy czułem wyrzuty przeciwko sobie za tę niepotrzebną hekatombę. Narazie dusiłem je w sobie, by nie zawadzały w spokojnym dowodzeniu, lecz czułem, że tylko usuwam na czas pewien surowy sąd, który będę musiał wydać na siebie. A teraz zdawało mi się, że po ułanach przyszła kolej na innych. Czułem dokoła siebie nerwowy nastrój, czułem i w sobie wzrastające «nerwy». Jak zwykle podsuwały one mi coraz czarniejsze przypuszczenia. Więc lewe skrzydło się cofnie. Moskale, oswobodzeni spod jego ognia, przejdą łatwo Dunajec, a raz przeprawiwszy się, wpadną mi już nie tylko na prawe, ale i na lewe skrzydło. Parę sotni kozaków górą łatwo obejdzie cofającą się artylerię i piechotę, no i wówczas koło się zamknie. Nikt z nas stąd nie wyjdzie. Nie wiem co by było, gdybym był sam. Przypuszczam, że poddałbym się rozpaczy i, nie czekając końca, w łeb bym sobie strzelił. Lecz byłem w otoczeniu, gdzie wyczuwałem «nerwy». Budził się we mnie duch przekory i wstyd. Widziałem, że wszyscy patrzą na mnie, oczekując ode mnie wyjścia z opresji. Gniotłem więc w sobie całą rozpacz, by być spokojnym. Paliłem papierosa za papierosem i to może było jedynym dowodem moich nerwów. Mogę jednak zapewnić, że je miałem i że skóra mi cierpła na myśl, co za chwilę stać się musi.

A tu trzeba było czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Okropnym jest czekanie! Niecierpliwość jakaś dusi, wszystko się wewnątrz burzy, by szukać jakiegoś ratunku, wymyśleć jakieś sposoby, by zapobiec złemu! Zwykle, gdy się temu nastrojowi poddaje, wprowadza się tylko chaos i nieporządek. A jed-

nak to takie ludzkie! Czułem to w sobie i gwałtownym wysiłkiem woli zmuszałem siebie do spokoju. Zrobione już jest wszystko, jedyną rezerwą jest nasza garstka przy mnie — kilku oficerów i ordynansów. Reszta wszystko w ogniu. A ogień wzrasta. Słyszę, jak coraz częściej grzmią nawałnicowo nasze karabiny, zatem nieprzyjaciel, ośmielony powodzeniem, coraz częściej szuka zbliżenia z nami.

Wreszcie ogień naszych armat ustał — a więc rozkaz cofania się doszedł — lewe skrzydło zaczyna się zwijać. Z tego miejsca, gdzie stoję, nie będę widział drogi, po której będą schodzić z góry. Obejrzałem się. O kilkaset metrów za mną, obok drogi, na wzniesieniu, stał kościół murowany. Odejdę tam i będę czekał na przejście artylerii. Kościół dokoła otoczony murem, nawet nasza mała garstka może się jeszcze przez czas pewien bronić, jeżeli już sądzono nam dzisiaj zginąć. Wolnym krokiem ze spuszczoną głową otwieram nasz odwrót. Uszedłem paręset kroków, gdy ktoś mnie szarpnął za rękaw.

— Komendancie! Grzmot z jakimś meldunkiem do Komendanta!

Obejrzałem się. Przy szosie, wyprostowany, jak struna, stał ułan, istotnie — Skotnicki. Spojrzałem na jego twarz i odechciało mi się pytać: twarz mówiła swój hiobowy raport. Ładny, jak malowanie, chłopak, wyprostowany, salutował. Oczy miał podkrążone i wpadnięte głęboko, usta czarne, spalone gorączką. Widać było na twarzy wielką wewnętrzną walkę, by nie rozpłakać się.

— Obywatelu Komendancie! — mówił. — Belina przysyła mnie po rozkazy. Dwóch oficerów i dwudziestu czterech ułanów stoi do dyspozycji Komendanta.

— Jezu! — jęknęło coś we mnie — a posłałem ich stukilkudziesięciu. — Nie miałem chęci pytać o szczegóły, było to ponad moje siły. Może nawet uraziłem tym Skotnickiego, lecz przybrałem chłodną minę, tak, jakbym jego raport uważał za rzecz zupełnie prostą.

— Obchodzą nas z prawa — powiedziałem — nie mam już ani jednego człowieka w rezerwie. Sprowadzicie tu na szosę Belinę i macie przedłużyć skrzydło. Odpoczniecie potem! Chwila jest bardzo krytyczna. Dołączyć lewym ramieniem do saperów!

Nie patrzyłem na młodego oficera. Bałem się wewnętrznie wyczytać w twarzy jego ślady wyrzutu. Chłopak zasalutował, brzęknął ostrogami i odszedł. Zbliżałem się do kościoła. Istotnie stąd można było widzieć nieco więcej.

Walczyliśmy już teraz prawie wyłącznie z frontem na

południe. Chłopcy leżeli długą rzadką linią na wale, równolegle do drogi, którą cofaliśmy się. Wzdłuż nad nimi raz po raz pękały szrapnele. Z lasu naprzeciw nich wypadały od czasu do czasu łańcuchy tyralierskie, ogień nasz się wzmagał i zatrzymywał atakujących. Najbliżej Moskale podeszli w najbardziej na wschód wysuniętej części frontu, niedaleko od Marcinkowic. Bliżej do mnie, ku zachodowi, było jeszcze pomiędzy liniami sporo przestrzeni. Odetchnąłem, niebezpieczeństwo nie takie jeszcze groźne, jak myślałem. Może nadążymy! Tylko teraz zaczną napierać i od wschodu, wprost na szosę. Moje lewe skrzydło, które broniło przeprawy przez Dunajec, już sporo czasu jak milczy. Obejrzałem się na lewo i spostrzegłem jeszcze dosyć daleko na zboczu pomiędzy drzewami juczne konie baterii, schodzące na dół do parowu. Jeszcze jaki kwadrans i już można zacząć zwijać front od Rdziostowa.

Z naprzeciwka z plebanii wyszedł staruszek ksiądz, pytając, czy nie może czym służyć. Przypomniałem sobie, żem właściwie od kolacji poprzedniego dnia nic nie jadł. Przed plebanią wypiłem łapczywie parę szklanek mleka. Zacny ksiądz raz po raz wybiegał z mlekiem, gdy widział, że przenoszono czy przeprowadzano rannych. Było ich zresztą wciąż na szczęście niewielu.

Jeśli jednak nieprzyjaciel nie obchodził nas z bliska zbyt szybko, za to na górach koło szosy obejście było znacznie głębszym. Tam widać było na łysinach lasów grupy i grupki, znacznie dalej posunięte, niż to było na dole u skraju lasów, na zboczach gór. W paru miejscach widać było pracę koło okopów.

Wreszcie gdzieś z daleka rozległ się znany mi z boju pod Laskami cichy, lecz głuchy odgłos strzału — ciężka artyleria. Istotnie! — zaraz potem rozległ się powolny, wśrubowujący się w powietrze lot pocisku. Ten odgłos gdzieś z góry zbliża się tak powoli, że oko bezwiednie szuka go w powietrzu, a zarazem tak złowrogo i nieubłaganie świszczy i sepleni tam coś w powietrzu, jakby mówiło ono: — Nie ujdziesz! Ja, śmierć pewna, idę ku tobie, a idę powoli, nie spiesząc się, bo chcę widzieć, jak twarz ci blednie przedtem, nim umrzesz! — W tym złowrogim świście pocisków ciężkiej artylerii jest odcień chichotu, chichotu siły, złośliwej, pewnej siebie, leniwie poruszającej się i urągającej bezsilnemu człowiekowi. Nie ma w nim tego pośpiechu, gorączki i krzykliwości polowych armat i ich pocisków.

Pocisk przeleciał powoli nad nami, za chwilę rozległ się wybuch, połączony z jakimś jękiem, jakby ziemia ciężko

westchnęła, przyjmując w swe łono tego potwora. Z ulgą oglądamy się wszyscy, kontrolując, gdzie padł pocisk. Z parowu za szosą podnosi się w górę fontanna ziemi, wykwitając stamtąd potwornym kaktusem.

— Kuferek!... — słyszę szepty z odcieniem szacunku dokoła.

Rozstrzygam w myśli zagadkę, do czego właściwie wstrzeliwuje się artyleria: do nas, stojących przy kościele, czy do zbliżającej się do parowu mojej baterii. Po kilku strzałach jasnym już jest, że celem «kuferków» jest moja artyleria. Ściągnęła ona na siebie baczność obserwatora i teraz widać, jak raz po razie niedaleko od niej wybuchają «kuferki». Myślę z pociechą, że gorzejby było, gdyby pociski padały koło nas. Nie o nas osobiście mi szło, lecz o cały oddział, który musiałby się cofać wśród palących się chałup i zabudowań. «Kuferki» tym razem nie zrobiły żadnej szkody, przeszkodziły tylko Meisnerowi stanąć raz jeszcze na pozycji dla przykrycia cofania się piechoty. Odważny oficer spróbował znaleźć ukrycie w załomie gruntu i już zaczął rozjuczać konie, lecz nieprzyjaciel ze swych gór doskonale mógł obserwować. Kilkanaście «kuferków» wystarczyło, by przepłoszyć konie i uniemożliwić tę pozycję. Biedny Meisner musiał cofać się dalej, ścigany od czasu do czasu «kuferkami».

Ogień na froncie, osobliwie bliżej do Marcinkowic, wzmacnia się, specjalnie coraz silniejszym jest ogień artylerii rosyjskiej. Teraz, gdy Meisner zamilknął, jedna z rosyjskich baterii wyjechała wprost na otwartą pozycję, by wygodniej strzelać. Lecz zarazem przychodzi wiadomość, że już i moi zaczynają się cofać. Wkrótce odbieram osobisty meldunek Bojarskiego. Z jego batalionu została, jako ostatnia, kompania Milki. Gdy odchodził z resztą, ogień był bardzo silny. Moskale już się przeprawili przez Dunajec. Każę przenosić punkt opatrunkowy dalej w tył. Jestem już znacznie spokojniejszy. Jeśli dotąd Moskale nie zdążyli nas połknąć, to może wytrzymamy do wieczora. Dzień krótki i powoli, cofając się krok za krokiem, odejdziemy. O prawe skrzydło już się nie boję, mam znowu trochę rezerwy w garści i jakoś Moskale z tej strony nie zanadto silnie atakują, pomimo swej przewagi. Bardziej zaczynam się bać teraz o lewe skrzydło, gdzie Moskale po przejściu Dunajca łatwo mogą się posuwać niepostrzeżenie dla mnie zalesioną górą. Dotąd jednak i stamtąd żadnego groźnego meldunku nie ma. Tylko tam na wschodzie szum boju stale się zwiększa. W ślad za punktem opatrunkowym odchodzę i ja ze sztabem w tył ku Pisarzowej. Staję na plebanii. Tu otrzy-

małem przykrą wiadomość, że Milko zabity: szklanka szrapnelowa rozpłatała mu głowę. W kompanii jego ciężkie straty, niektórych rannych nie zdążono przy cofaniu się zabrać z sobą. Lecz zarazem przychodzi pociecha. Wpada, jak bomba, Belina i widzę już z wyrazu twarzy, że po prostu wstrzymuje się gwałtem od wybuchu radości.

— Komendancie! Ułani prawie wszyscy są, straciłem zaledwie piętnastu, z nich pięciu już odesłałem do szpitala, z dziesięciu nie wiem, co się dzieje.

— Więc wyszli! — podskoczyłem.

— Wyszli! Ale mieliśmy piekło! Brr!... Skąpaliśmy się wszyscy teraz w grudniu w Dunajcu i to pod karabinami maszynowymi.

Teraz dowiaduję się szczegółowo. Poszli na owe tabory i, zamiast nich, spostrzegli artylerię. Wystrzelali, co prawda, część obsługi baterii, która odprzodkowywała działa do strzału, ale wyszła na nich piechota z karabinami maszynowymi. Trzeba było się cofać, a droga koło mostu była pod strzałami z góry. Musieli trzymać się bardzo blisko góry, aby być choć trochę ukrytymi. Drobnymi grupami ułani rzucali się do Dunajca i szli wpław pod gradem kul na brzeg przeciwny. Było bardzo ciepło!

— Ale — dodał Belina — straciłem dwadzieścia dwa konie. Takem się cieszył z owych trzynastu kozaków, które Grzmot zdobył poprzedniego wieczora, a tu masz znowu szwadrony zmarnowane!

— Niepoprawny koniarzu! — krzyknąłem — co mi tam wasze konie! Ułani wrócili — to grunt. Kamień mi z serca spadł, rozumiecie Belina?!

— Dobrze Komendantowi mówić — «ułani» — kłopotał się Belina — co wart ułan bez konia?

Rzeczywiście kamień spadł mi z serca. Innymi już oczami patrzyłem na świat; przygnębienie minęło i od razu wraz z moralnym życiem przyszedł wściekły apetyt. Nie było jednak nic, czymbym mógł głód zaspokoić. Bagaże moje i sztabu z jakimi takimi zapasami cofnęły się za daleko, a gospodarz-ksiądz oświadczył, że nie ma nic — Moskale wszystko zabrali. Ledwie, ledwie, po długich targach otrzymałem niewielki kawałek chleba. Czułem, że ksiądz nie mówi prawdy, ale nie chciałem robić awantury, tym bardziej, że szum boju zbliżał się ku nam i ksiądz wraz z całym swoim otoczeniem gdzieś znikł i skrył się. Wyszedłem na drogę. Koło mnie posuwali się lżej ranni; ciężej rannych na wozach, wyłożonych słomą, odwożono na tyły. Biedne, drogie chłopaki! Rzadko który z nich

jęczał, a nawet, gdy jęczał, zobaczywszy mnie, przestawał i starał się w jakikolwiek sposób oddać mi wojskowe honory. Zabawnym był jeden z nich.

Spostrzegłem go z daleka, gdy wychodził z izby, gdzie był punkt opatrunkowy. Młody zupełnie chłopiec szedł, opierając się o karabin, z miną niezwykle rozpromienioną. Spostrzegłem na bluzce ślady krwi; zrozumiałem, że jest raniony w piersi. Szedł spokojnym, równym krokiem i, zbliżywszy się do mnie, zarzucił karabin na ramię, by mi zasalutować.

— Z którego batalionu, chłopcze? — rzuciłem zapytanie.

— Z trzeciego, Obywatelu Komendancie!

— Gdzieście oberwali?

— W serce! — odpowiedział, a w głosie czuć było dumę z tak niezwykłej rany.

— Głupstwa gadacie! Gdzieżbyście spacerowali z taką raną?

Istotnie jednak ślady krwi na bluzce były w okolicy serca.

— Ależ, Komendancie! Nie kłamię, proszę spytać doktora! — mówił urażony. Zaśmiałem się i puściłem go dalej, a szedłem zapytać doktora. Okazało się, że chłopak miał szalone szczęście. Kula przebiła mu pierś w czasie największego skurczu serca i właściwie przeszła przez miejsce w którym sekundę wcześniej czy później musiałaby zawadzić o serce. Gdy lekarze go opatrywali, przez żart powiedzieli mu, że jest ranny w serce, ale będzie zdrów. Chłopak więc miał rację, gdy się uraził z powodu mego niedowiarstwa.

Inny ranny, który mnie rozśmieszył, był Wieczorkiewicz. Spostrzegłem go, gdy opierając się o żołnierza, kusztykał na tyły. Zawołałem go do siebie.

— Co z Wami, Wieczorkiewicz?

— Noga, Komendancie! — syknął z bólu — szklanka szrapnelowa uderzyła po kostce. Wściekle boli!

Spostrzegłem, że na obu nogach ma buty, więc chyba rana nie jest ciężka.

— Zrzucajcie do licha but, lżej Wam będzie!

— Istotnie! może lepiej...

Zaczęto ściągać mu but z nogi. Biedak przy każdym poruszeniu buta syczał z bólu i spostrzegłem, że mu pot występuje na czoło.

— Dajcie spokój takiemu ściąganiu — zawołałem — rozciąć cholewę i but sam spadnie z nogi. Po co się męczyć!

— Nie! nie — obruszył się ranny — nie, Komendancie! Nie psuć buta, takich dobrych butów już nigdzie nie dostanę!

Z biedą i bólem po kwadransie ściągnięto mu obuwie.

Najparadniejszym było to, że istotnie ranę dostał w rękę, noga zaś była kontuzjowana przez uderzenie, lecz biedak czuł ból tak silny w nodze, że o ranie w ręku zapomniał zupełnie.

Bój powoli zacichał. Moskale zadowolili się tym, że zepchnęli nas z okolicy Marcinkowic i Rdziostowa. Widocznie musieli mieć znaczne straty i teraz porządkowali swe pomieszane oddziały. Mogliśmy odetchnąć chwilkę i uporządkować się także. Zdecydowałem się, by cofać się zwolna aż do wyrównania naszej linii z austriacką. Powoli, metodycznie, kompania za kompanią, odchodziliśmy bez wielkiego nacisku nieprzyjaciela. Pod wieczór stanąłem w zachodnim końcu Pisarzowej, rozciągnąwszy swą linię wszerz całej doliny od podnóża Kaniny aż do wzgórza na lewo od drogi Limanowa—Marcinkowice. Bój marcinkowicki został skończony. Straty moje wynosiły 92 ludzi: najbardziej ucierpiał I batalion, który wraz z kompanią Wieczorkiewicza z III batalionu najdłużej stał w najbardziej zagrożonym punkcie pod krzyżowym ogniem artylerii i karabinów maszynowych.

Pomimo, iż dzień 6-go grudnia 1914 r. zaliczam do najcięższych, przeżytych w ciągu wojny, lubię wspominać Marcinkowice, jako jedną z najładniejszych bitew, jakie stoczyłem. I tu, jak w Ulinie, wyszedłem z fałszywej, nieodpowiadającej istocie rzeczy podstawy. Byłem, mianowicie, przekonany, że nieprzyjaciel cofa się i opuszcza Nowy Sącz akurat wtedy, gdy w rzeczywistości odwrotnie — dnia tego rozpoczynał się atak na większą skalę. Nie chcę twierdzić wcale, że jest dobrym na wojnie wychodzić z fałszywej podstawy i błędnie szacować działania nieprzyjaciela. Biorę bój marcinkowicki tylko jako przykład tej starej, odwiecznej prawdy o wojnie, prawdy, którą formułuję tak, że działanie wojenne to rozwiązywanie równań, gdzie liczba niewiadomych ogromnie przewyższa ilość równań samych. Zresztą, gdyby kto mnie chciał źle sądzić, tobym odpowiedział, że mnóstwo wielkich wypadków wojennych zawdzięcza swe istnienie jedynie wskutek przyjęcia fałszywej podstawy. Wspomnę tylko o jednym przykładzie — o wielkim zwycięstwie marszałka Davout pod Auerstädtem. Marszałek jedynie dlatego był tak śmiałym, bo był przekonany na podstawie błędnych dyrektyw Napoleona, że miał przed sobą 14 października 1806 r. nie główną armię pruską, lecz jakąś boczną jej osłonę. Nie mając zresztą zamiaru przyrównywać się do tych wielkich postaci wojennych, powiem, że byłem również tak śmiałym jedynie na skutek przypuszczenia, iż mam przed sobą cofające się oddziały rosyjskie. I wyznam, dotąd nie mogę zrozumieć zachowania się Rosjan wieczorem dn. 5-go

i w nocy z 5-go na 6-ty. W każdym razie było ono takim, iż do śmiałości zachęcało.

Dzisiaj, gdym Marcinkowice już zupełnie na chłodno z dziesięć razy przemyślał i przeanalizował, znajduję tylko jeden fakt, który powinien był mnie uczynić ostrożniejszym, a który oceniłem fałszywie jedynie dlatego, że wszystkie inne fakty dawały mi obraz inny. Idzie tu o charakter turkotu, który słyszałem na górze Rdziostowskiej. Tabory rosyjskie, a i chłopskie wózki, które mogły być tu użyte, nie dawałyby odgłosu tak ciężko ładowanych wozów, jak ten, któryśmy słyszeli w Rdziostowie. Ale i tutaj brak odpowiedzi na naszą zaczepkę, nadzwyczajnie dla artylerii prowokacyjną, nie dopuszczał myśli, aby obok nas maszerowało wojsko, idące do ataku. Powtarzam, nie znajduję dobrego wytłumaczenia zachowania się nieprzyjaciela tej nocy. Bo przecie III rosyjski korpus przemaszerował spiesznymi marszami do Nowego Sącza i okolic nie dlatego, aby mnie z moim małym oddziałem zwodzić.

Położenie strategiczne było wówczas nadzwyczaj naprężone dla obu stron i z przyjemnością myślę o tym, że dzięki mojej śmiałości i dzielnemu zachowaniu się moich paru batalionów pomogłem dużo tej stronie, po której walczyłem. Odwrotnie — Rosjanie przez swoje niezręczne prowadzenie sprawy stracili dużo. Wówczas, dn. 5-go grudnia, atak wojsk austriackich i niemieckich (47-ma dywizja «landwehry»), prowadzony na północ w kierunku Bochni, wyraźnie się zaznaczył. Nasze słabe oddziały pod Limanową były przykryciem ich skrzydła i tyłów. Wzmocnienie naszego odcinka i wojsk, atakujących na północ, odbywało się bardzo powoli. Jeszcze 8 grudnia pod Limanową była to mieszanina najrozmaitszych formacyj landszturmowych, nie wyłączając «financów» i «żandarmów». I oto w tej krytycznej chwili przychodzi VIII korpus, siła, znacznie przewyższająca wszystko, co pod Limanową tego następnego dnia mogło być zebrane. Część tego korpusu maszeruje prawym brzegiem Dunajca do doliny Łososiny — doliny, która szła za górą, za naszym lewym skrzydłem podczas bitwy marcinkowickiej. Że Moskale spieszyli się, tego dowodzi ich wymarsz z Nowego Sącza. I oto na swej drodze napotykają mnie na górze Rdziostowskiej, absolutnie panującej nad prawym brzegiem Dunajca, po którym marsz się odbywa. Napotykają nas jedynie dlatego, że lekkomyślnie dopuszczono bym tę górę zajął. Marsz Rosjan się przerywa, aby mnie odrzucić na bok.

I tu właśnie jest ciekawym, jakich sił użyto dla osiągnię-

cia celu. Ja oceniałem całość sił, wprowadzonych do boju, na 3—4 bataliony, tzn. na dwa razy większą liczbę batalionów, niż moja. Ponieważ zaś bataliony rosyjskie niechybnie były liczniejsze, niż moje, więc rachowałem, że mam do czynienia z 2½ do 3 razy silniejszym nieprzyjacielem. Lecz nazajutrz wzięto do niewoli kilku żołnierzy rosyjskich, których rozpytywałem o cały przebieg bitwy. Okazało się, że przeciwko mnie rzucono dwa pułki, więc 8 batalionów, w rezerwie zaś za rzeką zatrzymano w marszu jeszcze jeden pułk (4 bataliony). Walczyliśmy więc właściwie 1 przeciwko 5, może 6, związaliśmy zaś w ruchu prawie całą dywizję, czyli prawie połowę tegoż VIII korpusu.

Następnie, moja akcja przyniosła zysk na czasie. Wobec tego, że posiłki na nasz front przybywały bardzo wolno, więc wszelka wygrana na czasie była bardzo pożądana. Jeszcze 8-go grudnia byliśmy pod Limanową słabsi od nieprzyjaciela, cóż zaś mówić o 6-tym. Otóż 6-go nieprzyjaciel, nie będąc zatrzymanym przeze mnie, byłby doszedł pod samą Limanową, tym czasem przez nierówny bój marcinkowicki i nocną eskapadę artyleryjską został zatrzymany o całe 16 godzin, 16 godzin, tak cennych przy powolnym działaniu kolejowych komunikacyj na tyłach. Jest to zasługa przede wszystkim moich chłopaków, którzy walcząc 1 przeciw 6 przez cały dzień, cofnęli się tylko o 12 kilometrów, zatrzymując cały czas na sobie ogromną przewagę nieprzyjaciela. Nie mogę jednak nie przyznać, że nie mała część zasługi spoczywa na mnie i to głównie z powodu śmiałości rzucenia się na górę Rdziostowską, ostrzeliwania nocnego Sącza i maszerujących kolumn, wreszcie z powodu rzutu kawalerii na Dunajec.

Śmiałość daje swoje efekty wszędzie, specjalnie na wojnie. Zmusza ona do fałszywej oceny sił, fałszywej «in plus» dla śmiałego. Jestem mocno przekonany, że Rosjanie przeceniali moje siły tak samo, jak ja ich niedoceniałem. Byli więc zanadto ostrożnymi, zanadto powolnymi w działaniach, — jednym słowem, tracili dużo czasu, obawiając się fantomów, nie rzeczy realnych. Ten zaś ich stan psychiczny wywołany był działaniem śmiałym, które kazało im przypuszczać, że rozporządzamy odpowiednią siłą. Inaczej nie mogę sobie zupełnie wytłumaczyć całej bitwy, ani też tego, żeśmy wyszli z niej cało, gdy wszystko: liczba, teren, przewaga artylerii — wszystko przemawiało za tym, abyśmy zostali zgnieceni i zniszczeni przez wroga. Z chwilą, gdym nie przerwał boju po moim wyjściu z Marcinkowic i rozwinął wszystkie swoje siły, byłem, zdaniem moim, według wszelkich zimnych i chłodnych rachub skazany

wraz z całym oddziałem na zagładę. Zostaliśmy zaś ocaleni jedynie dlatego, że do tej zimnej rachuby, do tych matematycznych i technicznych równań wrzucone zostały nieważkie, niematerialne i nie dające się w liczbach i miarach wyrazić czynniki psychiczne: śmiałość nasza i wywołana nią ostrożność i powolność przeciwnika, niedocenianie i przecenianie nieprzyjaciela u kierowników boju, wreszcie dzielność naszych żołnierzy. Pod tym względem bój marcinkowicki zawsze pozostanie dla mnie przeżytym przykładem wielkiego znaczenia na wojnie czynników psychicznych, tak trudno dających się obliczyć i opanować.

Wracając do szczegółów boju, przede wszystkim interesował mnie zawsze skutek nocnego ostrzeliwania Sącza tylko według względnie niedokładnej mapy bez poprzedniego wstrzelania się do celów, tak, na chybił-trafił. Mając na celu tylko psychiczne wrażenie na nieprzyjacielu, nie liczyłem wcale na wielkie powodzenie. Kiedy potem w kilka dni wreszcie trafiłem do Sącza, rozpytywałem o tę noc i o skutek strzelania. Wypadek chciał, — bo, naturalnie, o celnym strzelaniu mowy być nie mogło — że jeden z pierwszych granatów padł szczęśliwie na baterię artylerii, stojącą niedaleko od mostu, uszkodził jedno działo i poranił kilku artylerzystów. Koło mostów zostało też rannych i zabitych kilku żołnierzy. Wywołało to popłoch w komendzie, która kazała gasić światła i zaczęła robić poszukiwania za telefonem, gdyż nie przypuszczano, aby tak celne strzały mogły być wypadkowe. Sądzono, że kieruje nimi ktoś telefonicznie z miasta. Opowiadano mi też o tym, że jeden z granatów wpadł do domu, zajętego przez żołnierzy, lecz nie wybuchł i oprócz dziury w dachu i suficie szkody innej nie zrobił.

Co się tyczy mego niefortunnego rzucenia ułanów za Dunajec w pogoni za rzekomymi taborami, to przyniosło ono nieprzyjacielowi dużo szkody. W Nowym Sączu opowiadano mi, że już rano przywieziono do miasta bardzo dużo rannych, a pomiędzy nimi było wielu artylerzystów i to oficerów. Tym więc razem śmiałość zrobiła swoje. Zatrzymała nieprzyjaciela i osłabiła go w tym, czym najsilniej mógł nam dać odczuć swą przewagę — dobrze prowadzonym ogniem artylerii. Na swoje przed sobą usprawiedliwienie zawsze przytaczam fakt, że nie byłbym puścił kawalerii, gdybym nie był pewien, że most, a zatem i najbliższe otoczenie mostu jest przez nas opanowane. Nigdy nie przypuszczałem, aby saperzy zadowolili się zwyczajną policyjną obsadą mostu i pozwolili, aby nieprzyjaciel tuż koło mostu wlazł na górę, spokojnie na niej się okopał

i postawił tam karabiny maszynowe, które panowały zarówno nad mostem, jak nad całą rzeką, przez którą przy odwrocie przeprawiali się wpław moi ułani. Na początku wojny nieraz miałem do czynienia z takimi niedostatecznie przemyślanymi czynnościami wśród dzielnych skądinąd oficerów. Dopiero po pewnym czasie doświadczenie wojenne nauczyło ich oceniać sytuację i teren, tak, że nie trzeba było nigdy tłumaczyć, jak dany rozkaz wypełnić należy. Może być, że błędem moim było niewzięcie dostatecznie pod uwagę tego braku doświadczenia, jak również wydanie rozkazu, nie rozwijającego szczegółowo, na czym polegać ma zabezpieczenie mostu przez saperów.

Jak ułani wyszli z tego piekielnego kociołka, do którego ich wepchnąłem, zrozumieć trudno; wszystko przemawiało za tym, że stanie się tak, jak brzmiał pierwszy meldunek Skotnickiego. Lecz i straty w piechocie były stosunkowo małe. W ciągu całego dnia walczyła ona jeden przeciwko sześciu, stała godzinami na pozycji nieokopanej, miała front, ułożony z konieczności tak, że większość jej była pod skrzydłowym ogniem paru bateryj. A mimo to straciłem tylko stu ludzi — zatem pięć procent całego oddziału. Moskale, co prawda, strzelali według starej mody salwami. Salwami do leżącej piechoty! Nic dziwnego, że tym razem sprawdziły się filozoficzne słowa mego adiutanta Dzieduszyckiego, który zawsze twierdził, że kula ma skłonność do spacerowania powietrzem dookoła człowieka. Dzieduszycki był tym razem w zgodzie z dowcipnym i inteligentnym obserwatorem wojny, gen. Hamiltonem. Ten, patrząc się na atak sławnej brygady japońskiej gen. Okasaki, spostrzegł, jak grad kul rosyjskich otoczył po prostu kurzem idącą do ataku japońską piechotę, a z atakujących przewracało się bardzo mało, tak, jak gdyby kule umyślnie były wycelowane w przestrzeń pustą pomiędzy ludźmi. Filozoficzna uwaga przy tym gen. Hamiltona brzmiała nieco inaczej, niż u Dzieduszyckiego. Dodaje on mianowicie z pewną ironią: «Zauważono, że zwykle bywa tak, gdy wojsko źle strzela». Sądzę, że i pod Marcinkowicami uwaga Hamiltona tłumaczy wszystko.

Spomiędzy rannych i zostawionych na polu przy cofaniu się znaleźliśmy wszystkich. Jednych spotkaliśmy w Nowym Sączu w szpitalu, gdzie ich zostawili Moskale przy ostatecznym wycofaniu się z miasta. Innych poukrywali u siebie włościanie, przebierając ich po swojemu. Opowiadano mi o zabawnym epizodzie, gdy chytry góral wyprowadził w pole prostodusznych braci z nad Wołgi. Góral ukrył u siebie jednego z rannych moich chłopców i położył go u siebie w chacie. Gdy nadeszli Moskale i chcieli wejść do chaty, zawołał na nich: —

Ostrożnie, tam leży człowiek chory na cholerę! — Otworzyli tylko drzwi i, zobaczywszy istotnie chorego na łóżku, uciekli. Do tej «cholerycznej» chaty zakazano potem chodzić, izolowano ją, pozostawiając rannemu swobodę. Jeszcze jeden dowód serdecznego do nas stosunku Podhalan!

Straty Rosjan musiały być znacznie większe. Nie mówię o stratach, które ponieśli w początku boju przy starciu z kawalerią, ale parokrotna, nieudana próba przejścia pod ogniem Dunajca musiała kosztować niemało ofiar. Atakujący od Rdziostowa nie byli również jakoś zbyt pochopni do szybkiego zbliżenia się z I batalionem, musiały więc też zatrzymywać ich straty. Nie potrafię, naturalnie, orzec teraz, czy uwaga Hamiltona zastosowaćby się nie dała i do nas pod Marcinkowicami i czy nasze kule tak samo nie miały skłonności do szukania sobie drogi pomiędzy ludźmi. Muszę jednak przyznać, że ogień nasz sprawiał wrażenie znacznie bardziej celowego i porządnego, niż rosyjski. Nie mówię już o całkiem dziwnych salwach, które ze strony Rosjan raz po raz się rozlegały, lecz o tym, com mógł skonstatować z oddali. Ożywienie naszego ognia czuć było wtedy, gdy się ukazywały cele dla niego, i zamierał on, gdy nie było właściwie po co psuć nabojów. To świadczyło o rozsądnym prowadzeniu ogniowego boju, a zatem przypuszczalnie i o skutkach jego.

Nazajutrz — 7-go grudnia — miałem sposobność oglądać zjawisko ciekawe i takie, którego prawdopodobnie już żaden z wojskowych nie zobaczy. Mianowicie — naszą «dymną» artylerię przy pracy. Rosjanie atakowali nas i nazajutrz — prawie na całej linii. Specjalnie próbowali obejść moje lewe, wiszące całkiem w powietrzu, skrzydło. Ześrodkowałem tam na wszelki wypadek rezerwę, a bój sam prowadziła właściwie artyleria. Meisner ze swymi nowoczesnymi armatami stanął znacznie dalej, dobrze ukryty, i stamtąd prażył nieprzyjaciela. Brzoza ze swymi ośmiu armatkami nie mógł pójść w jego ślady, musiał stanąć prawie za własną piechotą na pozycji, prawie zupełnie odkrytej i widocznej dla Rosjan.

Gdyby zresztą można było ukryć armatki za jakimś załomem gruntu, byłoby to zupełnie nieużytecznym, bo armaty dymiły haniebnie. Było zabawnym patrzeć na te «werndle na kółkach». Wyglądały one, jak złe pieski na uwięzi. Za każdym strzałem taki potworek podskakiwał, jak na łańcuchu, i śmiesznie przewracał się lub odskakiwał w tył. Chłopcy, którzy przy nich pracowali, wciągali znowu potworka na należyte miejsce, pakowali weń nabój i... znowu to samo. Pagórki na prawo od szosy — gdzie właśnie stała artyleria Brzozy — dy-

miły, jak wulkany. I dziwna rzecz — artyleria rosyjska słała pocisk za pociskiem ku Meisnerowi, zostawiając całkiem prawie bez uwagi tak jasno widoczne cele. Od czasu do czasu pękł nad artylerią Brzozy jakby zabłąkany szrapnel. Chłopcy przy armatach pracowali szalenie i mieli ten rzadki dla artylerii zaszczyt, że pracowali w ogniu karabinowym, gdyż dla osiągnięcia nieprzyjaciela musieli stanąć blisko do niego. Przecie karabiny swą dalekonośnością przewyższały tę «polską» artylerię. Mam cały szacunek dla oficerów i żołnierzy z artylerii. Wyznam otwarcie, że nie należę do rzędu ludzi tchórzliwych, a jednak pomimo ciekawości trzymałem się od swoich armat w należytym oddaleniu. Wydawało mi się koniecznym, że ściągną one na siebie cały ogień artylerii rosyjskiej, tak widocznymi były na całym prawie polu bitwy. Tym bardziej powinny były wywołać reakcję ze strony nieprzyjaciela, że praca artylerii była skuteczną; kilka razy Rosjanie podsuwali się do naszego lewego skrzydła i za każdym razem spotykał ich prawdziwy huragan szrapneli i granatów, za każdym razem cofali się z powrotem. A jednak, powtarzam, pozostaje faktem, że artyleria rosyjska nie raczyła ostrzeliwać naszych armat. Ciągle oczekiwałem, że zwali się na nie cały ciężar ognia przeważającej artylerii. Nie! Do końca dnia Rosjanie pozostawili Brzozę w spokoju. Nie mogłem sobie nigdy wytłumaczyć tego zjawiska inaczej, jak przypuszczeniem, że obserwatorzy rosyjscy brali kłęby dymu za maskę i oszukaństwo i w tych wulkanach i błyskach nie podejrzewali artylerii. Brzoza strzelał zapamiętale — postanowił on wystrzelać całą amunicję. Wiedział, że już więcej tej amunicji nie ma nigdzie, przypuszczał więc, co okazało się słusznym, że może to da asumpt do zmiany armat na bardziej nowoczesne. Istotnie, po bitwie pod Pisarzową powędrowały wreszcie nasze «werndle na kółkach» tam, gdzie powinny się były znajdować od dawna, do muzeów artyleryjskich i na szmelc. Nasze szczęście doprawdy, że nie było większych zapasów amunicji do tych przestarzałych armat, jestem bowiem przekonany, że w znacznie cięższych bojach później występowalibyśmy wciąż z naszymi «werndlami», upiększając dymem prochowym nowoczesne bezbarwne pola bitew! Po Pisarzowej Meisner mówił mi, że po prostu oczom swoim nie wierzył, gdy zobaczył nasze armaty. Po bitwie marcinkowickiej nabrał on wielkiego respektu dla naszej piechoty, której w najcięższych wypadkach zaufać można, ale jako artylerzysta jeszcze bardziej począł szanować naszych artylerzystów po tym, co widział w Pisarzowej. Miał on ciągle te same uczucia, co ja, oczekiwał lada chwila zniszczenia naszych armat

przez huragan pocisków rosyjskich, gdy taki wdzięczny cel na polu bitwy się ukazał. A jednak! jednak artyleria wyszła cało, tak, jak dnia poprzedniego wyszła cało kawaleria i cały oddział. Mieliśmy jednak, trzeba przyznać, dużo szczęścia na tej wojnie!

Z pobytu w Pisarzowej pamiętam jeszcze przykre spotkanie z rodakami. Na wieść, że moje lewe skrzydło jest zagrożone, wysłano mi, jak się później dowiedziałem, na pomoc dwie kompanie landszturmu polskiego, świeżo sformowanego i naprędce zebranego. Dowodzili tymi kompaniami jacyś równie przestarzali, jak nasze «werndle na kółkach», lejtnanci rezerwowi, «rodacy». Przywędrowali oni, naturalnie, gdy było już po wszystkim, gdy wieczór położył koniec wszelkim zakusom obejścia naszego skrzydła. Nie o tę spóźnioną jednak pomoc idzie mi w tym wypadku, lecz o stosunek tych panów do nas. Spotkanie z nimi było tak charakterystyczną ilustracją stosunków, z jakimi mieliśmy do czynienia, że warto je opowiedzieć szczegółowiej. Było to już wieczorem, gdy otrzymałem rozkaz o cofnięciu całej linii bliżej do Limanowej i o przejściu moim do rezerwy. Zjedliśmy już kolację i przy papierosach i gawędce czekałem ze swoim sztabem na ściągnięcie wojska i na konie. Nagle do pokoju wkroczyły dwie czy trzy postacie w austriackich uniformach — byli to owi dowódcy kompanij landszturmowych. Żaden z nich nie zameldował mi się, jako starszemu od nich oficerowi, ba — żaden z nich nie raczył się nawet przedstawić. Była w nich straszna duma z powodu uniformu, który mieli na sobie, i straszne lekceważenie w stosunku do «bandy», nie mającej tak wysokich, jak oni, przywilejów. Byli przy tym dostatecznie nieokrzesani i niekulturalni. Zaczęli coś bąkać o tym, że przyszli do «rodaków», że chcą się czegoś dowiedzieć i po długich wywodach powiedzieli coś niewyraźnego o pomocy, jaką mają nam okazać. Paru moich oficerów skoczyło, by ich wprost wyrzucić za drzwi — tak oburzającym było to nieprzyzwoite ich pod względem wojskowym i towarzyskim zachowanie się. Powstrzymałem moich oficerów. Gdyby byli to nie Polacy, chętniebym zezwolił na zrobienie przykrości takim gościom, lecz tu brała mnie chętka wypicia kielicha goryczy «polskiego żołnierza» do dna. Nie pierwszy raz spotykałem ten stosunek ze strony «rodaków», dumnych z tego, że są żołnierzami nie w «polskim» uniformie. Oświadczyłem im więc tylko krótko, że pomoc ich jest zbyteczną i że mogą sobie iść, gdzie im się podoba. Gdy wyszli z kwatery, wyskoczyli jednak za nimi moi oficerowie i dali im na dworze nauczkę odpowiednią. Porównuję ten wypa-

dek zawsze z innym, gdym na Wołyniu miał do czynienia z batalionem pruskim, przysłanym mi również na pomoc w ciężkiej chwili. Dowódca tego batalionu, bardzo miły kapitan, ani chwili w swym postępowaniu, nawet w drobiazgach, nie zostawiał wątpliwości, że stoi przed swoim dowódcą, ani jednej chwili nie zmuszał mnie do dyplomatyzowania, gdy czas był jedynie na rozkazy i na niewzbudzające wątpliwości wzajemne stosunki. Tak, ale to był pruski kapitan, tu zaś byli wtedy polscy lejtnanci rezerwowi z Galicji!

Jeszcze tej nocy stanęliśmy w Limanowej. Cały mój oddział (V batalion też wrócił z ekspedycji) był w rezerwie, na odpoczynku. Miałem kwatery we wschodniej części tego miasta, bliższej do nieprzyjaciela, a więc przez Austriaków i mnie zajętej. Sam ze swym sztabem zatrzymałem się u miejscowego, zdaje mi się, lekarza. Dawno takich wspaniałości nie oglądałem. Czysta pościel, jasno oświetlone pokoje, obrusy na stołach, dużo wody do mycia. Przyjemna kwatera. Odpoczywałem po przejściach marcinkowickich.

Wieczorem Moskale zaczęli ostrzeliwać Limanowę i pozycje dokoła miasta. Zaczął się wielki bój pod Limanową. Na razie szły lekkie pociski, szrapnele pękały we wszystkich kierunkach. Na naszym podwórzu pomiędzy innymi padło ich kilkanaście. Jedliśmy zrazu spokojnie i wesoło kolację. Lecz wkrótce przyszły ciężkie granaty. Znowu zajęczała dokoła ziemia, a zaraz potem rozeszła się nagle pogłoska, że austriackie wojska opuszczają pozycje. Skoczyłem od kolacji. Wysłałem zaraz oficerów do miasta, by zbadali sytuację, gdyż żadne rozkazy ani wyjaśnienia nie przychodziły do mnie.

Wkrótce zaczęli wracać moi oficerowie z meldunkami. Miasteczko, opuszczone istotnie przez sztaby i tabory, pali się gdzieś koło kościoła, a z różnych stron z gór okolicznych schodzą luźni żołnierze, przeważnie polscy landszturmacy, mówiący, że Moskali jest dużo i że są bardzo blisko, tak blisko, że do nich strzelać nie można. Żołnierze ci nadciągają z różnych stron, więc nie można zrozumieć, skąd właściwie grozi największe niebezpieczeństwo. Zaalarmowałem oddział i rozesłałem tym razem konnych na linię dla sprawdzenia stanu rzeczy. Przywieźli mi uspokajające wiadomości. Nie wytrzymały ognia tylko niektóre kompanie landszturmowe — podejrzewam mocno, że były to kompanie moich znajomych z poprzedniego dnia, — reszta wojska stoi na pozycjach, a ogień artylerii w miarę zapadania ciemności ustaje.

Był to jedyny wypadek, gdym widział źle bijących się Polaków, i dlatego tak mi utkwił ten fakt w pamięci z tym cha-

rakterystycznym dla złego, ale szczerego żołnierza, ujęciem sytuacji: nie mógł strzelać, bo nieprzyjaciel był za blisko.

Tegoż wieczora, a raczej nocy otrzymałem rozkaz udania się na skrajne prawe skrzydło dla przykrycia górskich przejść w kierunku Mszany Dolnej, przez którą szły nowe transporty wojskowe. Pokazała się tam, jak mówiono, bardzo liczna kawaleria rosyjska. Jeszcze przed ranem odmaszerowałem do znanej mi Słopnicy Królewskiej, by iść dalej na południe ku Kamienicy, która była już w rękach Moskali.

Wychodziłem z Limanowej ze złymi przeczuciami co do wyniku rozpoczynającej się bitwy, dlatego też misja osłonięcia prawego skrzydła bardzo mi się uśmiechała. Stawałem znowu na komunikacji z moimi własnymi tyłami — z Nowym Targiem. Postanowiłem dotrzeć do Kamienicy i wziąć w swe posiadanie drogę na Krościenko do Nowego Targu. Udało mi się to nadspodziewanie łatwo. Wystarczała wtedy na tym odcinku prawie zawsze kawaleria, aby odepchnąć jazdę rosyjską, która cofała się bardzo łatwo. Była to 10-ta dywizja jazdy rosyjskiej pod gen. Kellerem.

Zostawiła ona złą sławę w tej okolicy. Gen. Keller nie zabraniał żołnierzom hulać, ani pić. Wszędzie słyszałem skargi z powodu postępowania jego żołnierzy. Jest to ciekawym, jak wiele może dowódca na wojnie. Poprzednio na tym samym terenie miałem do czynienia z dywizją gen. Dragomirowa, który starał się ostro trzymać swe wojsko w karbach, by nie dopuszczało się grabieży. Przy paru zabitych podoficerach z jego oddziałów znalazłem rozkazy dywizyjne, grożące sądami polowymi nawet tym, którzy dopuszczą się gwałtu na Żydach. A przecie turbowanie ich leży prawie we krwi Rosjan. Skarg ludności na dywizję Dragomirowa słyszałem bardzo mało. 10-ta dywizja zachowywała się znacznie gorzej.

Ogólnie jednak muszę zaznaczyć, że po tym, com sam widział, nie mógłbym uważać armii rosyjskiej za taką specjalistkę w grabieży, za jaką jest okrzyczana. Niewątpliwie prawie u każdego złapanego kozaka można było znaleźć zagrabione gdzieś tasiemki, trochę pieniędzy, nawet tombakowych guzików od liberii, które prawdopodobnie w oczach syna Donu uchodziły za złoto. Ale widziałem tyle gorszych rzeczy na wojnie!...

Pesymistyczne moje przypuszczenia co do wyniku bitwy limanowskiej powstrzymały mnie od tego, bym się teraz tak angażował, jak to robiłem w Marcinkowicach. Zadowoliłem się tym, że spełniłem rozkaz i, wyrzuciwszy Moskali z Kamienicy, zabezpieczyłem wszystkie podejścia przez góry do kolei

Chabówka—Limanowa. A szkoda! Okazja, zdaniem moim, była wspaniała. Gdybyśmy wtedy uderzyli w kierunku Nowego Sącza, sądzę, że wiele szkody nieprzyjacielowi, a sławy memu oddziałowi dałoby się przysporzyć w przeciągu tych dwóch dni, podczas których leżałem prawie bezczynnie w Kamienicy. Nikt mnie o niczym w tym czasie nie zawiadamiał i gdyby nie specjalne patrole, które wysyłałem na północ ku Limanowej, mógłbym, zdaje się, i tydzień cały przesiedzieć w Kamienicy lub Łącku, który potem zdobyłem. Kiedym się obejrzał, że Moskale są pobici, było już za późno na jakiekolwiek znaczniejsze czyny. Nawet pościg, który zarządziłem, nie dał już rezultatów, doprowadził mnie jedynie szybciej, niż by to było w innych warunkach, do Nowego Sącza.

Tym razem wchodziłem do miasta bez poprzedniego ostrzeliwania. Wchodziłem spokojnie, jak za czasów pokoju. Przyjemne to było wejście do miasta, miałem tylko dużo kłopotu ze swoją kasztanką. Wysłałem do Nowego Sącza naprzód swoich ułanów, sam zaś maszerowałem z piechotą. Belina doniósł mi, że w mieście przygotowują specjalną owację na cześć moją i mego oddziału. Podjeżdżałem do miasta już wieczorem. Kasztanka już na moście na Dunajcu, podziurawionym przez wybuchy, kręciła głową, uważając, że jest zanadto niebezpieczny dla jej szanownego istnienia. Za mostem wjazd do ciemnej ulicy z nieprzyjemnie brzmiącym pod podkowami brukiem powiększył jej przykrości. Z trwogą nastawiła już uszy. Lecz wreszcie rynek. Jasno oświetlony, czarny od tłumu. Gdym się na nim na kasztance ukazał, rozległ się krzyk całego tłumu i padły pociski z kwiatów. Tego już było stanowczo za wiele dla mojej wiejskiej klaczy, zwinęła się pode mną i chciała uciekać od owacji. Niemało mnie kosztowało, by ją po prostu wepchnąć na rynek. Szła przez szpaler ludzki ostrożnie, nieledwie zatrzymując się co parę chwil. Czułem pod sobą, jak nieszczęśliwe stworzenie szukało ucieczki. Musiałem kasztankę ciągle pchać naprzód, tak, iż po wyjeździe z rynku poznałem i ja, że owacja coś kosztuje. Czułem doskonale, że mam nogi, tak miałem je zmęczone.

Nowy Sącz przyjął nas nadzwyczajnie serdecznie. A te rozkosze «wielkomiejskie»! Elektryczne światło, kawiarnie, wanna, fryzjer. Zgoliłem sobie tam brodę, którą utrzymać w porządku na wojnie jest nadzwyczaj trudno. Bawili mnie potem moi żołnierze, którzy przy spotkaniach na ulicy udawali, że mnie nie poznają. Oddawali mi honory z rozmyślnym ociąganiem się, by mieć okazję do przeproszenia, że wskutek zgolenia brody nie mogli mnie jakoby od razu poznać. Oficero-

wie mówili mi, że wśród żołnierzy postanowiono przy pierwszym marszu wołać za mną: «Oddaj brodę!» Na szczęście, nie przyszło do tego.

Do Nowego Sącza, już po moim wyjeździe stamtąd, ściągnęły i oddziały z Nowego Targu. Mój plan obrony doliny Nowotarskiej, jako ostatniej piędzi ziemi polskiej, chwała Bogu, nie doszedł do skutku i podhalańska moja, wymarzona w ciągu listopada, krwawa epopea ograniczyła się wstępem do niej w bojach Limanowa-Marcinkowice.

SKOROWIDZ NAZWISK

Baczyński 34
Belina Prażmowski Władysław 18, 29, 35, 39, 42, 44, 45, 51, 79, 81—83, 90, 96—98, 103, 139, 140, 146—148, 154, 157, 169
Bem Józef 133
Besermeny 132, 133, 151
Billewiczówna 62
Bojarski Kazimierz 80, 89—91, 93, 96, 100, 133, 149, 156
Boroewic 121
Brandner 72
Bretschneider 37
Brusiłow 132
Brzoza-Brzezina 73, 74, 143, 144, 146—148, 164, 165

Clausewitz Karol 10
Chmielow 128

Dankl 5, 18, 36, 63
Dante 36
Davout Ludwik 159
Dąbkowski Mieczysław 138
Dembiński 133
Demus 68
Długoszowski Wieniawa Bolesław 97, 118
Dragomirow 125, 126, 129, 130, 137, 168
Dreszer Orlicz Gustaw 38, 39, 91, 101, 103, 106, 107, 116
Dzieduszycki 77, 163

Fleszar Albin 76

Gibalski Edward 51
Gülpen Paweł 12

Hamilton 163, 164

Kasprzycki Tadeusz 70, 89, 95, 97, 99, 101
Keller 137, 168
Kessler Harry 12
Kirchbach 68
Korda 52, 53, 55, 57, 58
Kościuszko Tadeusz 41, 55
Krynicki Stanisław 40

Langiewicz Marian 22, 64
Legay 57, 58
Leman Jerzy 8
Lipiński Wacław 6

Meisner 132, 133, 143, 144, 146, 150, 151, 156, 164, 165
Milko Władysław 156, 157
Miszczenko 17
Młodzianowski Kazimierz 100, 111
Młot Fijałkowski 5, 59
Moliere 92

Nagy 123, 126, 132
Napoleon 68, 159
Nodzu 86
Norwid-Neugebauer Mieczysław 39, 47
Nowikow 19

Okasaki 163

Piestrzyński 44, 45, 47
Poniatowski Józef 68

Rouppert Stanisław 62, 77
Ruzski 131, 132

Sikorski Władysław 16
Skotnicki Grzmot 141, 154, 157, 163
Sosnkowski Kazimierz 6—8, 11—13, 22—24, 27, 29, 30, 45, 61, 62, 70, 75, 77, 84, 89, 95—97, 99—101, 104, 106, 107, 111, 123, 133, 138, 140, 142, 143, 145, 146, 149—151
Stachiewicz Julian 70, 75, 76
Stetkiewicz 131
Sulkiewicz Aleksander 115
Swieczyn 31

Śmigły Rydz Edward 74, 75, 78, 85, 86, 98—100, 103—105, 108, 110, 116, 125

Trasow 31
Trojanowski Mieczysław 76
Trześniowski Mieczysław 105

Ulas 132, 133

Wieczorkiewicz 125, 144—146, 148—150, 158, 159
Wilczyński-Olszyna Józef 125
Wyrwa-Furgalski 32, 35, 39, 40, 49—51, 55, 59

Zwierzyński Sław 90

Żeromski Stefan 61

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

Adrianopol 94
Antolka 64
Auerstädt 159
Berlin 11, 12, 20
Bochnia 160
Bolesław 36—38, 42, 44, 45
Borusowa 38, 47, 48
Brzegi 52, 63
Buk 82, 87, 88, 90, 93, 96, 119
Busk 26, 42, 44, 45

Celiny 109, 111
Chabówka 123, 169
Chęciny 32, 58
Chmielnik 22, 23, 25, 26, 29, 37
Chrobrze 64
Chyżówki 124—130, 137
Czaple Małe 82, 86, 87, 90, 91, 96, 98, 99, 101, 105, 106, 11—118
Czarkowa 39, 41, 42, 54
Czarkowce 5

Dąbrowa 139—141
Dęblin 5, 63, 67, 70, 119, 123, 132
Dobra 121, 123, 126, 127, 129

Gdańsk 7
Góra 32, 63, 64
Grabie Wielkie 26, 27, 29
Grabka 28
Gręboszów 37, 42, 49, 53, 61
Grodno 131
Grotniki 44, 45, 47
Grybów 145

Iwanowice 91, 92, 97, 100, 101, 106, 109, 118

Jasło 145
Jędrzejów 20
Jurków 121, 124, 126, 129, 130, 132, 137

Kamienica 168, 169
Kanina 137, 140, 142, 150, 159
Kielce 5, 7, 18—23, 27, 29, 32, 34, 52, 59, 66, 78
Kijów 23
Klęczany 139
Końskie 22
Kostiuchnówka 10
Kozłów 37, 42, 43, 47, 48, 53
Kraków 5, 6, 17—20, 28, 34, 43, 46, 57, 61—64, 68—70, 74, 76, 77, 79, 82, 84, 86, 90, 93, 94, 96, 106, 107, 109, 111—118, 120—123, 128, 131
Krościenko 168
Krzeszowice 70, 93
Krzywopłoty 64, 70, 72—74, 116, 121, 138
Ksany 51, 54, 56, 59

Laski 63, 67, 70, 72, 155
Lgota Wolbromska 70, 72—74, 79
Liège 8
Limanowa 6, 121, 122, 126, 127, 129, 135—138, 146, 150—152, 159—161, 166, 167, 169, 170
Lisów 23—25
Lublin 36
Lwów 19, 36

Łącko 169
Łódź 63
Łowicz 63

Magdeburg 6, 7, 9, 10, 12, 13, 120
Maków 123
Marcinkowice 6, 10, 121, 122, 138—141, 143, 146—148, 150, 152, 155, 156, 159, 160, 163, 168, 170
Michałowice 113—115
Miechów 22, 52, 64, 75, 79, 81—85, 87, 88, 91, 99, 109, 119
Modlin 124
Morawica 23, 28
Mszana Dolna 121—123, 125, 168

Nowy Korczyn 5, 11, 12, 15, 17, 26, 37—39, 42—44, 47—49, 51, 54
Nowy Sącz 6, 62, 121, 122, 137—142, 144—146, 150—152, 159—163, 169, 170
Nowy Targ 69, 122—124, 136, 138, 168, 170

Olkusz 70, 73
Opatowiec 5, 11, 12, 15, 17, 37—40, 44, 46, 47, 49—53, 55—60
Orsza 62

Pacanów 27, 29—31
Pińczów 22, 63, 64
Piotrków 18
Pisarzowa 139, 156, 159, 165, 166
Praga 68, 69, 72, 74

Radom 23, 132
Rdziostów 139, 141—143, 145, 146, 148—150, 155, 159, 160, 164

Sandomierz 67
Skała 90, 92—94, 96, 109, 111, 117, 118
Słomniczki 93, 94, 107, 114
Słomniki 92, 109, 111, 117, 118
Słopnice Królewskie 128, 137, 168
Solec 42
Spandau 7, 11
Staszów 19, 24, 27, 29
Stopnica 27, 29, 30
Strzegowa 78, 79, 117
Sucha 121, 125
Sulejówek 13
Szczucin 27, 29—31, 33, 37, 38, 53, 60
Szczytniki 37, 51, 54

Tarnów 36, 71, 121, 145
Trzetrzewina 137, 138
Tymbark 137

Ujście Jezuickie 37, 50, 52, 56
Ulina Mała 5, 6, 10, 87—89, 91, 95, 96, 99, 101, 104, 111, 113, 117—120, 141, 159
Ulina Wielka (Duża) 88, 119

Warszawa 7, 12, 13, 17, 18, 34, 76, 124
Wesel 7, 11, 12
Widoma 109, 116—119
Wiedeń 68, 69
Wiktorka 90, 100, 101, 103, 104, 106, 107, 118
Wilno 116, 131
Winiary 37—39, 41, 42, 47—49, 51—56, 59, 60
Wiślica 42
Władysław 90, 96, 98—101, 103, 105—108, 110
Włocławek 127
Wolbrom 5, 64—67, 69, 70, 74, 79, 81—83, 85, 87, 90, 91, 93, 96, 101, 119
Wrocław 68, 69, 72

Zakopane 123
Zawoja 123

Żarnowiec 75, 78, 80, 81, 86

SPIS RZECZY

Str.

WSTĘP 5

PRZEDMOWA 7

NOWY KORCZYN—OPATOWIEC 15

ULINA MAŁA 63

LIMANOWA—MARCINKOWICE 121

SKOROWIDZ NAZWISK 171

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI 173



Biblioteka AP W
338781
/2